EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

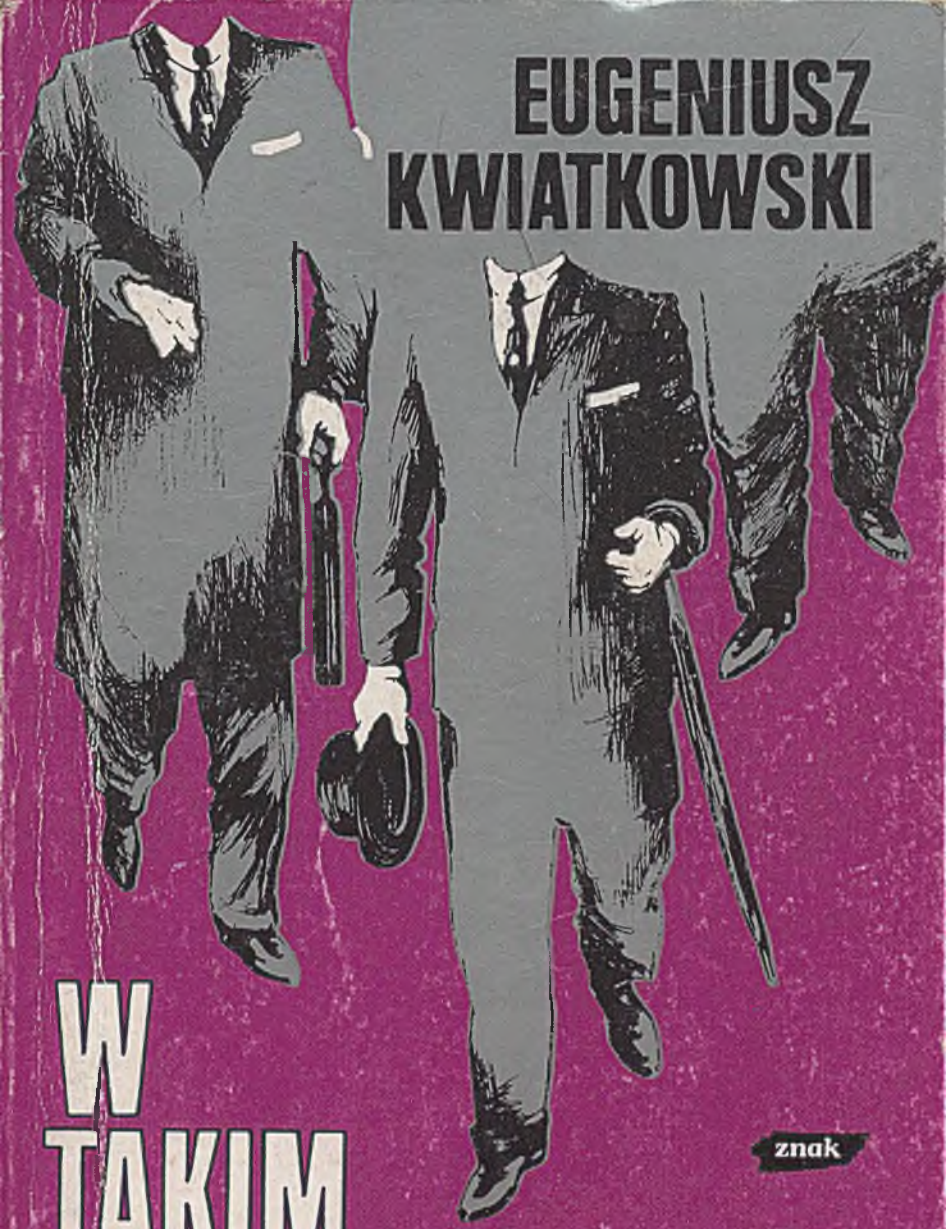

W TAKIM ŻYLIŚMY ŚWIECIE

znak

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

W TAKIM ŻYLIŚMY ŚWIECIE

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

W TAKIM ŻYLIŚMY ŚWIECIE

SYLWETKI POLITYKÓW

Wstęp: Andrzej Romanowski

BIBLIOTEKA DOMOWA
JASIENICA 760
Marian HUDZIEC

WYDAWNICTWO ZNAK KRAKÓW 1990

Opracowanie graficzne
JOANNA BUDYN-KAMYKOWSKA

ISBN 83-7006-240-7

Andrzej Romanowski

Wielkie Milczenie Eugeniusza Kwiatkowskiego

I

Habent sua fata libelli – Habent sua fata manuscripta. Sylwetki polityków polskich i obcych składające się na wspomnienia zatytułowane *W takim żyliśmy świecie*, opracowywał Eugeniusz Kwiatkowski w Krakowie w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Pisał je do szuflady. W obawie przed rewizją ukrywał kopie książki u rodziny i znajomych. Ta ostatnia większa praca z półwiekowego niemal dorobku autora *Dysproporcji* powstała w czasach powojennego, trwającego ponad dwadzieścia pięć lat Wielkiego Milczenia sanacyjnego wicepremiera. Nie mogła być opublikowana, dopóki istniała PRL.

Eugeniusz Kwiatkowski należy do tych nielicznych postaci historycznych, których znaczenie i ranga w miarę upływu lat nie maleją, lecz rosną. Właściwie dopiero z perspektywy półwiecza widzimy, że niemal wszystko, co określamy obecnie mianem największych osiągnięć Polski przedwojennej, było dziełem tego człowieka: Gdynia i polska flota handlowa, Mościce i rozbudowa Warszawskiego Okręgu Przemysłowego, Stalowa Wola i COP. Można rzec jeszcze więcej: w całej naszej tysiącletniej historii nie było może nikogo, kto na polu gospodarczym zdziałałby tak wiele i tak mądrze w czasie tak bardzo krótkim... W ciągu kilku zaledwie lat odmienił przecież Kwiatkowski oblicze polskiej ziemi; jak pisał wtedy Melchior Wańkowicz: w miejsce kraju „leśnego i polnego" zaczął powstawać kraj „zbrojny i przemysłowy" [1]. W tym rozmachu i w tym błyskawicznym tempie ówczesnych poczynań ministra jest coś zapierającego dech, coś przypominającego – nie bójmy się takich porównań – szerokość

[1] Por. M. Wańkowicz, *Sztafeta. Książka o polskim pochodzie gospodarczym*, Warszawa (1939); tytuł rozdziału VIII: „Z Polski leśnej i polnej – w Polskę zbrojną i przemysłową".

perspektywy działań Stanisława Staszica lub wyzwoloną społeczną energię czasów Kazimierza Wielkiego... I właśnie cała ta gigantyczna praca została w roku 1939 zduszona niemal w zarodku – przez wojnę i rozbiór kraju.

Jako wicepremier i minister skarbu w ostatnich latach niepodległości, wchodził Kwiatkowski w skład nieformalnego „Quinqueviratu" kierującego całością spraw państwowych (obok prezydenta Mościckiego, marszałka Rydza-Śmigłego, premiera Sławoja-Składkowskiego i ministra spraw zagranicznych Becka). Okazał się politykiem niekonwencjonalnym: piłsudczyk z przekonania i wyboru, przeciwnik sejmokracji i orędownik silnego państwa, odgrywał czołową rolę w skupionej wokół Prezydenta „grupie Zamkowej". Ugrupowanie to chyba najbardziej twórczo adaptowało myśl Piłsudskiego do potrzeb nowoczesnego państwa, usiłowało znaleźć drogę środka między systemem autorytarnym a parlamentarnym. Kwiatkowski był tym, który starał się najusilniej o wypracowanie kompromisu z opozycją: wprowadzał na Zamek delegację PPS, organizował w domu prywatne spotkania z przedstawicielami stronnictw antysanacyjnych, rokował z Maciejem Ratajem, starając się o umożliwienie powrotu do kraju Wincentemu Witosowi...

Ta postawa koncyliacyjna jest wyraźna także w niniejszej książce: wspomni tu autor własną próbę mediacji między Sikorskim a Piłsudskim, nazwie Witosa – wbrew opiniom innych – politykiem „wyjątkowo zrównoważonym". W istocie, u schyłku lat trzydziestych oddziaływał Kwiatkowski dokładnie w tym samym kierunku, co wysoko przezeń ceniony Kazimierz Sosnkowski. Ale – w przeciwieństwie do generała – znajdował się wówczas w sanacyjnej elicie władzy, toteż po katastrofie Września całkowicie podzielił jej losy: dla kolejnych – już emigracyjnych – rządów Sikorskiego i Mikołajczyka pozostał już tylko osobą prywatną.

W sile wieku odsunięty od władzy, pozostał Kwiatkowski politykiem nie w pełni zrealizowanym. Ktokolwiek jednak czytałby niniejsze sylwetki li tylko jako relację świadka, ktokolwiek poszukiwałby tu jakichś skandalów czy sensacji – tego spotka zawód. Kwiatkowski charakteryzował się zawsze „skromnością osobistego życia, jednakową na każdym zajmowanym stanowisku" [2], kierował się poczuciem przyzwoitości i lojalności, wielo–

[2] J. Rakowski, *Diariusz wrześniowego dramatu*, „Zeszyty Historyczne" (Paryż) 1977, t. 272, s. 39.

krotnie – nie tylko w szkicu o Piłsudskim – oponował przeciw autobiografii typu „Caezar pontem fecit" – „Cezar (nawet) most zbudował". Z lat po odejściu Kwiatkowskiego z rządu takim zapamiętał go Prezydent Mościcki: „Przyjeżdżał często do mnie, aby mnie informować bezpośrednio o stanie i rozwoju fabryk związków azotowych. Muszę podkreślić, że przy referatach tych poruszał tylko sprawy fabryk, a nie będąc członkiem gabinetu, nie wysuwał nigdy tematów rządowych. Ten sposób pracy Kwiatkowskiego oceniałem bardzo wysoko" [3].

Postawa taka pogłębiła się u Kwiatkowskiego po wojnie: pozbawiony wszelkich stanowisk, odcięty od możliwości oddziaływania na opinię publiczną, odmawiał z reguły udzielania wywiadów, odrzucał prośby o opublikowanie wspomnień, nie reagował na zaczepki i oszczerstwa. Poproszony w r. 1958 o wyjaśnienie wewnętrznych konfliktów w obozie sanacyjnym, odpisał Marcinowi Markowi Drozdowskiemu: „Nie na wszystkie postawione mi pytania gotów jestem w obecnych warunkach odpowiedzieć" [4]. Na propozycję Mieczysława F. Rakowskiego uzupełnienia wiedzy o wrześniu 1939 pisał w liście do redakcji „Polityki": „Gdybym usiłował dać stotysięczny pierwszy przyczynek w genezie wojny 1939 r., zgodnie z moją wiedzą i przekonaniem, to skutek mógłby być dwojaki tylko: albo praca ta byłaby odrzucona przez cenzurę, albo też wywołałaby polemikę, do której brak mi jest sił i chęci. Dlatego odmówiłem współpracy na ten temat i innym pismom" [5].

Właśnie nie chcąc dostarczać żeru komunistycznej propagandzie, wybrał Kwiatkowski postawę Wielkiego Milczenia, wyjątkowo tylko przerywanego wypowiedziami okolicznościowymi i raczej zdawkowymi. Może przez te ostatnie ćwierćwiecze życia, przez ten zmarnowany dla kraju czas przymusowej emerytury, przypominał sobie słynną strofę Mickiewicza:

> Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
> Są takie, które szepce swemu narodowi;
> Są takie, które zwierza przyjaciołom domu;
> Są takie, których odkryć nie może nikomu. [6]

---

[3] I. Mościcki, *Autobiografia (XVII)*, „Niepodległość" (Nowy Jork), t. XIV (1981), s. 82.

[4] M. M. Drozdowski, *Eugeniusz Kwiatkowski. Człowiek i dzieło*, Kraków 1989, s. 224.

[5] M. M. Drozdowski, *op. cit.*, s. 231.

[6] A. Mickiewicz, *Stopnie prawd* [w:] *Zdania i uwagi.*

II

Na kartach *W takim żyliśmy świecie* objawia się Kwiatkowski w jeszcze jednej życiowej roli: historyka. Nie jest to wprawdzie rola zupełnie nieoczekiwana. Kto czytał przed wojną *Dysproporcje* (wznowione w PRL w ocenzurowanej wersji), kto poznał powojenny *Zarys dziejów gospodarczych świata* (w tym także tę jego część, którą opublikował niedawno „Tygodnik Powszechny" [7]) – ten musiał pozostać pod wrażeniem umysłu o wrodzonej predylekcji do opisywania i syntetyzowania procesów historycznych. W niniejszym zbiorze także uderza zupełna swoboda w poruszaniu się po wydawnictwach krajowych i emigracyjnych, po różnojęzycznych monografiach, które czasem dopiero w wiele lat później miały zostać przyswojone polszczyźnie. Zwróćmy uwagę, że książka ta powstawała w czasach, w których dostęp do źródeł zachodnich był znacznie trudniejszy niż dzisiaj, a Kwiatkowski przecież przez cały okres powojenny nigdzie za granicę nie wyjeżdżał. Pamiętajmy też, że ówczesna historiografia krajowa (pomijając nieliczne wyjątki) znajdowała się w stanie głębokiego upadku: opanowana przez niszczącą metodologię marksistowską, odzwierciedlająca sowiecki punkt widzenia na nasze dzieje, w żaden sposób nie mogła stać się poważniejszą podnietą intelektualną.

Ale Kwiatkowski był szczelnie impregnowany na wpływy komunizmu. Ten emigrant wewnętrzny piszący swe szkice z punktu widzenia dopiero co niepodległego, a obecnie podbitego przez wroga państwa polskiego – stawał się siłą rzeczy bliższy historiografii emigracyjnej, i to nawet wtedy, kiedy nie zgadzał się z nią w szczegółach [8]. Tym samym, biorąc rozbrat z PRL-em, okazał się bliski postawie wszystkich chyba historyków dzisiejszych.

Nie znaczy to oczywiście, by rację miał w każdym szczególe. Kiedy pisał np. o sytuacji w Rosji lat trzydziestych: „Stalin powołuje się coraz częściej na wskazania Lenina, ale w rzeczywistości oddala się coraz bardziej od jego nauki, jego polityki i praktyki" – to skłonni bylibyśmy skorygować to zdanie zgodnie ze stanem współczesnej wiedzy: stalinizm był przecież logiczną kontynuacją leninizmu. Kiedy w tym samym szkicu o Stalinie wypowie się Kwiatkowski z powściągliwym uznaniem o sowiec-

[7] E. Kwiatkowski, *Wielki przełom*, „Tygodnik Powszechny" 1989, nr 1.

[8] Por. np. surową ocenę polityki Kwiatkowskiego w *Najnowszej historii politycznej Polski* Władysława Poboga-Malinowskiego.

kich piatiletkach – to powinniśmy dodać fakt, z którego w tamtych czasach jeszcze sobie w pełni sprawy nie zdawano: ten sukces piatiletek był rezultatem zastosowania na masową skalę łagrowej siły niewolniczej. Ale też na tych dwóch przykładach wyczerpuje się lista – niezawinionych przez autora – nieścisłości. Siła oskarżycielska szkicu o Stalinie jest i tak – nawet na dzisiejsze stosunki – olbrzymia.

Kreśląc sylwetki swoich współczesnych, ukazuje najpierw Kwiatkowski splot czynników zewnętrznych, które złożyły się na ukształtowanie duchowego oblicza bohaterów. W przypadku Stalina podkreśla więc jego „azjatyckość", w przypadku Hitlera – swego rodzaju „proletariackość". Kwiatkowski ma świadomość potężnego wstrząsu cywilizacyjnego, jaki przypadł na czas jego życia i opisywanych w książce wypadków. Upadek w I wojnie światowej ostatnich okopów dawnego porządku, odejście w przeszłość „obozu omszałych tradycji i utytułowanych ludzi" – wszystko to zachwiało społeczną strukturą Europy, wysunęło do władzy „warstwy średnie i proletariat". „Początkowo w Rosji, we Włoszech i w Niemczech, a później w wielu innych krajach całą bez reszty władzę zagarnęli przedstawiciele najradykalniejszych warstw społecznych: demokraci z urodzenia, rewolucjoniści z powołania, wrogowie wszelkiego ucisku, którego sami byli ofiarami, głosiciele hasła nieograniczonej wolności... na przyszłość". Czy świat europejski potrafił sprostać wyzwaniu, jakie niósł wtedy ze sobą (nie nazwany tu zresztą po imieniu) totalitaryzm? „Rozdźwięki pomiędzy głównymi zasadami a praktyką życiową wydają się być współcześnie o wiele głębsze niż w przeszłości" – napisze Kwiatkowski, charakteryzując postawę Winstona Churchilla. Unikając spojrzenia jednostronnego, budując sugestywne portrety psychologiczne ludzi zanurzonych w historię, ocenia autor współczesną mu Europę zdecydowanie pesymistycznie.

Europę, lecz nie Polskę. W porównaniu ze szkicami o Hitlerze, Stalinie czy nawet Churchillu, otwierający książkę portret Piłsudskiego (najobszerniejszy w całym zbiorze) jest wielką apologią Marszałka. Kwiatkowski pokazuje Komendanta jako polityka dalekowzrocznego i konsekwentnego, wyrastającego ponad wszystkich współczesnych. W ujęciu tym Piłsudski jest demokratą, zmuszonym do działań autorytarnych przez wzgląd na dobro państwa. „Byłem świadkiem – pisze Kwiatkowski – jak wysoko postawieni członkowie [...] mafii judzili go namiętnie przeciwko partiom opozycyjnym lub pojedynczym wpływowym politykom". Wspomina też autor kategoryczny sprzeciw Marszałka wobec

projektu Konstytucji kwietniowej: za przyjęcie tej ustawy w r. 1935 „śmiertelnie chory Piłsudski nie może ponosić już żadnej odpowiedzialności". W równie wyznawczym tonie utrzymany jest rozdział o politycznym protektorze Kwiatkowskiego – Ignacym Mościckim. Autor polemizuje tu zwłaszcza z obiegową tezą o „prezydencie-figurancie", podaje przykłady zakulisowych zabiegów Mościckiego, które z reguły „przynosiły dla państwa pozytywne skutki". Wtopione w ten rozdział omówienie roli profesora jako światowej sławy uczonego jest skreślone piórem osoby najbardziej kompetentnej: fachowca i współpracownika.

Celem przyświecającym Kwiatkowskiemu nie jest jednak ani hagiografia, ani paszkwil, lecz przedstawienie w każdym poszczególnym przypadku rzetelnego bilansu zasług i win, aktywów i pasywów, Conradowskie „wymierzenie sprawiedliwości widzialnemu światu". Sylwetki współczesnych ukazane są w sposób żywy i barwny, z zacięciem publicystycznym i emocjonalnym zaangażowaniem świadka – ale równocześnie przecież z jakimś olimpijskim dystansem historyka w najwyższym stopniu bezstronnego i rzetelnego. Książka wolna jest zupełnie od nie sprawdzonych, subiektywnych ocen, prób polemik i okazjonalnej obrony własnej politycznej linii. Chociaż w swoim czasie z polityką Becka rzadko się Kwiatkowski zgadzał, to w jednym tylko momencie (relacjonując sprawę Zaolzia) przypomina swój ówczesny protest – przemilczając wszelkie pozostałe konflikty i zamykając ten najbardziej może sugestywny portret w całym zbiorze wielką pochwałą ministra. Nigdy też nie próbuje Kwiatkowski „odegrać się" za doznane niepowodzenia i krzywdy. W końcu to przecież Piłsudski usunął go w r. 1930 ze stanowiska ministra przemysłu i handlu i zamknął mu drogę do dalszej pracy w rządzie. Sikorski zaś wykorzystał internowanie w Rumunii do całkowitego pozbycia się go z życia publicznego. Bezstronność i brak uprzedzeń książki *W takim żyliśmy świecie* przypomina postawę Mariana Kukiela, który w pisanych na emigracji w tym samym mniej więcej czasie *Dziejach Polski porozbiorowych* wypowiadał się z takim uznaniem o swym osobistym przeciwniku politycznym – Piłsudskim. W obu tych przypadkach mamy do czynienia z obiektywizmem najwyższej próby.

Dotykamy w tym miejscu bardzo istotnej cechy filozofii politycznej Eugeniusza Kwiatkowskiego. Uprawiać politykę – to według niego znaczy: uprawiać czystą grę. Pamiętam, kiedy jako kilkunastoletni chłopak miałem szczęście rozmawiać z nim o dziejach Polski niepodległej, uderzało mnie stałe akcentowanie tego,

co dziś bym określił jako czynnik moralny w życiu społecznym. W niniejszej książce ten postulat wydaje się szczególnie ważny. To przecież ostatnia wojna, przez pryzmat której opisuje się świat miniony, „wypaliła wszystkie kryteria moralne aż do samego dna". Właśnie podeptanie zasad moralnych zaowocowało odwróceniem się Europy od Polski, wydaniem naszego kraju na łup „parweniusza" Hitlera i „Azjaty" Stalina. Widoczne w książce przywiązanie do europejskiego liberalizmu i wartości chrześcijańskich, szacunek dla solidarystycznej wizji społeczeństwa oraz rujnowanej tradycji, instynktowny i fundamentalny antytotalitaryzm – wszystko to wykluczało nawet myśl o wydaniu książki w PRL-u. Tym bardziej, że jak zwykle nie stosował Kwiatkowski żadnej autocenzury.

III

Nie jest więc niniejsza książka jedynie zbiorem życiorysów, przeciwnie: biografia staje się tu do pewnego stopnia pretekstem. *W takim żyliśmy świecie* – to przecież epitafium dla świata przedwojennego, to także próba sądu nad upadkiem XX-wiecznej Europy, to wreszcie chęć zachowania tradycyjnego systemu wartości, ocalenia go przed wdzierającym się zewsząd potopem. Podtekst książki zawiera przy tym, jak się zdaje, rodzaj zamknięcia i podsumowania długich lat Wielkiego Milczenia – stałych wewnętrznych zmagań autora z komunizmem.

Właśnie te bolesne zmagania stanowią największą chyba tajemnicę życia Eugeniusza Kwiatkowskiego. Nigdy nie wyjaśnił on w pełni przyczyn, dla których w r. 1945 zdecydował się wrócić do podbitego przez Stalina kraju. Nigdy nie wytłumaczył, dlaczego nie pozostał na emigracji, nie wydał w wolnym świecie całości *Dziejów gospodarczych świata*, nie opublikował tam – bez obawy rewizji i represji – kolejnych tomów nigdy nie ukończonych wspomnień. Swoim powrotem i zadeklarowaną lojalnością wobec narzuconych władz wprowadził przecież do obozu niepodległościowego spore zamieszanie: Janusz Jędrzejewicz nie zawahał się użyć wobec tej decyzji słowa: „dezercja" [9].

W rzeczywistości sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej: żaden inny okres w życiu Eugeniusza Kwiatkowskiego nie miał rangi równie heroicznej. Sanacyjny wicepremier był zawsze zdecy-

[9] J. Jędrzejewicz, *W służbie idei*, Londyn 1972, s. 149.

dowanym antykomunistą: manifestował tę postawę w *Dysproporcjach*, w rozmaitych wystąpieniach publicznych przed wojną. Jeżeli jako „Delegat Rządu do Spraw Wybrzeża" zdecydował się na współpracę z wrogiem, to z jednym ściśle określonym celem: niedopuszczenia do zagłady gospodarki rynkowej, ergo: tworzenia podstaw niezależnej ekonomii, która miała stać się fundamentem przyszłej niepodległości. Dlatego właśnie w latach 1945–47 podejmował Kwiatkowski usilne próby dopuszczenia do przemysłu stoczniowego kapitału obcego, dlatego starał się o izolowanie od zarządzania gospodarką morską ludzi z PPR-u, oponował przeciw ekonomicznym decyzjom władz centralnych, restytuował na podległym sobie terenie przedsiębiorstwa prywatne, zainicjował – udaremniony zresztą wkrótce – samorządny Związek Gospodarczy Miast Morskich Rzeczypospolitej... Wytrawny polityk, prowadził swoją grę: szedł z komunistami i mylił im kroki; wciągając nowych ludzi w obce im dziedziny, starał się razem z nimi dryfować z wyznaczonego przez Stalina kursu. Czegokolwiek więc nie powiedzielibyśmy o szczegółach wykonania (które pewnie nie w każdym przypadku były najszczęśliwsze) – to przecież właśnie Kwiatkowski jako pierwszy wypracował ten model polskiej reakcji na totalitaryzm, jakim się stała wolna i kompleksowa aktywność gospodarcza. W wiele lat potem tym właśnie szlakiem będą podążać tacy ludzie, jak np. Stefan Kisielewski czy Mirosław Dzielski.

Lojalność wobec nowych władz była poza tym ceną, za którą mógł sobie Kwiatkowski pozwolić na publiczne, ostre piętnowanie praktyk antydemokratycznych, antyspołecznych, antynarodowych... W całkowitej zaś dyskrecji usiłował on równocześnie pomagać ludziom ściganym przez bezpiekę, na co dziś dopiero znajdujemy dowody w archiwach. Działał więc Kwiatkowski na kilku polach równocześnie, a ograniczenie stawiał sobie tylko jedno: musiał widzieć choćby cień skuteczności. Wielkie Milczenie wybrał wtedy, kiedy nawet taki rezultat okazał się niemożliwy.

Powstały u schyłku życia zbiór sylwetek siedmiu polityków jest bardziej kontynuacją niż przerwaniem tego milczenia. Jak już wspomniałem, wielu rzeczy Kwiatkowski nie wyjaśnił, wielu tajemnic nie odkrył, wielu dyskusyjnych opinii nie zinterpretował. W zestawieniu z *Ostatnim raportem* Becka, *Nie ostatnim słowem oskarżonego* Sławoja, *Autobiografią* Mościckiego – niniejsza książka może w istocie wydać się trochę blada. A przecież te szkice, napisane pięknym językiem i uroczym, nieco staroświeckim stylem, są po trosze wszystkim: biografią znanych ludzi, osobis-

tym wspomnieniem i esejem historycznym. Między wierszami zaś ukryty jest najdyskretniej autoportret samego Kwiatkowskiego: człowieka łączącego wierność dla przegranej (jak się wtedy wydawało) polskiej sprawy z szerokością spojrzenia Europejczyka, z uznaniem dla pluralizmu racji. W ten sposób ta książka, zrodzona z tradycji, sięga równocześnie w przyszłość, w naszą „solidarnościową" teraźniejszość, co do której nadejścia nie miał Kwiatkowski nigdy żadnych wątpliwości. Sam ją zresztą bezwiednie zapowiedział przemówieniem wygłoszonym w r. 1947 w... Stoczni Gdańskiej [10].

„Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi"... Wielkie Milczenie, z którego idei zrodziła się także ta książka, okazało się faktem o przesłaniu ideowym nie mniej doniosłym niż przedwojenna działalność tworząca „polski cud gospodarczy"... Przypominam sobie w tym momencie niedawną rozmowę, którą odbyłem w Waszyngtonie z Janem Nowakiem-Jeziorańskim. „Spotkałem – mówił mi Kurier z Warszawy – wiele czołowych postaci, które występowały na polskiej scenie politycznej w okresie niepodległości i w latach wojny. Ale człowieka o tak kryształowym charakterze, o takiej bezwzględnej uczciwości, o takim niezwykłym natężeniu patriotyzmu – nie znałem". Właśnie książka *W takim żyliśmy świecie* potwierdza w całej rozciągłości prawdziwość tej opinii. Jest świadectwem, że – do pewnego stopnia – z Eugeniusza Kwiatkowskiego jesteśmy my wszyscy.

Kraków, wiosna 1990

[10] E. Kwiatkowski, *W obronie polskiej racji stanu* [w:] *Pisma o Rzeczypospolitej Morskiej*, Szczecin 1985, s. 192–193.

Józef Piłsudski

Syntetyzując swoje poglądy na osobę i działalność Józefa Piłsudskiego Michał Sokolnicki stwierdził: „Indywidualność Piłsudskiego – charakter i umysłowość – odznaczała się tą rzadką cechą, że była niepowtarzalna, nie zapożyczona u nikogo, ani w swych zamierzeniach, ani w swych motywach" [1]. Już ten jeden bezsporny fakt nakazuje liczyć się z tym, że historycy – polscy i obcy – pragnący ocenić możliwie obiektywnie epokę Piłsudskiego, usiłujący wyważyć dokładnie jego osobisty wkład w kształtowanie losów Rzeczypospolitej w okresie międzywojennym, muszą napotkać na olbrzymi splot wątpliwości i trudności. W tym bowiem przypadku zawieść mogą wszelkie uproszczone i konwencjonalne mierniki oraz szablonowe kryteria i oceny. Przewidywał to sam Piłsudski, mówiąc o sobie: „życie takie z największym trudem poddaje się jakiejkolwiek kontroli". Powiedzenie to nie było w najmniejszej nawet mierze przejawem próżnej zarozumiałości, ale prostym skonstatowaniem faktu dostrzegalnego dla każdego subtelniejszego umysłu. Jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy było to, że życie Józefa Piłsudskiego od najwcześniejszej młodości splatało się coraz ściślej, coraz bardziej bezpośrednio i niepodzielnie, z historyczną walką tego pokolenia o przywrócenie Polsce należnego jej prawa do samodzielnego bytu państwowego.

Józef Piłsudski urodził się 5 grudnia 1867 r. w Zułowie, w powiecie święciańskim, ziemi wileńskiej. W parę lat później, w 1874 r., rodzina Piłsudskich zamieszkała na stałe w Wilnie, gdzie przyszły twórca Legionów, zwycięski wódz

[1] M. Sokolnicki, *Polemiki* [w:] *Świadectwa historii*, Londyn 1963, s. 98.

w osiemnastej decydującej bitwie świata w 1920 roku i naczelnik państwa, uczęszczając do szkół podstawowych i średnich, przeżył swoją wczesną „górną i chmurną" młodość. Znalazł się on teraz w środowisku nie tylko niezwykle bujnym i żywotnym, ale i dość szczególnym. Stanowiło ono bowiem zwarty i jednorodny stop dwóch wartościowych, odmiennych a częściowo uzupełniających się żywiołów, polskiego i litewskiego. Zwyż czterystuletnich dziejów dobrowolnej i niezamąconej symbiozy państwowej obu bratnich narodów nie można było unicestwić żadnym „ukazem" czy też formalnym aktem. W tych stuleciach Polska wnosiła do wspólnej skarbnicy swoją wysoką kulturę utrwaloną w arcydziełach artystycznych, architektonicznych i literackich, swój przodujący wówczas, demokratyczny ustrój prawny, swój nieprzeciętny zmysł organizacyjny oraz swoje gorące uczucia narodowe; społeczeństwo litewskie zaś dodawało do tego swoją żelazną wytrwałość, swoje zamiłowanie ładu i dyscypliny, swoją zdolność konsekwentnego myślenia i działania politycznego, a przede wszystkim swój wrodzony instynkt państwowy.

Młody Józef Piłsudski – nierozdzielna część duchowa tego złożonego środowiska – był niezwykle chłonnym odbiornikiem określonych prądów i fal w tej specyficznej, kresowej atmosferze. Uczucia narodowe oraz świadomość przemocy i ucisku władz carskich były na tej ziemi pod koniec XIX wieku nie mniej silne i żywe jak za czasów Adama Mickiewicza, Joachima Lelewela, braci Śniadeckich, Tomasza Zana, a tradycje ruchu Filaretów i Promienistych były wśród młodzieży wileńskiej bliskie i wciąż aktualne. W rzeczywistości olbrzymia większość ludności zamieszkującej to miasto uważała się za organiczną część narodu polskiego, mającego nieodwołalne prawo powtarzania z najgłębszym uczuciem słów wieszcza narodowego: „Litwo! Ojczyzno moja!". Toteż nastroje wrogości i buntu młodzieży wileńskiej wobec najeźdźców ze wschodu były przemożne i powszechne, tym bardziej rozżarzone, im brutalniejsze były metody stosowane tu przez czynow-

ników carskich. O tych czasach szkolnych napisał później Józef Piłsudski:

Bezsilna wściekłość dusiła mnie, a wstręt, że muszę znosić w milczeniu deptanie mojej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, o Polakach i ich historii, palił mi policzki![2]

Ten okres przymusowego milczenia i bezczynności politycznej skończył się dość wcześnie, gdyż już w osiemnastym roku życia Józefa Piłsudskiego, bezpośrednio po ukończeniu szkoły średniej i zdaniu matury w Wilnie. Rok wcześniej uderzył w niego dotkliwy cios: śmierć ukochanej matki, tego płonącego znicza polskości tak żarliwej i tak nieugiętej, jaka przejawiała się tak często na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Młody Józef Piłsudski miał już wówczas skrystalizowany światopogląd polityczny i pierwszy plan działania. Pragnął teraz mówić głośno i pisać, działać i walczyć na rzecz wyzwolenia Polski. Usiłował też pogłębić i umocnić dystans dzielący go od wszystkiego, co rosyjskie, co obce, co narzucone siłą, a zbliżyć się jak najbardziej do szerokich warstw udręczonego i sponiewieranego społeczeństwa. Dlatego w 1885 roku zapisał się na studia medyczne uniwersytetu charkowskiego. W perspektywie dawało mu to bliski, a nie budzący szczególnych podejrzeń policji carskiej kontakt z ludźmi. Ale realizacja tych planów nie powiodła się. Przecież ten młody, niespokojny duch, nastawiony w każdym nerwie na ciągłą i bezkompromisową walkę, naładowany materiałem wybuchowym, nie był w stanie ograniczyć się do pedantycznego i spokojnego studiowania różnych przejawów patologicznych w organizmach ludzkich; dostrzegał on wyraźnie stan patologiczny całych narodów i klas społecznych. W jego rozumieniu walka z tą wielką patologią społeczno-polityczną była o wiele ważniejsza i wymagała nieodzownie ostrych zabiegów chirurgicznych. Dla wypełnienia tego wielkiego zadania począł więc poszukiwać sprzymierzeńców tak samo jak on młodych, wybuchowych, ambitnych, a niezdolnych do biernego wyczekiwania na wypadki dziejowe.

[2] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937–38, t. II, s. 47.

Ale władze uniwersyteckie zorientowały się rychło w niebezpiecznej akcji tego młodego Polaka i już w 1886 r. relegowały go z charkowskiej uczelni. Powrócił więc do Wilna i tu – nawiązując łączność z działaczami rewolucyjnymi – kontynuował swoją pracę polityczną. Skutek był łatwy do przewidzenia. Niedoświadczonego jeszcze młodzieńca aresztowano w marcu następnego roku, po czym – w dwudziestym roku życia – skazano na pięcioletnie zesłanie na Sybir. Tak rozpoczynała się dla Józefa Piłsudskiego ciężka i twarda szkoła życia. Przeniesiony po pewnym czasie znad Leny do Tunki, zetknął się tam z więźniem politycznym i zesłańcem Bronisławem Szwarce, b. członkiem Centralnego Komitetu, sterującego walką narodu polskiego w 1863 roku. Piłsudski, chłonąc chciwie relacje i komentarze bezpośredniego świadka i uczestnika ruchu powstańczego, okazywał mu najgłębszy szacunek jako żywemu symbolowi Polski walczącej z carską przemocą. Te spotkania i wielogodzinne rozmowy ze Szwarcem, jak również liczne kontakty z zesłańcami rosyjskimi, wyżłobiły trwałe i mocne ślady w umyśle i duszy Józefa Piłsudskiego. Teraz dojrzewał on szybko jako wytrawny działacz polityczny.

Nie złamany na duchu pięcioletnim zesłaniem na Syberię, Piłsudski powraca w 1892 r. przez Warszawę do Wilna i rozwija ponownie – w ramach świeżo założonej Polskiej Partii Socjalistycznej – żywą działalność polityczną. Na razie walczy słowem i piórem. W roku następnym, w uznaniu jego odwagi, bojowości, talentów i wpływu na otoczenie, zostaje wybrany na członka oddziału litewskiego Komitetu Centralnego PPS, rozciągając sporadycznie swoją akcję polityczną również i na Kongresówkę. W tym okresie praca jego koncentruje się głównie na redagowaniu, drukowaniu i kolportowaniu wydawanego w Wilnie od początku 1894 r. nielegalnego czasopisma socjalistycznego pod nazwą „Robotnik". Piłsudski rozumiał bowiem, że klasa robotnicza może być i jest najbardziej bojową częścią społeczeństwa, a jej walka może być najbardziej owocna i skuteczna. Spinał więc jedną klamrą postulaty

polityczno-narodowe ze społecznymi w nierozdzielną całość. Akcja ta cieszy się znacznym powodzeniem, zwłaszcza o ile zważy się warunki, w jakich ona się rozwijała. Nie wyczerpuje to jednak ani sił, ani temperamentu bojowego Józefa Piłsudskiego. Korzysta on z każdej sposobności do montowania ducha oporu przeciwko władzy carskiej. Tak np. gdy w 1894 r. car Aleksander III ma przybyć do Warszawy na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę nowej i okazałej cerkwi prawosławnej w samym sercu Polski, Piłsudski redaguje i kolportuje gwałtowną odezwę, by nie pozostawić tej z premedytacją dokonywanej prowokacji bez słownego choćby protestu ze strony polskiej. Gdy zaś po długotrwałych, żmudnych i kosztownych zabiegach Polacy uzyskali zgodę władz na zbudowanie pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie i na odsłonięcie go w stuletnią rocznicę urodzin wieszcza narodu, w 1898 r., Piłsudski wydaje odezwę, w której stwierdza, że „widmo olbrzyma Mickiewicza" stać będzie odtąd w Warszawie nie jako symbol ugody i porozumienia z zaborcą, ale jako wyraz niezłomnego oporu przeciwko obcym „gnębicielom ludu polskiego". Równocześnie w tych latach Piłsudski pisuje artykuły do londyńskiego „Przedświtu", bierze czynny udział w pracach i zjazdach partyjnych, a w 1896 roku jako delegat PPS walczy i zwycięża na Międzynarodowym Kongresie Socjalistów w Londynie, przeprowadzając – po ostrej wymianie zdań i wbrew opozycji grupy filorosyjskiej – rezolucję o prawie Polski do samostanowienia o własnym losie.

Tymczasem rozwój PPS, walczącej zarówno o prawa klasy robotniczej, jak i o narodowe postulaty Polski, szedł wielkimi skokami naprzód, szczególnie w Kongresówce i w zaborze austriackim. Piłsudski, pomimo świadomości zwiększonego znacznie niebezpieczeństwa własnego, decyduje się w 1899 r. przenieść redakcję „Robotnika" wraz z drukarnią do robotniczej stolicy w Kongresówce, tj. do Łodzi. Ale policja i żandarmeria carska była tu znacznie liczniejsza i sprawniejsza niż w Wilnie. Wykryła więc tajną drukarnię i w nocy z 21 na 22 lutego 1900 r. aresztowała

małżonków Piłsudskich. Józefa osadzono w słynnym dziesiątym pawilonie cytadeli warszawskiej. Jemu też groziła najcięższa odpowiedzialność; toteż przyjaciele „Ziuka" podjęli natychmiast zabiegi, aby go w ten czy inny sposób wyzwolić z tej opresji. Po wielu próbach osiągnęli to, że pod sam koniec tego roku przewieziono go – pod pozorem badań – do szpitala psychiatrycznego w Petersburgu, gdzie zapewnioną miał perspektywę ucieczki. Niezwykle cenną pomoc w tej sprawie okazał lekarz tego szpitala, Polak, dr Władysław Mazurkiewicz[3]. Drogą okrężną przez Londyn Piłsudski dotarł pod koniec 1901 r. do Galicji i zamieszkał w Krakowie, gdzie jako członek PPS prowadził swoją akcję polityczno-organizacyjną nadal.

Tak nadszedł rok 1904, rok wybuchu wojny japońsko-rosyjskiej. Aktywność Piłsudskiego wzrosła natychmiast bardzo poważnie. Przedzierając się na teren Kongresówki organizował początkowo masowe demonstracje przeciwko mobilizacji młodzieży polskiej do armii carskiej. Rzucił wówczas hasło, że Polacy mogą walczyć zbrojnie wyłącznie o własną narodową sprawę, nie o imperialistyczne cele caratu na Dalekim Wschodzie. Jedna z takich wielkich manifestacji odbyła się 13 listopada 1904 r. na placu Grzybowskim, w Warszawie. Chcąc wyzyskać sytuację wytworzoną w Rosji, Piłsudski zamierzał podjąć akcję zakrojoną na znacznie szerszą skalę. W tym celu dotarł do Tokio, by porozumieć się z rządem japońskim co do skoordynowania wybuchu powstania polskiego, skierowanego przeciwko caratowi. Ta próba nadania sprawie polskiej międzynarodowego charakteru nie powiodła się nie tylko z powodu przeciwdziałania Romana Dmowskiego, który zjawił się także w Japonii, ale przede wszystkim dlatego, że rząd japoński nie pragnął rozszerzenia konfliktu z Rosją i prawdopodobnego wciągnięcia do niego innych mocarstw europejskich. Tym niemniej incydent ten miał z polskiego punktu widzenia poważniejsze znaczenie dlatego, że po raz pierwszy w życiu

[3] „Kronika Warszawy", R. XI (1936), z. 4, s. 19.

tego pokolenia starły się dwa różne światopoglądy, dwie odmienne orientacje polityczne. Piłsudski stał zdecydowanie na stanowisku, że o własną wolność i niepodległość muszą walczyć sami Polacy i nikt nie może wyręczyć ich w tym zadaniu; Dmowski zaś wierzył w stopniową ewolucję stosunków rosyjsko-polskich, mogącą doprowadzić do tak szerokiej autonomii, że zbliży się ona asymptotycznie do granic istotnej niepodległości. Taką politykę dyktują narodowi polskiemu – według Dmowskiego – tendencje pruskiego „Drang nach Osten". Ta różnica w poglądach będzie się w przyszłości pogłębiać.

Tymczasem jednak nieprzewidziana katastrofa wojenna Rosji na Dalekim Wschodzie wyzwoliła ostre napięcia rewolucyjne zarówno w samej Rosji, jak i na ziemiach polskich, znajdujących się we władaniu cara. Fakt ten wciągnął Piłsudskiego samoczynnie do akcji bojowej. W jego mniemaniu nadchodziła chwila konkretnej próby sił, która niezależnie od doraźnego powodzenia czy niepowodzenia ma tę wartość, że będzie nowym świadectwem niezłomnych dążeń narodu polskiego do niepodległości. Toteż w organizacyjnych ramach PPS, w łączności z ruchem rewolucyjnym, Piłsudski w 1905 r. tworzy na terenie zaboru rosyjskiego pierwszą regularną, zbudowaną na wzór wojskowy Organizację Bojową, o wyraźnych celach polityczno-narodowych. Jej członkami byli m.in. Aleksander Prystor, Walery Sławek i Kazimierz Sosnkowski. W rzeczywistości była to wielka, praktyczna szkoła planowej i metodycznej walki z głównym zaborcą, a należeli do niej zarówno PPS-owcy, jak i bezpartyjni różnych odcieni politycznych czy społecznych. Organizacja ta prawie przez trzy lata prowadziła małą ale zaciętą walkę podjazdową, przejawiającą się nieustannie w najmniej oczekiwanych przez władze carskie miejscach. Jednym z ostatnich fragmentów tej akcji była – kierowana przez Piłsudskiego – walka pod Bezdanami, stoczona 26 września 1908 r. Wiele przyczyn złożyło się na to, że ówczesny ruch rewolucyjny okazał się praktycznie mało skuteczny. W społeczeństwie polskim przeciwstawiały się sobie różne

orientacje i koncepcje polityczne. W samym PPS – na tle działalności bojowej Piłsudskiego – nastąpił w 1906 r. formalny rozłam: większość wysunęła na czoło programu walkę klasową, poważna mniejszość, popierająca bez zastrzeżeń poglądy Piłsudskiego, utworzyła pod jego przewodnictwem tzw. Frakcję Rewolucyjną. Ale najistotniejszą przyczyną niepowodzenia było całkowite załamanie się ruchu rewolucyjnego w samej Rosji. Przywódcy polskiej Organizacji Bojowej emigrowali więc, znajdując azyl głównie w Galicji. Nieco wcześniej przywódcy rosyjscy emigrowali do Finlandii, Francji, Niemiec lub do Szwajcarii.

Analizując krytycznie działalność bojową w latach 1906–8, Piłsudski upatrywał przyczyny stosunkowo małej skuteczności akcji w tym, że ścierały się ze sobą dwa niewspółmierne mechanizmy bojowe: mobilizowani od wypadku do wypadku, źle i niejednolicie uzbrojeni, połowicznie dowodzeni cywilni ideowcy i zapaleńcy – z regularną organizacją typu wojskowego, działającą pod autorytetem prawa państwowego. Rozpoczynając ponownie pracę od samych podstaw, począł więc korygować swoje metody. A upór Piłsudskiego w organizowaniu walki czynnej z przemożnymi zaborcami Polski był wprost bezprzykładny. Żadnego zniechęcenia, żadnego wyczerpania sił i wiary w końcowe powodzenie, żadnego cienia fatalizmu i rezygnacji nie można doszukać się w jego psychice. Z każdego doraźnego niepowodzenia potrafił wyciągnąć odważnie właściwe i pozytywne wnioski na przyszłość. W okresie pomiędzy zlikwidowaniem Organizacji Bojowej a wybuchem pierwszej wojny światowej Piłsudski z grupą swoich najbliższych współpracowników poświęca się budowaniu wykwalifikowanej kadry wojska polskiego; ma to być fachowy i ideowy kondensat zdolny do stopniowego, dostatecznie szybkiego rozrastania się – gdy okoliczności będą tego wymagać czy też na to zezwalać – w narodową armię polską. Taki cel przyświecał przy tworzeniu w 1908 r. tajnego Związku Walki Czynnej, rozwiniętego od 1910 r. w jawny Związek Strzelecki, temu celowi służyć miały coraz liczniejsze publikacje książkowe

z zakresu zagadnień wojskowych, do tego celu zmierzało tworzenie niższych i wyższych kursów oficerskich oraz prowadzenie częstych ćwiczeń polowych itd. Było to główne, ale nie jedyne zadanie Piłsudskiego. Rozumiał on dobrze, że ruch wojskowy musi mieć oparcie w woli społecznej, musi być ściśle zharmonizowany z poważną akcją polityczną. Współdziałał więc czynnie i bezpośrednio w powołaniu do życia na terenie Galicji Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, a także oddziaływał pośrednio na powstawanie w innych środowiskach polskich ruchów niepodległościowych i organizacji wojskowych. Stopniowo posiew rzucony przez Piłsudskiego wydawać począł coraz obfitsze plony.

Tak dobiegał do końca okres prób, okres gromadzenia doświadczeń, rozbudowy zrębów organizacyjnych i pielęgnowania myśli o bliskiej i nieodpartej konieczności podjęcia nowych walk o niezawisłość Polski. Teraz rozpoczynało się w życiu i działalności Józefa Piłsudskiego piętnastolecie jego wielkich i historycznych osiągnięć, jego wytrwałej i nieustannej walki, słowem i piórem, orężem i osobistym przykładem, walki z reguły zwycięskiej i w końcowym efekcie skutecznej, a sporadycznie przynoszącej porażki czy niepowodzenia. Ale wielka, aktywna i przełomowa działalność nie była nigdy i nigdzie wolna od przypadkowych pomyłek czy nawet oczywistych błędów. Jednakże fenomenem w osobowości Piłsudskiego było to, że poprzez koncentrację swojej myśli i swojej woli dochodził do tak wyostrzonej i tak subtelnej intuicji, iż dostrzegał perspektywiczny obraz przyszłości znacznie dokładniej, konkretniej i niezawodniej niż jego partnerzy polityczni. Już ten jeden fakt wystarczał, by powodować często „krótkie spięcia" lub nawet ostre spory z przeciwnikami, którzy byli przeświadczeni, że to nie oni, ale Piłsudski błędnie ocenia przyszłość, choć po upływie pewnego czasu życie samo najczęściej przyznawało jemu słuszność. Czyż nie jest wymownym fakt, że w styczniu 1914 r. na Zjeździe Socjalistów w Paryżu Piłsudski przewidział – według relacji W. Czernowa – w bliskiej przyszłości

wybuch wojny rosyjsko-austriackiej na tle rywalizacji na Bałkanach; nie miał też wątpliwości, że za Austrią staną Niemcy, a Francja nie pozostanie biernym obserwatorem tych dziejowych zmagań. Jeżeli połączone siły Francji i Anglii – głosił Piłsudski – okażą się niedostateczne, to prędzej czy później wciągnięta będzie do tego konfliktu Ameryka. Jaki może być przebieg tej domniemanej wojny światowej? Piłsudski odpowiada, że według jego oceny zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód, co znaczy, że Rosja będzie pokonana przez Niemcy i Austrię, a te z kolei pobite będą przez koalicję zachodnią. To przypuszczenie wskazywać musi również Polakom kierunek ich działania [4]. Autor amerykański, późniejszy prezes Fundacji Kościuszkowskiej, przytaczając ten epizod dodaje od siebie: „oczywiście nikt w to wówczas nie wierzył". Z podobnymi zjawiskami i faktami będziemy spotykać się często w latach przyszłych.

Tymczasem w połowie 1914 r. bieg wypadków na arenie politycznej nie tylko począł się lawinowo przyspieszać, ale – co było znacznie gorsze – powodował powszechną bezradność i całkowitą dezorientację światowej opinii publicznej. W ciągu kilku dni konflikt raczej lokalny i prestiżowy przerodził się w groźny konflikt międzynarodowy, wciągając do walki zbrojnej największe potęgi militarne Europy i Azji. Od pierwszych dni sierpnia było oczywiste, że jednym z głównych teatrów niszczących działań wojennych staną się ziemie polskie. Nasza opinia publiczna została u samego wstępu rozbita na kilka odmiennych, wrogich i zwalczających się „orientacji": filorosyjską i filoaustriacką, aktywistyczną i pasywistyczną, wschodnią i zachodnią. Obiektywnie każdej z tych orientacji można było przypisać oczywiste błędy czy niezgodność z narodową „racją stanu", gdyż każda z nich była zbudowana nie na konkretnych faktach politycznych, ale na dość dowolnych hipotezach i złudnych nadziejach.

Piłsudski miał jasną świadomość tego, że w tym his-

[4] „Zeszyty Historyczne", Paryż 1963, z. 4, s. 187; St. P. Mierzwa, *J. Piłsudski* [w:] *Great Men and Women of Poland*, New York 1943, s. 351.

torycznym starciu dwóch bloków liczyć się będzie tylko siła fizyczna i zwartość polityczna społeczeństw. Tylko czas stanowić będzie w ostatecznym rozrachunku wielką niewiadomą, czas, który kryje w sobie cały splot nieprzewidzianych wydarzeń i nowych sytuacji. Wiedział też dobrze, że odpowiednią siłą nie rozporządza i rozporządzać nie może. W chwili wybuchu wojny decydujące znaczenie dla Piłsudskiego miały dwa wskazania sterownicze: po pierwsze to, że w konflikcie tym nie może zabraknąć choćby symbolicznej ale jak najbardziej niezależnej polskiej formacji wojskowej, walczącej o sprawę polską a zdolnej do stania się w odpowiednich warunkach zahartowaną w bojach kadrą przyszłej armii polskiej; po wtóre ustalił dla siebie i swoich poczynań orientację „warunkową", sprowadzającą się w zasadzie do tego, by walcząc systematycznie i wszędzie o prawa polityczne Polski, doraźnie łączyć się z zaborcą najprzyjaźniejszym a najmniej niebezpiecznym przeciwko zaborcy najgroźniejszemu i najniebezpieczniejszemu. W tej myśli wydał rozkazy mobilizacyjne dla Związków i Drużyn Strzeleckich na terenie Galicji i skierował 6 sierpnia 1914 r. sformowaną w Krakowie kompanię kadrową w sile ok. 180 ludzi na teren ziemi kieleckiej w zaborze rosyjskim. Odtąd wysiłki Piłsudskiego rozwijają się równocześnie w trzech kierunkach: wojskowym, politycznym i organizacyjnym.

Siły bojowe Piłsudskiego rosły stosunkowo szybko i składały się przeważnie z elementów wybitnie ideowych. W imię organizacyjnej jedności tworzących się Legionów Polskich, dnia 22 sierpnia 1914 r. Piłsudski podporządkował swoje oddziały pod polityczne zwierzchnictwo Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, nie pozostawiając żadnej wątpliwości, że będzie nadal walczył o jak najpełniejszą samodzielność Legionów, o skoncentrowanie ich akcji bojowej na ziemiach rdzennie polskich oraz o rozszerzenie ich podstawy politycznej. Już w początkowym okresie wojny oddziały Piłsudskiego – przeorganizowane pod koniec 1914 r. w pełną, „pierwszą" brygadę Legionów Polskich – wykazały swoją wysoką

wartość bojową, zapisując w dziejach oręża polskiego nowe, wspaniałe osiągnięcia i tryumfy.

Spośród licznych potyczek i walk można tu dla przykładu wymienić bitwę stoczoną w dniach październikowych 1914 r. pod Laskami w okręgu Dęblina, w listopadzie pod Krzywopłotami, następnie ciężką i pełną bohaterskich epizodów czterodniową bitwę w okresie świąt Bożego Narodzenia pod Łowczówkiem w rejonie tarnowskim, kierowaną przez szefa sztabu pierwszej brygady, Kazimierza Sosnkowskiego, w której odznaczyli się wybitnie niektórzy młodzi oficerowie, jak por. Burhardt-Bukacki, ppor. Bortnowski, Ścieżyński i in. W maju 1915 r., po przełamaniu frontu rosyjskiego pod Gorlicami, pierwsza brygada przekroczyła Nidę i ścigając cofające się wojska rosyjskie posuwała się szybkimi marszami na wschód. Doszło wówczas – w drugiej połowie maja – do uporczywych i zaciętych walk pod Konarami, przynoszących nowe laury bojowe brygadzie Piłsudskiego. Aż do początków drugiej połowy 1916 r. walki trzech brygad Legionów Polskich na różnych frontach: centralno-polskim, karpackim, bukowińskim, lubelskim i wołyńskim, pomimo słabego wyposażenia technicznego zapisywały wiele legendarnych osiągnięć i bohaterskich wyczynów, jak słynna szarża ułanów drugiej brygady pod Rokitną, jak bitwy pod Mołotkowem, pod Jastkowem, pod Kołkami, pod Polską Górą, pod Kostiuchnówką i in. Oddziały legionowe – potraktowane przez naczelne dowództwo austriackie jako zło doraźne – rzucane często nagłymi rozkazami na odcinki frontu najniebezpieczniejsze i najtrudniejsze, wychodziły z najcięższych opresji ze stratami nieraz znacznymi i bolesnymi, ale bez osłabienia ducha bojowego i zaufania do własnego dowództwa.

Jeżeli pionierska epopeja legionowa Piłsudskiego nie zapisała w tej wojnie jeszcze większych i historycznie bardziej ważkich aktywów, to dlatego, że od początku wojny powstały zasadnicze dysonanse natury politycznej, ciążące przemożnie nad organizacją i rozbudową polskich sił zbrojnych. Przede wszystkim pomiędzy światopoglądem politycznym Piłsudskiego a nastawieniem ogólnym i tak-

tyką stosowaną przez Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie, a w szczególności przez jego Departament Wojskowy kierowany przez Władysława Sikorskiego, ujawniły się od początku zasadnicze różnice, nieraz w bardzo ostrej formie. Fakt ten próbowano początkowo ukrywać przed polską opinią publiczną, a gdy to było już niemożliwe, przypisywano winę trudnościom harmonijnej współpracy z Piłsudskim. W miarę jednak, jak różnice poglądów pogłębiały się i mnożyły, Departament Wojskowy podjął otwartą, pełną namiętnego żaru, często nie przebierającą w środkach walkę przeciwko twórcy pierwszej brygady Legionów Polskich. Ostre kontrowersje dotyczyły początkowo politycznego oparcia i organizacji związku polskich sił zbrojnych. Piłsudski pragnął, by Legiony traktowane były jako sojusznik Austrii, mający – poza ściśle skoordynowaną działalnością bojową przeciwko wspólnemu wrogowi, tj. Rosji carskiej – własne, polskie cele polityczne. Z takiego punktu widzenia wszystkie szczegóły dotyczące Legionów miały – w pojęciu Piłsudskiego – znaczenie zupełnie zasadnicze, mogące zadecydować o rozroście formacji polskich. Stąd walka i o sprawowanie dowództwa, i o koncentrację rozproszonych oddziałów legionowych na jednym, uzgodnionym odcinku wielkiego frontu wschodniego, i o formułę przysięgi, i o typ umundurowania, i o dystynkcje wojskowe, i o sposób tworzenia uzupełnień stanów bojowych pułków i wiele innych.

Zupełnie odwrotne cele i tendencje przyświecały w tych sprawach naczelnym władzom wojskowym monarchii, tak zwanemu wówczas AOK. Usiłowały one podporządkować Legiony Polskie dowództwu austriackiemu, chciały asymilować formacje polskie do c.k. Landsturmu, politycznie sprowadzić je do roli jakiegoś korpusu posiłkowego, przeznaczając go do wykonywania ciężkich, ale drugorzędnych zadań strategicznych, narzucając każdej z trzech uformowanych brygad legionowych inne dowództwo, inne zadania bojowe, na innym odcinku frontu, a częściowo nawet inne umundurowanie i odmienne dystynkcje.

Oczywiście ani Naczelny Komitet, ani jego Departament

Wojskowy nie aprobował ślepo tych tendencji austriackich władz wojskowych, przeświadczonych do głębi o przyszłym, pełnym zwycięstwie militarnym państw centralnych w tej wojnie. Natomiast obie instytucje, tj. NKN i jego Departament Wojskowy, nie pragnęły i nie uważały nawet za możliwe prowadzenia jakiejkolwiek walki z wojskową biurokracją austriacką, ufając, że dopłyną kiedyś do swojego orientacyjnego ideału, do przekształcenia ustroju dualistycznej monarchii w federację trzech równorzędnych państw: Austrii, Węgier i Polski, związanych koroną Habsburgów. Ta Polska w imię realizmu politycznego wyrzekała się milcząco zaboru pruskiego. Program ten zamierzał NKN realizować na drodze ścisłej i lojalnej współpracy, na drodze produkowania memoriałów i petycji, korzystania z audiencji u „najwyższych czynników", w rzeczywistości na drodze najmniejszego oporu.

Otóż Józef Piłsudski był zdecydowanym wrogiem szukania i korzystania z drogi najmniejszego oporu, ufania szeptanym obietnicom na przyszłość i zamykania oczu na zmieniającą się z miesiąca na miesiąc sytuację wojenną i polityczną na arenie międzynarodowej. Dlatego też niebawem nieporozumienia istniejące pomiędzy Piłsudskim a NKN-em i Departamentem Wojskowym rozszerzyły się również na teren ściśle polityczny. Bystry umysł Piłsudskiego dostrzegał wyraźnie nieodparte następstwa zachodzących zmian i wydarzeń o wiele wcześniej niż umysły zawodowych polityków. Szczególnie trzy następujące konkretne fakty skłaniały Piłsudskiego do poddania ponownej analizie jego własnej orientacji „warunkowej". Pierwszym z nich było znaczne przedłużanie się zmagań bojowych, zwłaszcza na froncie zachodnim; w połowie 1915 r. o żadnym „błyskawicznym" rozstrzygnięciu militarnym mowy już być nie mogło. Fakt drugi wiązał się ze stopniową, ale nieodwracalną redukcją pozycji politycznej i militarnej Austro-Węgier na korzyść ich patrona niemieckiego. Trzeci – bodaj najważniejszy – wynikał z wyparcia wojsk rosyjskich z głównych, centralnych ziem polskich, łącznie z ich historyczną stolicą, Warszawą.

Wnioski, które z tych faktów wyprowadzał, były zasadnicze i dalekosiężne. Tak więc w czasie swojego krótkiego pobytu w Warszawie Piłsudski zgromadził w dniu 16 sierpnia swoich przyjaciół politycznych i współpracowników z Kongresówki, okupowanej już przez państwa centralne, i odbył z nimi ważną naradę. Wszystkich zebranych zaskoczyły wówczas słowa Piłsudskiego, że zbliża się czas zmiany zasadniczej orientacji w Polsce w sensie zwrócenia frontu walki przeciwko Niemcom, którzy – wobec widocznego załamywania się siły bojowej wojsk rosyjskich – zajęli na ziemiach polskich miejsce Rosji [5]. Taktycznie zabiegał o zasadniczą deklarację w sprawie przyszłości Polski ze strony państw centralnych, ale nie dlatego, by wierzył, że taki akt będzie miał znaczenie istotne i bezpośrednie, tylko w przekonaniu, że – wobec załamywania się caratu – deklaracja taka przysłuży się pośrednio sprawie polskiej, nadając jej znaczenie międzynarodowe. Gdy tego postulatu doraźnie zrealizować nie mógł, złożył demonstracyjnie 29 lipca 1916 r. podanie o dymisję z funkcji dowódcy stworzonej przez siebie pierwszej brygady Legionów Polskich, motywując ją wyraźnie „brakiem politycznych rozstrzygnięć w sprawie Polski". Nie podtrzymany w tej walce ani przez NKN, ani przez Departament Wojskowy, otrzymał żądaną dymisję 27 września tego roku, a sprawa ta odbiła się głośnym echem zarówno w Polsce, jak i za granicą [6].

Pomimo że wojna przybrała teraz charakter „pozycyjnej", sytuacja ogólna zmienia się jak w kalejdoskopie. Front południowy i wschodni absorbuje wszystkie siły wojskowe wyraźnie słabnącej Austrii; front zachodni pożera tak ogromne ofiary w ludziach, że Rzesza Niemiecka napotyka na wciąż wzrastające trudności w uzupełnianiu braków. Równocześnie były zabór rosyjski, szczególnie Kongresówka, posiada znaczną ilość młodych mężczyzn, zdolnych do służby wojskowej a nie zmobilizowanych przy

[5] „Roczniki Warszawy", R. XI (1936), z. 4, s. 23.
[6] Por. art. M. Sokolnickiego, „Niepodległość", Londyn, t. VII (1962), s. 153.

nagłym wybuchu wojny. Wszystko to skłania państwa centralne do ogłoszenia 5 listopada 1916 r. aktu dwóch cesarzy, zapowiadającego niepodległość Polski, bez oznaczenia jej granic i statusu prawnego, ale z podkreśleniem bliższego związku z Niemcami i Austrią. Konkretnie idzie im teraz o stworzenie możliwie licznej armii polskiej, podporządkowanej oczywiście celom militarnym i politycznym państw centralnych. Aby te zamiary zakamuflować przed szeroką opinią publiczną, tworzą pod koniec 1916 r. fikcyjny zalążek władzy polskiej: Tymczasową Radę Stanu w Warszawie, powołując Józefa Piłsudskiego na eksponowane stanowisko kierownika komisji wojskowej. Znajdujący się zaś w stanie powolnej agonii i dekompozycji krakowski NKN przechodzi wielki wstrząs polityczny, gdyż tzw. austro-polskie rozwiązanie schodzi na dalszy, coraz widoczniej nierealny plan. Departament Wojskowy natomiast przyjmuje akt „piątego listopada" za dobrą monetę i tworzy natychmiast potężny aparat werbunkowy, rozsiany planowo na obszarach obu okupacji Kongresówki. Ale w rzeczywistości powodzenie akcji werbunkowej do ochotniczej armii polskiej zależy nie tyle od aparatu i propagandy Departamentu Wojskowego, ile raczej od postawy Piłsudskiego. Trzecią bowiem dziedziną jego dalekowzrocznego wysiłku była praca organizacyjna, rozwijana intensywnie od pierwszych dni wybuchu wielkiej wojny. Koncentrowała się ona głównie na powołaniu do życia i rozbudowaniu masowej organizacji paramilitarnej, tzw. Polskiej Organizacji Wojskowej, w skrócie POW.

Porucznik Tadeusz Żuliński, bratanek członka rządu narodowego z 1863 r., chemik Politechniki Lwowskiej, jeden z najwybitniejszych oficerów Związku Strzeleckiego, głęboko przywiązany do Piłsudskiego, sprawował bardzo trudną i odpowiedzialną funkcję komendanta POW na terenie całej Kongresówki w okresie od października 1914 r. do sierpnia 1915 r. Żuliński, po powrocie na własną prośbę do służby frontowej, ranny ciężko w bitwie pod Kamieniuchą, zmarł 5 listopada 1915 r. Przedtem jednak dokonał wielkiego i historycznego dzieła: całą Kongresówkę pokrył

rozwiniętą siecią POW, złożonej z elementów najofiarniejszych, najbardziej ideowych i wzorowo zdyscyplinowanych. Gdyby więc na rozkaz Piłsudskiego POW gremialnie wstąpiła do mającego powstać wojska polskiego, pociągnęłaby swoim przykładem liczne rzesze nie zorganizowanej młodzieży. Utworzenie armii polskiej w 1917 r. byłoby sprawą przesądzoną. Ale Piłsudski, rozszyfrowując szybko plany niemieckie, zdawał sobie wyraźnie sprawę z tego, że idzie tu tylko o wykorzystanie potencjału ludzkiego Polski oraz o związanie sprawy polskiej z obozem przegrywającym wojnę. Toteż nie tylko nie zamierzał łagodzić swojej walki z Niemcami – głównym i najniebezpieczniejszym teraz okupantem ziem polskich, ale postanowił ją zaostrzyć. Głosił więc konsekwentnie, że jak długo Rada Stanu lub inna naczelna instytucja nie uzyska wyraźnych kompetencji rządowych, a Legiony nie zostaną przekazane do jej dyspozycji, tak długo Legiony nie mogą stać się kadrami przyszłej armii narodowej i tak długo nie można zgodzić się na werbunek Polaków do wojska. Wszystko to stało się nowym zarzewiem gwałtownej, czasem przybierającej groteskowe formy, akcji Departamentu przeciwko Piłsudskiemu. Przeróżne odezwy, ulotki, karykatury i wydawane w wielkich nakładach periodyki kolportowane były w obu okupacjach celem poderwania autorytetu Józefa Piłsudskiego. Ale skutek był odwrotny od zamierzonego. Wskazywała na to naocznie np. masowa a przeniknięta szczerym entuzjazmem defilada garnizonu warszawskiego POW, odebrana osobiście przez zdymisjonowanego komendanta pierwszej brygady w dniu 18 marca 1917 r. na Polu Mokotowskim. Podobnych dowodów solidaryzowania się młodego pokolenia z postawą polityczną Piłsudskiego było wówczas bardzo wiele.

Na arenie międzynarodowej zaszły tymczasem dwa doniosłe wydarzenia, które musiały mieć poważny wpływ na przyszłe losy Polski. Był to nagły ale, definitywny upadek caratu w Rosji, zezwalający na usamodzielnienie się wojskowych grup polskich, pozostających dotychczas w ramach armii rosyjskich, oraz fakt przystąpienia Stanów

Zjednoczonych – wówczas najbardziej życzliwego Polakom, a zarazem najbardziej bezinteresownego mocarstwa – do wojny światowej. Oba te fakty – w opinii Piłsudskiego – musiały przechylić szalę w kierunku zjednoczenia rozbitego dotychczas społeczeństwa polskiego, by z nadzieją na pełne zwycięstwo walczyć z ostatnim agresywnym zaborcą, to jest z Niemcami. Walka ta mogła toczyć się różnymi środkami na różnych płaszczyznach. Ale terenem centralnym tych starć było forum Tymczasowej Rady Stanu, a główny ich ciężar spoczywał na barkach Józefa Piłsudskiego [7]. Kilkakrotnie daje on wyraz przeświadczeniu, że wobec rewolucji w Rosji dotychczasowy podział społeczeństwa polskiego na aktywistów i pasywistów stracił wszelki sens i jest „rzeczą minioną". „Dziś upada zarazem moralne prawo kierunku aktywistycznego do reprezentowania społeczeństwa". Władysław Studnicki, członek TRS, ideowy germanofil, zarzuca Piłsudskiemu, że w ten sposób „prowadzi swoich zwolenników do akcji na korzyść Rosji". Nie czyni to na Piłsudskim żadnego wrażenia; on wie dokładnie, ku czemu zmierza i co leży w interesie Polski. Na posiedzeniu Rady Stanu w dniu 1 maja 1917 r. przedstawia do uchwalenia następujący wniosek: „Odpowiedzialność Rady Stanu jest budowana na fikcji [...]. Skłania mnie to do postawienia wniosku złożenia naszych mandatów". Gdy postulat ten – zgłoszony w obecności przedstawicieli obu okupantów – nie został przez Radę przyjęty, Piłsudski 24 czerwca tego roku sam ustąpił z Rady Stanu.

Teraz wypadki toczyły się już z dużą szybkością. Zgodnie z zaleceniem Piłsudskiego przeważająca większość legionistów z wszystkich trzech brygad odmówiła złożenia nowej, narzuconej formuły przysięgi mającej na celu wzmocnienie więzów „braterstwa broni" z armiami państw centralnych. W połowie lipca 1917 r. władze okupacyjne aresztowały wielu przywódców POW. Obawiając się o los komendanta i wodza akcji oporu, przyjaciele przygotowali

[7] *Dokumenty do charakterystyki TRS*. Drukowane jako rękopis, Warszawa 1917, s. 17–21.

mu odpowiednie dokumenty umożliwiające bezpieczne opuszczenie Warszawy i schronienie się w Galicji; odmówił jednak kategorycznie skorzystania z tej możliwości. Uważał, że należy ponieść wszystkie konsekwencje tej walki poglądów, walki nie mającej na razie możliwości przejawienia się w innej postaci. Istotnie, 22 lipca Piłsudski został aresztowany przez władze niemieckie. Ten sam los spotkał szefa sztabu I brygady, Kazimierza Sosnkowskiego. Przebywali początkowo w więzieniach w Poznaniu, Gdańsku i Spandawie, a następnie zostali internowani w Magdeburgu. Równocześnie podjęto próbę rozbicia organizacji legionowej. Obywateli austriackich skierowano albo na front włoski, albo też do Polskiego Korpusu Posiłkowego działającego na południu frontu wschodniego; w 1918 r. po traktacie brzeskim korpus ten, dowodzony przez Józefa Hallera, zerwał łączność z wojskami austriackimi i walcząc bohatersko przebijał się na północny wschód. Legionistów z byłego zaboru rosyjskiego internowano w obozach koncentracyjnych w Beniaminowie i w Szczypiornie.

Wydawało się wówczas, że nowy, legendarny zryw garści ideowych zapaleńców został i tym razem unicestwiony przez wrogów, a ofiary zmarnowane politycznie. Ale w rzeczywistości los był w tym przypadku znacznie łaskawszy. To, czego nie udało się doczekać ani wojskom kościuszkowskim, ani legionistom Dąbrowskiego, zrywającym się do walki w imię tej, co „jeszcze nie zginęła", ani podchorążym w noc listopadową, ani powstańcom 1863 r., ani rewolucjonistom z 1905 r. – stało się udziałem społeczeństwa polskiego, a w szczególności legionistów i peowiaków Piłsudskiego w 1918 roku. Po całkowitym zdezorganizowaniu sił bojowych, społecznych i politycznych caratu przez rewolucję październikową, po wykruszeniu się wszystkich sojuszników państw centralnych, po rozkruszeniu się tajnie i jawnie kapitulujących Austro-Węgier, załamały się doszczętnie w pierwszej dekadzie listopada 1918 r. najpierw siły moralne, a następnie i militarne Rzeszy Niemieckiej. Jak przewidywał Józef Piłsudski, zwycięstwo poszło z zachodu na wschód, a w rezultacie

wszyscy trzej zaborcy Polski ulegli – przynajmniej chwilowo – pełnemu paraliżowi politycznemu. Nie uformowana ani terytorialnie, ani prawnie, ani politycznie, ani militarnie, ani gospodarczo, ani społecznie Polonia Restituta stawała się z każdym dniem coraz realniejszą rzeczywistością.

Wprawdzie wszystkie wojujące państwa Europy – zwycięskie i zwyciężone – znalazły się 11 listopada 1918 r. w sytuacji pod każdym względem trudnej a nawet krytycznej, ale rodzące się do niepodległego bytu państwo polskie było w tak wyjątkowo skomplikowanej i groźnej sytuacji, że można ją było określić jako prawie beznadziejną. Wielu też polityków obcych nie prorokowało jej trwalszego i pomyślnego żywota. Na każdym polu przejawiało się tu działanie sił odśrodkowych, wyrastały groźne niebezpieczeństwa polityczne, panował nieopisany chaos gospodarczy.

Bezpośrednio po rozbrojeniu i ucieczce Niemców z Warszawy formalnym symbolem władzy centralnej była powołana do życia przez okupantów Rada Regencyjna oraz jej gabinet urzędniczy; obie instytucje pozbawione były wszelkiej władzy faktycznej i w konsekwencji pragnęły zrzucić z siebie ciężar złowieszczej odpowiedzialności. W Lublinie powstał samozwańczy, radykalno-demokratyczny rząd, nie ufający sobie i nie cieszący się zaufaniem społeczeństwa. Zabór pruski, administrowany nadal przez Niemców, nie uznawał autorytetu ani rządu lubelskiego, ani Rady Regencyjnej. W Paryżu działał nadal jako surogat władzy i symbol niezależności Polski Komitet Narodowy, kierowany przez Romana Dmowskiego. Granice znajdującego się *in statu nascendi* państwa polskiego były kwestionowane i spychane przez sąsiadów dośrodkowo. Trzonu jednolitej armii polskiej nie było; istniały tylko odrębne i obce sobie formacje wojskowe: b. legionistów i peowiaków, dowborczyków, zdemobilizowanych żołnierzy trzech byłych armii zaborczych; we Francji istniała ponadto – uzależniona od naczelnego dowództwa alianckiego – znaczna i doskonale wyekwipowana armia hallerczyków, we Włoszech skoncentrowano pewną ilość jeńców Polaków jako kandydatów do armii polskiej, a na przepastnych obszarach Wschodu

wyłaniały się z zamętu rewolucyjnego różne formacje polskie, usiłujące dotrzeć z bronią w ręku do kraju ojczystego.

Do tego ziemie polskie zostały zniszczone i wyeksploatowane gospodarczo do granic ostatnich możliwości. Na całym uwolnionym od okupantów terenie ujawniał się teraz chaos prawny, organizacyjny, pieniężny i polityczny, administracja – o ile funkcjonowała – była pozbawiona siły sterowniczej, szkolnictwo pozostawione było przypadkowej inicjatywie, urządzenia i środki komunikacyjne zostały doszczętnie zdewastowane, napięcia społeczne rosły nieustannie.

Na szalach ówczesnej sytuacji zaważył zdecydowanie jeden – pozornie drobny fakt. Oto dnia 10 listopada 1918 r. powrócił z Magdeburga do Warszawy Józef Piłsudski. Osobiście nie zabiegał o żadne stanowisko w państwie, nie odwoływał się do próby sił, nie konspirował wówczas z nikim, niczego nie burzył, nie łamał przemocą, nie stawiał żadnych warunków ani wymagań. A mimo to cała władza państwowa i cała odpowiedzialność za najbliższą, nieznaną i niepewną przyszłość Polski, za kierunek jej ewolucji, przeszła samorzutnie na niego. Na chwilę stał się sam symbolem odradzającego się po wiekowej niewoli państwa. Pod naporem jego przemożnej indywidualności wszelka anarchia i chaos poczęły się widocznie cofać. Myśl jego sięgała w perspektywiczną przyszłość, a jego drogowskazem był instynkt ładu prawnego, harmonijnego wysiłku w odbudowie własnego państwa i zdrowej, nowoczesnej demokracji. Z tego punktu widzenia rozstrzygał też najważniejsze sprawy bieżące.

Program swojego społeczno-politycznego działania ujmował wówczas bardzo prosto. Tak np. w maju 1919 r. w wywiadzie dla prasy francuskiej reasumował swoje wysiłki w sposób następujący: „szerokim warstwom ludowym należało się więcej sprawiedliwości społecznej; chciałem przerzucić Polskę z XVIII wieku do dwudziestego stulecia!". Swoje tendencje zaś jako Naczelnika Państwa tak sformułował: „było mi dość obojętne, czy aktualne

rządy będą miały charakter ludowcowy czy inny, byle one przynosiły Polsce to, co trzeba". A najważniejsze z tego „co trzeba" mnożyło się ustawicznie oraz ulegało ciągłej i głębokiej przemianie. Sytuacja państwa zmieniała się bowiem z dnia na dzień. Należało przy tym wykażać naocznie, że tylko usilna i wytrwała praca oraz czas może uleczyć tak dotkliwie odczuwalne dziedzictwo powojenne i tworzyć nowe, pozytywne wartości społeczne, że żadne z licznych ugrupowań czy partii politycznych nie posiada cudownej recepty na nagłe uszczęśliwienie cierpiącego narodu oraz na odwrócenie wielu niebezpieczeństw, grożących państwu z zewnątrz.

Idąc tak wytyczonym szlakiem, trzeba było początkowo zająć się sprawami wewnętrznymi państwa, aby ująć w wyraźne łożyska te siły, które działały odśrodkowo. To zadanie wykonał sprawnie powołany przez Piłsudskiego pierwszy rząd niepodległej Polski, kierowany przez ideowego socjalistę, Jędrzeja Moraczewskiego, człowieka rozumnego, inteligentnego, prostolinijnego, o kryształowym charakterze, budzącego zaufanie w kołach postępowych i radykalnych. Rząd ten w ciągu swojej dwumiesięcznej działalności zrealizował kilka fundamentalnych zadań: na dzień 28 stycznia 1919 r. wyznaczył wybory do jednoizbowego Sejmu Konstytucyjnego na podstawie najdemokratyczniejszej, pięcioprzymiotnikowej, rzetelnie przestrzeganej ordynacji wyborczej, stępił ostrza demagogii i zamętu nieodpowiedzialnych grup politycznych, na obszarach dostępnych począł organizować zręby jednolitej administracji, szkolnictwa i sądownictwa, a wprowadzając 8-godzinny dzień pracy spełnił czołowy postulat klasy robotniczej.

Kilka ważkich przyczyn złożyło się na to, że już w połowie stycznia 1919 r. rząd Moraczewskiego ustąpił, a uformowany został nowy rząd pod kierownictwem Ignacego Paderewskiego, pełniącego również funkcję ministra spraw zagranicznych. Paderewski, cieszący się wielkim autorytetem jako nieskazitelny i bezinteresowny patriota polski, pod koniec grudnia 1918 r. zjawił się w stolicy zaboru pruskiego, w Poznaniu. Radykalne narodowo i zachowaw-

cze socjalnie społeczeństwo Wielkopolski zareagowało czynnie na zjawienie się Paderewskiego, zrzucając błyskawicznie ostatnie pęta niewoli pruskiej. Symbolicznie spełnił się więc jeden z najistotniejszych postulatów narodu polskiego: zjednoczenie trzech zaborów, a autorytet Ignacego Paderewskiego w kołach narodowych wzrósł jeszcze bardziej. Fakt ten wpłynął również na nastroje wyborcze w dzielnicach centralnych, wzmagając szanse wyborcze stronnictw prawicowych. Wszystko to brał Piłsudski jako Naczelnik Państwa pod uwagę. Ale na decyzji powierzenia Paderewskiemu prezydentury rządu zaważył najsilniej fakt, że sprawy polityki zagranicznej poczęły wówczas wysuwać się na plan pierwszy, a Paderewski cieszył się jak nikt inny z Polaków szczególnym szacunkiem i zaufaniem sterujących polityków Zachodu, a przede wszystkim prezydenta USA Woodrowa Wilsona.

Piłsudski, wyciągając logicznie wskazania i nauki z przeszłości historycznej, hołdował wówczas następującej koncepcji politycznej. Za fakt groźny i nieodwracalny przyjmował istnienie dwóch potężnych i wrogich, często współdziałających ze sobą, tradycyjnie agresywnych i imperialistycznych sąsiadów: Rosji i Niemiec. Z obu źródeł płynie nie tylko trwałe zagrożenie bytu Polski, ale również i zagrożenie dla kilku innych narodów. W szczególności niebezpieczeństwo takie zawisło nad Ukrainą, Białorusią, nad państwami bałtyckimi, Rumunią, Węgrami i Czechosłowacją. Gdyby więc udało się zastąpić podniety emocjonalne przesłankami rozumowymi, to należałoby dążyć do przyjaznego współdziałania wszystkich tych narodów, celem stworzenia w takiej lub innej formie wspólnoty politycznej oraz współpracy wojskowej. W takiej atmosferze pogłębiającego się poczucia wspólnoty formalna przynależność jakiegoś miasta czy okręgu stałaby się siłą rzeczy sprawą drugorzędną, a przynajmniej łatwiejszą do pokojowego rozwiązania. W rzeczywistości – wbrew tym tendencjom Piłsudskiego – prawie wszystkie granice powstającej Polski zostały zakwestionowane albo nawet zaatakowane czynnie. Ponadto – co Piłsudski odczuł najdotkliwiej –

alianci zachodnioeuropejscy zastosowali wyraźną dyskryminację, gdy szło o najżywotniejsze interesy Polski. Tak np. cała Słowacja miała być organicznie związana z Czechami, bez istotnego sondowania woli tego narodu, ale los Górnego Śląska uzależniony został od wyników plebiscytu. Wykręcono się natomiast od zastosowania tej metody do Zaolzia czy do Wilna, w przeświadczeniu, że plebiscyty wypadłyby tam na korzyść Polski. Sudety pozostawiono przy Czechosłowacji ze względów historycznych; te same argumenty zignorowano w sprawie Gdańska.

Wszystko to było zachętą dla sąsiadów Polski do rozpętania walki zbrojnej lub politycznej o granice, a w pewnej fazie wprost o byt niepodległego państwa polskiego. Z tego punktu widzenia należało stworzyć silną i cieszącą się szerokim zaufaniem społeczeństwa polskiego władzę wykonawczą. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, iż wybrany właśnie Sejm Konstytucyjny do tego poziomu świadomości politycznej nie dorastał. Nie miał on większego doświadczenia, a korzystał częściowo z nie najlepszych tradycji parlamentu austriackiego. Dnia 10 lutego 1919 r. odbyła się w Warszawie uroczysta inauguracja sejmu, w czasie której posłowie wysłuchali głębokiego i pełnego troski o przyszłość państwa przemówienia Józefa Piłsudskiego. W dziesięć dni później sejm powołując Piłsudskiego na zaszczytne stanowisko Naczelnika Państwa, uchwalił tzw. Małą Konstytucję, w której uznając się za uosobienie suwerenności państwowej, uzależniał wszystkie akty prawne i administracyjne od siebie. Na domiar złego niektóre z fundamentalnych postanowień – prawdopodobnie na skutek doraźnych kompromisów międzypartyjnych – sformułowano w sposób dwuznaczny, mogący powodować spory interpretacyjne. Było to wyraźne wyzwanie rzucone twardej i lubującej się w ścisłości naturze Józefa Piłsudskiego.

Tymczasem horyzont polityczny nad Polską zaciemniał się coraz bardziej. Natychmiast po załamaniu się państw centralnych, nie bez wydatnej obcej pomocy, rozgorzały walki ukraińsko-polskie na terenie Galicji Wschodniej.

Ludność polska tych okręgów skazana początkowo wyłącznie na własne siły, pomimo dokonywania wielu wyczynów bohaterskich, nie dysponując potrzebnym materiałem wojennym nie mogła sprostać zasilanym przez czynniki obce wojskom ukraińskim. Od 11 marca 1919 r. siłami zbrojnymi polskimi w Galicji Wschodniej dowodził znakomity, bojowy generał Wacław Iwaszkiewicz. Ale pod naporem lepiej uzbrojonego przeciwnika front polski począł cofać się z początkiem czerwca w kierunku na Lwów i Przemyśl. Wówczas Piłsudski skierował świeżo zorganizowane wojska, m. in. wyborowe oddziały 36 pp., zwanego Warszawską Legią Akademicką, na ten zagrożony odcinek, wyznaczając początek polskiej kontrofensywy na dzień 28 czerwca. Przed rozpoczęciem tej akcji Piłsudski, który przybył na front, powiedział do drugiego baonu rozlokowanego w Chodorowie: „ściągnąłem was tutaj z Warszawy, abyście pokazali wszystkim, i swoim, i wrogom, jak powinien walczyć żołnierz polski". Ofensywa przygotowana przez Piłsudskiego miała całkowite powodzenie; 17 lipca dotarły wojska polskie nad Zbrucz, dawną galicyjską linię graniczną, kończąc ten etap walki o ustalenie granic swego państwa.

Nie był to oczywiście jedyny odcinek absorbujący szczupłe siły wojskowe odradzającej się do niepodległego bytu Polski. Cała, rozległa choć nie ustalona formalnie wschodnia granica Rzeczypospolitej była potencjalnie w najwyższym stopniu zagrożona. Dla znającego tradycyjne instynkty polityczne naszych sąsiadów nie mogło ulegać wątpliwości, że zarówno Niemcy czekają niecierpliwie na uwikłanie się bezsilnej i pogrążonej w chaosie Polski w starcie zbrojne z Sowietami, jak też komunistyczna Rosja wyczekuje na dalsze powikłania polityczne i społeczne w Europie Zachodniej, aby znaleźć pretekst do przeniesienia rewolucji bolszewickiej poprzez Polskę jak najdalej na zachód. W umyśle Józefa Piłsudskiego to śmiertelne niebezpieczeństwo zarysowane było z całą wyrazistością, choć początkowo obawy jego nie były podzielane przez zachodnich mężów stanu, oczekujących na rychłe obalenie rzą-

dów bolszewickich i na zwycięstwo swoistych zasad demokratycznych w Rosji. Obie krańcowe alternatywy rozwoju wypadków w Rosji Piłsudski poczytywał za trwałe zagrożenie bezpieczeństwa Polski. Ale zwycięstwo sił reakcyjnych, sił „białych", walczących pod dowództwem generałów carskich przeciwko bolszewikom uważał za alternatywę najgorszą i dla Polski najniebezpieczniejszą; Rosję komunistyczną pragnął w granicach możliwości osłabić, ale nie zniszczyć. W takich warunkach doszło do porozumienia Piłsudskiego z atamanem ukraińskim Semenem Petlurą, na podstawie którego Polska przyrzekła czynną pomoc w budowie zawiązków wojsk ukraińskich oraz w walce o niezawisłość Ukrainy, uznającej linię Zbrucza za granicę ukraińsko-polską.

Tak doszło na wiosnę 1920 r. do akcji wojsk polskich i współdziałających z nimi zbrojnych oddziałów ukraińskich, uwieńczonej zajęciem 8 maja 1920 r. głównego ośrodka ruchu ukraińskiego i historycznego miasta Kijowa. Operacja ta rozwijała się jednak w szczególnie trudnych warunkach. Urządzenia komunikacyjne na zapleczu były całkowicie zniszczone; gospodarczo obszary te były silnie zdewastowane przez wojnę i rewolucję. Zapewnienia Petlury o wielkiej popularności tej wyprawy na Ukrainie nie sprawdziły się. Organizowanie poważnej armii ukraińskiej było dość nieudolne. Toteż podjęta już w czerwcu ofensywa zmasowanych sił Armii Czerwonej, armii dowodzonych przez generałów sowieckich Tuchaczewskiego i Budionnego, miała początkowo ogromne powodzenie. Na całym froncie armie polskie zmuszone zostały do pospiesznego odwrotu. Seria szybkich, ciągłych i łatwych zwycięstw pozbawiła jednak władze sowieckie bystrości sądu i ostrożności w działaniu. Ostateczny pogrom Polski uważali bolszewicy za niewątpliwy pewnik. Z Czerwoną Armią wkraczał na ziemie polskie sformowany w Moskwie rzekomo „patriotyczny" rząd komunistyczny, głoszący sowietyzację Polski jako etap tryumfalnego marszu ku zachodniej Europie. Piłsudski zaś ocenił niezwłocznie braki i błędy własnej akcji, wykazał nadzwyczajną równowagę

ducha oraz cierpliwość znoszenia pasma niepowodzeń i zjadliwej krytyki skierowanej przeciwko swojej osobie. W zasadzie nie uwzględniał stanów liczbowych rozbitych jednostek wojsk polskich, ale przygotowywał nowe uderzenie ofensywne, głównie świeżych sił polskich, celem rozerwania pierścienia Armii Czerwonych, spieszących po laury ostatecznego zwycięstwa, a nie troszczących się zbytnio o ubezpieczenie i organizację własnego zaplecza.

Tak doszło w połowie sierpnia 1920 r. do rozstrzygającego uderzenia polskiego na odcinku od Wieprza do Bugu, do rozegrania „osiemnastej decydującej bitwy w dziejach świata", jak określił ją historyk i dyplomata brytyjski D'Abernon[8]. Swoją opinię o tej bitwie i jej naczelnym wodzu Józefie Piłsudskim przekazuje wysłannik rządu francuskiego i marszałka Focha, generał Weygand, współpracujący w tym czasie – od 25 VII do 24 VIII 1920 r. – z dowództwem polskim, w słowach następujących:

Piłsudski w przeddzień ofensywy jest spokojny i zdecydowany. Jego grupa rusza o godzinie 2 nad ranem 16 sierpnia do ataku. Zaskoczenie nieprzyjaciela jest całkowite. Cała osłona lewego skrzydła bolszewickiego przestała tego dnia istnieć. Dowództwo sowieckie zostało ubezwładnione i odurzone zaskoczeniem. Przez dwie doby nie wydano tam żadnych rozkazów. Dnia 18 sierpnia zaczął się pościg za uchodzącymi na wschód i północ armiami sowieckimi. Kawaleria polska zagarnia park artyleryjski, przeznaczony do oblężenia Warszawy. Łup tych dni obejmował m. in. 65 tysięcy jeńców, 230 armat, ok. 1000 karabinów maszynowych.[9]

Po druzgocącej klęsce bolszewików na froncie polskim generał Wrangel, dowódca wojsk „białogwardyjskich" w południowej Rosji, apelował do Piłsudskiego o kontynuowanie wojny przeciwko Sowietom, aż do całkowitego ich zniszczenia. Ale Piłsudski, jak pisze francuski historyk Mourin[10], „był wrogiem wszelkich rządów białogwardyjskich w Rosji" i już 12 października 1920 r. doszło

[8] V. hr. D'Abernon, *Osiemnasta, decydująca bitwa w dziejach świata*, tłum. z ang., Warszawa 1932.

[9] Jen. Weygand, *Bitwa o Warszawę*, odczyt wygł. w Brukseli, tłum. pol. Warszawa 1930, s. 27–31.

[10] M. Mourin, *Histoire des Grandes Puissances depuis la Guerre*, Paris 1939, s. 377.

do zawarcia rozejmu pomiędzy stronami walczącymi, a 18 marca 1921 r. wiceminister spraw zagranicznych Jan Dąbski w imieniu Polski i Adolf Joffe w imieniu Związku Radzieckiego podpisali w Rydze swobodnie i w pełnym porozumieniu ustalony układ pokojowy. Na marginesie tych faktów historycznych M. Mourin pisze:

Zdawałoby się, że Związek Radziecki może być tylko przyjaźnie nastawiony do takiego sąsiada; przecież dopiero wycofanie wojsk sowieckich z frontu zachodniego umożliwiło bolszewikom pokonanie Wrangla.

W tych historycznych chwilach, w lipcu i sierpniu 1920 r., w tych dniach bohaterskiego zmagania się narodu polskiego o swój niepodległy byt i należne mu granice, jedynym ostrym i przykrym zgrzytem było stanowisko zachodnich aliantów, do których zwrócił się rząd Władysława Grabskiego z prośbą o czynną pomoc militarną, choćby tylko w zakresie uzbrojenia. Rządy alianckie wezwały delegację polską, na której czele stanął premier rządu Władysław Grabski, do Spaa w Belgii na dzień 5 lipca 1920 r. Przez kilka dni ciągnęły się poufne rozmowy i negocjacje, w których główną rolę odgrywała kierowana przez Lloyd George'a delegacja brytyjska, przyjmująca jako pewnik, że siły wojskowe Polski są ostatecznie rozbite i zmuszone będą prędzej czy później do całkowitej kapitulacji.

W rezultacie, przy zastosowaniu metod nacisku, zmuszono zgnębionego do ostateczności szefa delegacji polskiej do podpisania 10 lipca układu, mocą którego Polska godzi się na natychmiastowe zawieszenie broni z Sowietami, przyjmując wyraźnie nakreśloną tzw. linię Curzona jako demarkacyjną, przy czym Wilno miało być definitywnie przyznane Litwinom. Ponadto rząd polski zobowiązuje się w tym układzie do przyjęcia wyroku Sojuszniczej Rady Najwyższej co do granicy polsko-litewskiej, w sprawie Galicji Wschodniej, w sprawie okręgu cieszyńskiego spornego z Czechami, oraz co do przyszłego traktatu gdańsko-polskiego. Przewidziane też zostało zwołanie do Londynu konferencji pokojowej, przy współudziale delegacji sowieckiej, litewskiej, łotewskiej, wschodniogalicyjskiej i polskiej

celem ostatecznego rozstrzygnięcia – pod egidą brytyjską – spornych spraw granicznych. W zamian za te zobowiązania rządu polskiego rząd brytyjski skierować ma do Rosji sowieckiej apel pokojowy. Dopiero gdyby władze bolszewickie odmówiły zawarcia na takiej podstawie rozejmu, Sprzymierzeni dadzą Polsce pomoc, przede wszystkim w materiale wojennym, „jednakże z uwzględnieniem własnego wyczerpania oraz wcześniej przyjętych zobowiązań".

Piłsudski był do głębi poruszony decyzjami Sprzymierzonych, parafowanymi przez delegację polską w Spaa. Jaskrawa dyskryminacja Polski – zwracającej się z całą ufnością do czołowych mężów stanu Europy Zachodniej – wyżłobiła w jego umyśle niezatarte ślady głębokiej niechęci do polityków obcych i własnych. Wyniki konferencji w Spaa przyspieszyły w Polsce utworzenie nowego rządu (24 VII) „obrony narodowej" pod przewodnictwem Wincentego Witosa i Ignacego Daszyńskiego. Ale nawet wspaniałe zwycięstwo Polski na polu walki nie mogło już naprawić niektórych ważnych decyzji politycznych wymuszonych na delegacji polskiej w Spaa.

Dwa fakty z okresu przed pogromem Czerwonej Armii w sierpniu 1920 r. należy tu – jak się wydaje – przytoczyć dla całości i uwypuklenia obrazu. Oto Sowiety zwlekając w tym czasie z udzieleniem Polsce konkretnej odpowiedzi w sprawie przerwania działań wojennych, podpisały 12 lipca traktat z rządem litewskim, w którym przyznały Litwie Wilno, Grodno i Lidę, a więc okręgi posiadające znikomy odsetek ludności litewskiej, pod warunkiem wojskowej okupacji przez Czerwoną Armię tych terenów – „jak długo wymagać tego będą konieczności strategiczne". A takie konieczności mogą istnieć w nieskończoność. Fakt drugi, dość wymowny, wiąże się z informacją ministra spraw zagranicznych Sapiehy dla przedstawiciela prasy z dnia 14 lipca 1920 r. Oto jej istotna treść: „Prosiliśmy Sprzymierzonych, aby odstąpili nam tę część broni poniemieckiej, która przeznaczona jest do zniszczenia. Ententa odpowiedziała odmownie,

zasłaniając się tym, że traktat wersalski tego nie przewiduje"[11].

Następstwa konferencji w Spaa i wojny polsko-bolszewickiej ciągnęły się jeszcze przez czas dłuższy. Sprawa Zaolzia została rozstrzygnięta na naszą niekorzyść; prawa Polski w wolnym mieście Gdańsku sformułowano w ten sposób, że stworzono pasmo nie kończących się nieporozumień i sporów. Chwilowo najbardziej aktualnym zagadnieniem stała się sprawa wileńska, tym bardziej, że rząd litewski okazywał nieprzejednaną wrogość w stosunku do Polski. Dnia 8 października 1920 r. – nie czekając na dalsze apodyktyczne rozstrzygnięcia Rady Najwyższej – dywizja białorusko-litewska, świeżo okryta chwałą wojenną, a dowodzona przez kresowca, generała Lucjana Żeligowskiego, otrzymała rozkaz Piłsudskiego „zbuntowania się" i zajęcia Wilna, z tym, że pułk dzieci wileńskich nie miał brać czynnego udziału w jakichkolwiek utarczkach zbrojnych, mogących wydarzyć się przy przeprowadzaniu tej akcji. Tak opisuje naoczny świadek ten moment historyczny[12]: dnia 9 października pomiędzy godziną 16 a 17 poczęły wkraczać do Wilna od strony Zwierzyńca i Nowego Świata „zbuntowane oddziały" wojsk polskich. Aby podkreślić pokojowy charakter tego aktu, wojsko wchodziło w zwartym szyku, z rozwiniętymi sztandarami i orkiestrą na czele. Na ulicach falowało morze głów ludzkich. Na widok pułku dzieci wileńskich i ich powszechnie znanego majora Bobiatyńskiego ulice szaleją, krzyczą, śmieją się i szlochają na przemian. Entuzjazm mieszkańców Wilna dochodzi do zenitu, gdy na baszcie Góry Zamkowej zatknięta została biało-czerwona chorągiew. Swoi powrócili do swoich.

W najbliższych dniach generał Żeligowski obwieścił stworzenie Litwy Środkowej, która sama zadecyduje o swoim przyszłym losie. Składała się ona z powiatów: wileńsko-trockiego, oszmiańskiego, części lidzkiego, święciańskiego, postawskiego i wilejskiego – o łącznym

[11] K.W. Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej*, Warszawa 1924, s. 297
[12] „Niepodległość", t. VII, Londyn – Nowy Jork 1962, s. 214.

obszarze 15 tys. km² z 550 tys. mieszkańców. Wybrany na podstawie demokratycznej ordynacji sejm Litwy Środkowej orzekł dnia 20 lutego 1922 r., że „ziemia wileńska – bez warunków i zastrzeżeń — stanowi nierozdzielną część Rzeczypospolitej Polskiej". Zanim to się stało i uzyskało pełną aprobatę Rady Ambasadorów, rząd brytyjski i francuski zaprotestował ostro przeciwko zajęciu Wilna przez generała Żeligowskiego. Reagując na te noty Piłsudski odpowiedział 20 października 1920 r. dobitnie: „Jeżeli Sprzymierzeni zechcą oddać Wilno Litwie bez wysłuchania woli miejscowej ludności, będę zmuszony złożyć wszystkie godności i jako obywatel Wileńszczyzny spełnić swój obowiązek". Wszyscy wiedzieli, że Józef Piłsudski wykona dobrze i skutecznie swoją zapowiedź.

Równocześnie z tymi wydarzeniami, z plebiscytami, ze zrywami powstańczymi na Górnym Śląsku, głęboką ewolucję przechodziły też stosunki wewnętrzne w odrodzonej Polsce. Wojna ze Związkiem Radzieckim oraz walki o utrwalenie granic państwa rozkołysały silnie uczucia narodowe. W następstwie wojen odbudowa gospodarcza została opóźniona. Silna inflacja pieniężna dawała się ludności dotkliwie we znaki. Reforma rolna praktycznie nie ruszyła z miejsca. Wszystko to tworzyło sprzyjające warunki dla wszelkiej demagogii i rozgrywek politycznych o władzę. Ostrze codziennej walki skierowało się teraz przeciwko Józefowi Piłsudskiemu, przeciwnikowi największemu i najtwardszemu. On zaś z wyjątkową ale bezkompromisową cierpliwością domagał się przyjęcia kilku zasad, które w położeniu Polski wydawały się mu szczególnie ważne. Żądał więc, aby wyłączyć sprawy wojska i obrony narodowej z wszelkiej gry politycznej. Podobny postulat zgłaszał w odniesieniu do polityki zagranicznej. Pragnął też, aby każdorazowy rząd poświęcał się całkowicie obowiązkom i służbie państwowej, by uznawał prymat interesu państwowego przed partyjnym. W tym czasie Piłsudski odnosił się jeszcze pogodnie a nawet przyjaźnie do ludzi odmiennych przekonań politycznych i nie reagował ostrzej nie tylko na zjadliwą nieraz krytykę własnego postępowa-

nia, ale nawet na najcięższe insynuacje. Tak np. rozgłaszano w sferach politycznych, że Piłsudski świadomie zwleka z odsieczą dla walczącego z Ukraińcami Lwowa, że kontaktuje się poufnie na szkodę Polski z władzami bolszewickimi, że popiera szczególnie Żydów, a żona jego pochodzi z rodziny żydowskiej, że otacza się masonami itp. Piłsudski zaś, świadomy swego autorytetu w społeczeństwie i w armii, świadomy swojej roli szefa państwa, wyciągał rękę do dawnych przeciwników politycznych i szukał sposobów współdziałania. Gdy więc państwowa racja stanu wymagała jednolitej reprezentacji na konferencji pokojowej w Paryżu, Piłsudski pisze 21 XII 1918 r. do szefa Komitetu Narodowego, Romana Dmowskiego [13]:

Drogi Panie Romanie! Opierając się na naszej starej znajomości mam nadzieję, że w chwili tak poważnej co najmniej kilku ludzi potrafi się wznieść ponad interesy klik i grup.

Pod koniec stycznia 1919 r. Naczelnik Państwa pisze do tego samego adresata:

[...] w kraju dwa stronnictwa są żywe, ruchliwe i wnoszą inicjatywę, Narodowa Demokracja i Polska Partia Socjalistyczna. Oba prowadzą ze sobą bezwzględną walkę, uniemożliwiającą uzyskanie wspólnej platformy choćby w jednej sprawie, choćby na czas jak najbardziej krótki [...]. W rezultacie zapomina się o interesach całości państwa, a deklaracje o ojczyźnie stają się frazesem. Każde normalne państwo strzeże polityki zagranicznej i spraw armii jako monopolu państwowego. W Polsce pod tym względem panuje bezgraniczna anarchia [14].

Podobne listy do generała Hallera z 1919 r. są pełne szacunku, kurtuazji i uznania. Gdy dnia 27 maja 1921 r. rząd Witosa napotykając na trudności personalne podaje się do dymisji, Piłsudski pisze dnia następnego do premiera Witosa przyjazny list, w którym odmawiając przyjęcia rezygnacji, podkreśla wielkie zasługi i osiągnięcia tego rządu [15].

Te i podobne gesty i pojednawcze posunięcia Piłsudskiego nie doprowadziły do pożądanego ukształtowania się stosunków na arenie sejmowej i politycznej. O każdym

[13] J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937–38, t. V, s. 45–46.
[14] „Niepodległość", Londyn – Nowy Jork 1962, t. VII., s. 11–14.
[15] J. Piłsudski, *op. cit.*, s. 70–72, 101, 215–216.

zagadnieniu państwowym – wielkim czy małym – decydował wówczas z reguły nie interes publiczny, ale zakulisowe gry, koterie i ambicje personalne. Zwalczano namiętnie każdą silniejszą indywidualność na horyzoncie politycznym; pożądany był rząd słaby, ugodowy i paktujący z suwerenami sejmowymi. Dotyczyło to spraw nawet najbardziej podstawowych. Tak więc w ustawie konstytucyjnej z 17 marca 1921 r. ograniczono rolę polityczną i prerogatywy przyszłego prezydenta Rzeczypospolitej z myślą o ewentualnej kandydaturze Piłsudskiego na to stanowisko. W połowie 1923 r. minister spraw wojskowych generał Stanisław Szeptycki wniósł do sejmu projekt ustawy o organizacji najwyższych władz wojskowych. Według tego projektu prezydent Rzplitej nie uczestniczyłby w radzie wojennej, a generalny inspektor armii, tj. przyszły wódz naczelny w razie konfliktu zbrojnego, byłby podporządkowany we wszystkich sprawach zależnemu od sejmu ministrowi spraw wojskowych. Zakładając, że tym generalnym inspektorem mógłby być Józef Piłsudski, projekt odbierał mu wszelki wpływ na obsadę wyższych stanowisk w wojsku. Wytrawny obserwator i sam czołowy aktor na scenie politycznej, przeciwnik „sanacji" i więzień brzeski, b. premier Wincenty Witos pisze o tych czasach w swoich pamiętnikach:

[...] endecy judząc stronnictwa centrowe prowadzili jakąś grę tajną [...]. W sejmie widziałem złą wolę na każdym niemal kroku, żądania wprost niewykonalne, walkę przechodzącą w formy wprost nieludzkie i ordynarne... Społeczeństwo zaś wrzało gniewem przeciwko sejmowi i politykom [16].

Historia notuje niejeden przykład ostrej lub nawet gwałtownej reakcji wielkich indywidualności politycznych na zło panoszące się jawnie i uporczywie. W przekonaniu Piłsudskiego złośliwe i ciągłe rozgrywki polityczne współczesnych sejmów polskich nawiązywały do najgorszych, wprost zgubnych tradycji sejmów szlacheckich z XVIII wieku [17]. W latach dwudziestych za każde nie dość sprawne

[16] W. Witos *Moje wspomnienia*, Paryż 1964–1965, t. II, s. 426, t. III, s. 80.

[17] Por.: S,. Staszic, *Zasady do poprawy formy rządu*, Warszawa 1789.

i gorliwe realizowanie postulatów koterii politycznych następowało obalenie rządu przez sejm. Aby podważyć autorytet wojskowy Piłsudskiego – wzmocniony po zwycięskiej wojnie w 1920 r. – wyolbrzymiano zasługi istotne i niemałe, generałów Władysława Sikorskiego i Józefa Hallera, samo zwycięstwo przypisywano niezgodnie z prawdą historyczną generałowi Weygandowi, a krytykowano zjadliwie właściwego zwycięskiego wodza, Józefa Piłsudskiego. Wszystkie te – zarówno jawne, jak i podjazdowe – walki i intrygi prowadziły stopniowo do przełomu w strukturze psychicznej Piłsudskiego, a bilans tego procesu, choć niewątpliwie korzystny w ostatecznym obrachunku dla państwa, zawierał również pozycje pasywne dla samego Piłsudskiego.

Zaczęło się w połowie 1922 r. od starć dialektycznych i interpretacyjnych. Wówczas to, powodując nagłą i nieoczekiwaną dymisję gabinetu Antoniego Ponikowskiego, Piłsudski wywołał zasadniczy spór z sejmem o interpretację prawną prerogatyw naczelnika państwa w obowiązującej konstytucji. Marszałek sejmu Wojciech Trąmpczyński zaprosił Piłsudskiego na posiedzenie „konwentu seniorów", organu nie przewidzianego w konstytucji, a w rzeczywistości decydującego o wszystkich najważniejszych posunięciach sejmowych. Naczelnik Państwa domagał się z naciskiem miarodajnej wykładni ustępu trzeciego, punktu drugiego konstytucji, który głosił, że „naczelnik państwa powołuje rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z sejmem". Otóż Piłsudski domagał się konkretnej odpowiedzi na trzy narzucające się pytania: po pierwsze, jaką rolę przyznaje konstytucja naczelnikowi państwa w związku ze sformułowaniem „powołuje rząd"? Po drugie, co mają oznaczać słowa: „na podstawie porozumienia z sejmem", czyli kto ma w tych sprawach decydować ostatecznie? Wreszcie po trzecie, w jaki sposób i przez jaki organ ma być wyrażona miarodajna wola sejmu w tej sprawie? Przeprowadzona w konwencie dyskusja potwierdziła z całą oczywistością tezę Piłsudskiego, że wyrazicielem woli sejmu nie może być konwent seniorów;

zdecydowano więc, że utworzona zostanie nowa komisja główna sejmu, której opinie w tym zakresie mają być miarodajne [18]. Wówczas Piłsudski, jako naczelnik państwa, zrzekł się inicjatywy przy powoływaniu nowego rządu, inicjatywy, która mogła być odrzucana w nieskończoność przez komisję główną. Po dłuższych pertraktacjach, na naleganie marszałka sejmu, Naczelnik Państwa 26 czerwca desygnował Artura Śliwińskiego na stanowisko szefa rządu. W ciągu dwóch dni Śliwiński utworzył rząd, ale już 7 lipca gabinet ten został obalony przez sejm. Przesilenie trwało do końca lipca, gdy wreszcie z inicjatywy Piłsudskiego stworzony został rząd pod kierownictwem rektora UJ, profesora Juliana Nowaka.

Najgłębszy i najtrwalszy przełom w psychice Piłsudskiego dokonał się dnia 16 grudnia 1922 r. w związku z zamordowaniem nowo wybranego prezydenta Rzplitej, Gabriela Narutowicza. Formalną odpowiedzialność za ten wstrząsający czyn ponosi zbrodnicza jednostka, ale dla każdego, kto przeżywał i naocznie kontrolował przebieg wypadków od dnia 9 grudnia 1922 r., to jest od wyboru Narutowicza przez Zgromadzenie Narodowe aż do tragicznych chwil w gmachu warszawskiej „Zachęty", było jasne, że odpowiedzialność faktyczna obciąża bezapelacyjnie tych kilkudziesięciu posłów i polityków prawicowych, którzy siejąc fałsz i podjudzając, bezmyślnie wywoływali przejawy masowej i gorączkowej histerii w części społeczeństwa stolicy. Nikt z ówczesnych antagonistów nie podnosił żadnych zarzutów, dopóki Gabriel Narutowicz, uczony światowej sławy, piastował godność najpierw ministra robót publicznych, a następnie bardzo odpowiedzialną funkcję ministra spraw zagranicznych; przeciwnie, podkreślano często wartości i zasługi Narutowicza jako wypróbowanego od dawna patrioty polskiego, z przekonań demokraty w znaczeniu zachodnim, jako jednej z najwybitniejszych indywidualności w Europie.

Wszystkie te oczywiste wartości uległy nagłej zmianie,

[18] K.W. Kumaniecki, *op. cit.*, s. 623.

gdy kandydat endecki – niestrawny dla ludowców – przepadł w głosowaniu, a wbrew ich woli wybrany został Gabriel Narutowicz. Nie uszanowano nawet dostojeństwa, symbolizowanego w cywilizowanym świecie przez głowę państwa. Gdy 11 grudnia zdążał w otwartym powozie do sejmu dla złożenia przepisanego konstytucją ślubowania, obrzucono go wyzwiskami i grudami śniegu. Wypadki te wzburzyły do głębi podnietliwą naturę Józefa Piłsudskiego. Nie zareagował jednak doraźnie, świadom tego, że jedno ostrzejsze słowo rzucone przez niego w chwili tak napiętych stosunków wewnętrzno-politycznych, spowodować by mogło walkę bratobójczą. Dopiero na przełomie roku piętnuje w oględnych słowach fakt, że w tych dniach budowało się z oczywistego fałszu i nonsensu drogowskazy myślenia i działania politycznego; moralni sprawcy tego hańbiącego czynu – mówił on – wyrzekli się własnej duszy i zachodniej kultury, a przyjęli duszę inną, cudzą, co jest na dalszą przyszłość zarówno złowieszcze, jak i niebezpieczne.

Do generalnego ataku przeszedł Piłsudski w połowie 1923 r. Jak zawsze, tak i w tym przypadku występuje do walki – która w istocie rzeczy była buntem wielkiej, historycznej jednostki przeciwko rozkruszaniu sił i wartości państwa oraz poniżania jego godności – jawnie i z podniesioną przyłbicą. Zrzekł się więc wszystkich stanowisk urzędowych, opuścił szeregi tak umiłowanego wojska polskiego, przeniósł się z Warszawy do Sulejówka, a przemawiając do grupy b. legionistów uzasadniał: usuwam się z czynnej służby w wojsku polskim, gdyż wojsko winno być „wielkim niemową", a sytuacja polityczna państwa wymaga, abym przemawiał.

W ciągu prawie trzech lat, w których jest w opozycji do kolejnych rządów i do „zwyczajów politycznych", przemawia i ogłasza wywiady, głównie w warszawskim „Kurierze Porannym", nie przebierając ani w słowach, ani w formach ataku. Słowa jego są gorzkie i palące jak ogień, często obraźliwe dla przeciwników, a czasem pełne nie sprawdzonych zarzutów i twierdzeń. Był jednakże głęboko przeświadczony, że w Polsce ówczesnej „swobody demo-

kratyczne zostały nadużyte tak, że można było znienawidzieć całą demokrację"; należało więc wstrząsnąć silnie opinią publiczną Polski.

A przyczyn i powodów do głębokiej troski o państwo było wówczas wiele. W polityce międzynarodowej musiał niepokoić układ lokarneński i wybór Hindenburga na prezydenta Niemiec, podpisanie w kwietniu 1926 r. porozumienia sowiecko-niemieckiego o współpracy wojskowej i ciągłe, jawne łamanie zobowiązań międzynarodowych, zaostrzająca się „wojna celna" niemiecko-polska i mnożące się spory Gdańska z Polską; również w polityce wewnętrznej nie było powodów do beztroskiego kwietyzmu: bezrobocie wzrastało szybko i silnie, zaskoczyła wszystkich ponowna dewaluacja pieniądza, bilans handlowy i płatniczy wykazywał saldo ujemne, mnożyły się zamachy komunistyczne. Momentem podsycającym temperaturę walki był też fakt, że w Piłsudskim dominowała psychika stratega, który usiłuje rozbić siły przeciwnika stosując jego własne metody walki, jego taktykę, jego chwyty, jego system inwektyw i zaskoczeń.

Strona atakowana, tj. wielopartyjny sejm, wciąż niepewny swojej przyszłości rząd oraz liczne, czasem zakonspirowane kuźnie intryg politycznych, czuła się chwilowo dostatecznie silna do przeciwstawienia się Piłsudskiemu; była rozbita i zróżnicowana, gdy szło o rozumienie i wypełnianie obowiązków państwowych, była jednak zwarta i solidarna w obliczu krytyka i domniemanego wroga. W takich warunkach – prędzej czy później – musi dojść nie do kompromisu, bo jest on niemożliwy, ale do „krótkiego spięcia" i całkowitego wyjaśnienia zagmatwanej sytuacji wewnętrznej.

Zmaganie się tych dwóch prądów: siły moralnej Piłsudskiego i siły rzeczowej jego przeciwników, wzrastało od początku 1926 r. szybko i wyraźnie. Napięcie doszło do zenitu w pierwszych dniach maja, po ustąpieniu rządu Skrzyńskiego. Gra interesów partyjnych, koteryjnych i osobistych nigdy przedtem nie wystąpiła z taką jawnością jak obecnie. Wskutek niezaspokojonych postulatów per-

sonalnych co dwanaście godzin zmieniała się osoba kandydata na szefa rządu [19]. Wreszcie dnia 10 maja sformowany został rząd „silnej ręki" Wincentego Witosa, w którym tekę ministra spraw wojskowych objął po generale Żeligowskim, cieszącym się zaufaniem Piłsudskiego, generał Malczewski, przeciwstawiający się koncepcjom Marszałka co do struktury naczelnych władz wojska polskiego. Następnego dnia Piłsudski próbował wyjaśnić przyczyny swojego krytycznego stosunku do nowego rządu; ale komisariat rządu dla miasta Warszawy zarządził konfiskatę tego wywiadu, zamieszczonego w „Kurierze Porannym". Wówczas Piłsudski, obejmując na drodze faktów dokonanych komendę nad rozlokowanymi w pobliżu Warszawy garnizonami, posiadającymi sporą liczbę oficerów legionowych, zajął w godzinach popołudniowych dnia 12 maja przedmieście Pragę, nie przekraczając na razie linii Wisły. Domagał się wówczas – jak sam mówił – jedynie ustąpienia i zmiany rządu. Były podejmowane przez Piłsudskiego próby porozumienia się z prezydentem Wojciechowskim, bezpośrednie i za pośrednictwem marszałka sejmu Macieja Rataja, ale bez pozytywnego rezultatu. W tych warunkach ok. godz. 21 tego dnia Piłsudski dał rozkaz swoim wojskom przekroczenia linii Wisły i posuwania się w kierunku Belwederu, gdzie pod patronatem prezydenta zgromadził się rząd Witosa. W tym czasie generał Rozwadowski, wzywając wojska wierne rządowi do atakowania przeciwnika, apelował do garnizonu cytadeli, rozlokowanego na tyłach wojsk Piłsudskiego o nieoszczędzanie życia przywódców buntu [20].

W ciągu nocy i następnego dnia, 13 maja, położenie Piłsudskiego uległo wzmocnieniu: kolejarze zdecydowali się poprzeć jego akcję; z odleglejszych dzielnic kraju przybyły pod jego rozkazy nowe, silne jednostki wojskowe, a oddziały z cytadeli, do których apelował generał Rozwadowski, przeszły na stronę Piłsudskiego. Sytuacja rządu Witosa stawała się beznadziejna. Ale czynniki rządowe

[19] Por. H. Swoboda, *Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej*, Warszawa 1933.
[20] H. Swoboda, *op. cit.*, s. 205.

odmawiały wciąż przerwania walki. Nieliczne wojska prorządowe wypełniały po bohatersku swój obowiązek żołnierski; tak samo spisywały się oddziały Piłsudskiego, zajmując jeden punkt oporu za drugim. Pod naciskiem tych konieczności prezydent wraz z rządem przeniósł swoją siedzibę do pobliskiego Wilanowa. Wieczorem tego dnia zapadła wreszcie decyzja o kapitulacji i ustąpieniu rządu, a o północy zrezygnował ze swego stanowiska prezydent Wojciechowski. Marszałek sejmu Maciej Rataj, jako konstytucyjny zastępca głowy państwa, zaproponował niezwłocznie przerwanie walki, w której straciło życie ok. 400 żołnierzy i oficerów. Piłsudski wyraził natychmiast zgodę na wniosek Rataja, a zarazem wypowiedział się zdecydowanie przeciwko koncepcji wprowadzenia w Polsce dyktatury wojskowej albo ustroju wzorowanego na faszyzmie[21]. Zachowując istniejący sejm i senat, domagał się zalegalizowania w normalnej procedurze parlamentarnej faktów dokonanych. W tej myśli marszałek Rataj powierzył misję utworzenia nowego, prowizorycznego rządu profesorowi politechniki Kazimierzowi Bartlowi, posłowi na sejm i wyznawcy zasad demokratycznych, którego Piłsudski darzył szczególnym zaufaniem. Zewnętrznym wyrazem tego zaufania był fakt, że Piłsudski objął w tym gabinecie tekę ministra spraw wojskowych. Tak zakończył się formalnie przewrót majowy 1926 r., o którym można by powiedzieć, że był to Ostatni Zajazd Litwy na Koronę, tylko bardziej krwawy i głębszy w skutkach niż Mickiewiczowski na Litwie.

Zwycięski i w tym przypadku Józef Piłsudski nie tryumfował, nie pysznił się sukcesem politycznym i wojskowym, nie kazał sporządzać list proskrypcyjnych ludzi wobec nowego reżimu skompromitowanych, nie zamykał swoich przeciwników lub potencjalnych wrogów w więzieniach, nie kontynuował krwawego ruchu rewolucyjnego. Był do głębi wstrząśnięty tymi ofiarami, które zostały złożone w konflikcie zachowania wierności dla umiłowanego wodza

[21] Por. wywiad Piłsudskiego w „Le Matin" z 25 V 1926.

i posłuszeństwa wobec istniejącego porządku prawnego i legalnego rządu. Podkreślił z naciskiem, że nie mogą być czynione jakiekolwiek różnice w należnym hołdzie wojskowym przy pogrzebie żołnierzy obu walczących stron; 17 maja, w dniu pogrzebu ofiar, ogłosił rozkaz do wojska zaczynający się od kornych słów: „Niech Bóg nad grzechami litościwy odpuści nam i rękę karzącą niech odwróci".

Niebawem trzy zasadnicze akty prawne zamknęły i przypieczętowały przewrót majowy w Polsce. Dnia 31 maja 1926 r. Zgromadzenie Narodowe – legalizując krótkotrwałą rewolucję – wybrało Piłsudskiego 292 głosami prezydentem państwa, przy czym kontrkandydat, wojewoda poznański Adolf Bniński, otrzymał o sto głosów mniej. Tego samego dnia Piłsudski w liście do marszałka Rataja, dziękując za wybór, odmówił przyjęcia tej godności i wysunął ze swej strony kandydaturę profesora Ignacego Mościckiego na to stanowisko. Dnia następnego Zgromadzenie wybrało Mościckiego, oddając na niego 281 głosów, a na kandydata opozycji 200 głosów. W parę dni po elekcji i zaprzysiężeniu nowego prezydenta, Kazimierz Bartel utworzył swój drugi rząd składający się przeważnie z ludzi młodszych, politycznie nie związanych z żadnymi koteriami, odznaczających się pewnym darem inicjatywy, energią i pracowitością, ambitnych i uczciwych. Premier Bartel zapoczątkował wówczas prawie czteroletni okres harmonijnej na ogół i wydajnej, często pomyślnej, czasem prawdziwie twórczej pracy państwowej, okres, w którym Józef Piłsudski – jeszcze w pełni sił i zdrowia – czuwał osobiście i wnikliwie nad działalnością rządu.

Drugi zasadniczy i ważny akt prawny, wynikający bezpośrednio z przewrotu majowego, wiąże się z przeprowadzeniem na drodze legalnej uzupełnień i zmian w obowiązującej konstytucji, zmian mających na celu wzmocnienie władzy wykonawczej w państwie. Reforma ta, przyjęta przez Izby Ustawodawcze 2 sierpnia 1926 r., umożliwiała w razie poważniejszego impasu w wykonywaniu własnych zadań rozwiązanie sejmu i senatu oraz rozpisanie nowych wyborów przez prezydenta Rzeczypospolitej, wprowa-

działa pewne rygory budżetowe, ustalała prawo prezydenta do mianowania i dymisjonowania rządów poza wszelkim naciskiem partii lub grup politycznych, a wreszcie przyznawała prezydentowi w określonych warunkach prawo do wydawania dekretów z mocą ustawy. Wszystko to wnosiło większą stabilizację do programowych prac rządu i otwierało możliwość rozwiązywania zagadnień prawno-politycznych bardziej złożonych i długofalowych. Po takim przygotowaniu uregulowane zostało trzecie zadanie wielkiej wagi państwowej, dotyczące struktury i funkcjonowania naczelnych instytucji i władz odpowiedzialnych za obronę państwa; zasady te skodyfikowane zostały w dekretach prezydenta z dn. 6 sierpnia i 25 października 1926 r., kontrasygnowanych przez ministra spraw wojskowych.

Wiele czynników złożyło się na to, że rządy pomajowe Piłsudskiego miały w pierwszych latach nieprzeciętne powodzenie na wielu polach działalności. W życiu nowego państwa przełom dokonany przez Piłsudskiego rozgraniczał dwie różne epoki: okres marazmu politycznego i gospodarczego od okresu niewątpliwych i wszechstronnych sukcesów. Trzeba przyznać, że szczęście sprzyjało początkowo tym rządom. Koniunktura gospodarcza ożywiła się wyraźnie w całym świecie. Długotrwały strajk węglarzy w Wielkiej Brytanii odbił się korzystnie na wywozie węgla polskiego. Znaczna jednak część tego powodzenia wynikała bezpośrednio z polityki i działalności rządów Piłsudskiego, z umiejętności szybkiego i właściwego wykorzystania powstających nagle nowych sytuacji, z dużej zwartości i solidarności rządu, a także ze znacznego wzrostu autorytetu państwa polskiego.

Ożywił się wówczas ruch budowlany, plaga bezrobocia z wolna zanikała, a konsumpcja stopniowo wzrastała. Bilans handlowy i płatniczy meliorował się. Kurs waluty polskiej podniósł się dość znacznie, a po pewnym czasie – również w oparciu o uzyskaną w 1927 r. większą pożyczkę zagraniczną – nastąpiła stabilizacja wartości złotego. Budżet na cele obrony został zwiększony i uwolniony od wszelkich fluktuacji politycznych. Przeprowadzono wów-

czas cały szereg podstawowych aktów prawodawczych, unifikujących stan prawny na obszarze całego państwa. Ruch oszczędnościowy rozwijał się z przyspieszeniem, kredyty zostały szerzej udostępnione, rolnictwu powodziło się wówczas dość dobrze, reforma rolna rozszerzyła się pojęciowo i poczęła realizować się na większą skalę. Powstał też ważny trzon samorządu gospodarczego na jednolitej podstawie prawnej, tworzyły się nowe przedsiębiorstwa przemysłowe, a akcja rozbudowy własnego portu morskiego w Gdyni i uruchomienia zawiązku floty handlowej pod polską banderą powiodła się wbrew pesymistycznym przewidywaniom. Narzucona Polsce przez Niemcy wojna celna poczęła przynosić pozytywne skutki dla Polski, a wspaniałą demonstracją odradzania się sił i zwartości zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego stała się – świetnie zorganizowana przez Wielkopolan – otwarta w połowie 1929 r. Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu.

W tych latach można też zanotować niemałe aktywa na odcinku polityki zagranicznej. Tak więc Polska została wybrana do Ligi Narodów, a w stosunkach niemiecko-polskich zarysowało się wyraźne odprężenie. Korzystny dla Polski oddźwięk wywołało osobiste wystąpienie Józefa Piłsudskiego w dniu 10 grudnia 1927 r. na forum Ligi Narodów w sprawie pretensji litewskich do Polski, a stosunki sojusznicze francusko-polskie ulegały normalizacji i wzmocnieniu. O tej bardzo ważnej sprawie pisze Władysław Grabski: „nasz sojusz z Francją, tak bardzo ważny i wprost nieodzowny, był do maja 1926 r. długim pasmem upokorzeń"[22]. Oto wyrywkowe tylko zestawienie głównych aktów tego czterolecia. Jednakże trzeba wyznać, że i pasywa tych lat nie są małe.

W słynnych wspomnieniach *De bello gallico* Cezar zapisuje wszystkie sukcesy i dokonania na własny rachunek. *Caesar pontem fecit* – Cezar nawet most zbudował. Piłsudski odwrotnie, nie utożsamiał się z osiągnięciami, ale brał

[22] Wł. Grabski, *Idea Polski*, Warszawa 1935, s. 74.

na swoje barki wszystkie błędy i potknięcia reżimu. Żaden jednak obiektywny sprawozdawca nie może zgodzić się na obciążanie jego osobistego rachunku całością pasywów tego okresu. A na tym rachunku widnieją takie pozycje jak poważne przekroczenia budżetowe, jak Brześć, jak preparowanie w niektórych okręgach wyborów sejmowych, jak tępienie samorządów społeczno-politycznych, jak konstytucja z 1935 r., jak sprawa gen. Zagórskiego i in. Najpierw trzeba stwierdzić fakt, że z kilku źródeł płynęły silne podniety, które sporadycznie powodowały gwałtowne odruchy u Piłsudskiego. Już od 1929 r. stan jego zdrowia pogarszał się widocznie; często bywał niecierpliwy i podrażniony. Miał świadomość tego stanu rzeczy i przed wyjazdem na Maderę w 1930 r. mówił na radzie gabinetowej o swojej śmierci i wskazywał: „musicie nauczyć się rządzić sami, bez mojej pomocy". Przy innej okazji powiedział: „odtąd tolerować będę wasze błędy, gdyż inaczej nie nauczycie się działać samodzielnie, gdy mnie zabraknie".

W tej sytuacji poczęły rodzić się – również w ramach obozu Piłsudskiego – grupy mafijne, pragnące przejąć spadek władzy po Piłsudskim. Byłem świadkiem, jak wysoko postawieni członkowie tych mafii judzili go namiętnie przeciwko partiom opozycyjnym lub pojedynczym wpływowym politykom. Wreszcie trzeba tu dodać, że sami wodzowie opozycji nie dorastali do swoich zadań i obowiązków. Zacytuję tu opinię wyjątkowo zrównoważonego przywódcy opozycji, Wincentego Witosa[23] o demonstracyjnym kongresie partii wrogo ustosunkowanych do rządu, odbytym 29 czerwca 1930 roku w Krakowie, który spowodował tyle ciężkich konsekwencji wewnętrzno-politycznych. Kongres ten, pisze Witos, był przejawem pełnej anarchii; wykrzykiwano tam obelżywe słowa pod adresem prezydenta i marszałka. Rzucono hasło niepłacenia podatków oraz deklarowano, że wszelkie zobowiązania rządu wobec zagranicy nie będą honorowane, gdy opozycja dojdzie do władzy. Takie oświadczenia głoszone w momen-

[23] W. Witos, *op. cit.*, t. III, s. 183–184.

cie przejawienia się najcięższego kryzysu gospodarczego w świecie, musiały być poczytane przez Piłsudskiego za kardynalne przestępstwo wobec państwa. Czyż demonstracje tego typu byłyby do pomyślenia w ustroju dyktatorskim, faszystowskim lub komunistycznym?

Wszystko to nie usprawiedliwiałoby dostatecznie niektórych posunięć politycznych przypisywanych Józefowi Piłsudskiemu; obiektywna prawda historyczna jest wszakże inna. Jednak nie jest moim zamiarem pisanie apologii Piłsudskiego; on – stając się z upływem każdego dziesięciolecia wartością narodową coraz większą, coraz bardziej spiżową – tej obrony nie potrzebuje. W imię służby historycznej prawdzie przytoczę więc jeden tylko fakt dość ważki, mało znany a dowodzący, jak niesłusznie obciąża się osobistą hipotekę Piłsudskiego posunięciami, którym był przeciwny. Oto na początku marca 1930 r. premier Bartel zwołał radę gabinetową na poufne posiedzenie, poświęcone wysłuchaniu referatu F. Dutkiewicza, ówczesnego kierownika ministerstwa sprawiedliwości, na temat tez do nowej ustawy konstytucyjnej. Nie mogłem dociec, kto w istocie rzeczy był autorem tego referatu; formalnie firmowało go ministerstwo sprawiedliwości. Profesor Bartel był jak najbardziej krytycznie nastawiony do tego elaboratu i wcale tego nie ukrywał; głosił on walkę ze zwyrodnieniem demokracji, ale nie z podstawowymi jej zasadami. Tym niemniej zgodził się na przedłożenie tego opracowania radzie gabinetowej. Minister Dutkiewicz referował te tezy bez zapału, głosem monotonnym i męczącym. Na tych właśnie zasadach opierała się przyjęta później, bo w 1935 r., nowa ustawa konstytucyjna. W miarę referowania Piłsudski okazywał wyraźnie coraz większe zniecierpliwienie; odwrócił się od referenta i z lekka wystukiwał swoją srebrną papierośnicą. Było to oznaką zbliżającej się burzy. Gdy Dutkiewicz skończył, premier wezwał obecnych do zabierania głosu w dyskusji; zrobiła się głucha cisza, gdyż nikt nie był do niej przygotowany. Wtedy Piłsudski – akcentując każde słowo – powiedział: ja do takiej konstytucji nie dopuszczę! Możecie próbować

robić ją, ale wbrew mnie! Wstał i opuścił salę zebrań.

Dnia 17 marca 1930 r. nastąpiła nagła dymisja rządu. W nowym gabinecie oprócz premiera, który nie chciał nadal ponosić odpowiedzialności za rosnące napięcie pomiędzy blokiem prorządowym a opozycją, stracił swoje stanowisko jedynie F. Dutkiewicz, a postulat zmiany konstytucji według modelu „elitarnego" przycichł na pewien okres czasu. Dopiero po upływie kilku lat Blok Bezpartyjny przeprowadził w styczniu 1934 r. – przez zaskoczenie opozycji – uchwałę, że zgłoszone tezy stają się obowiązującą ustawą; Piłsudski polecił skierować ten projekt jako niedojrzały pod obrady komisji konstytucyjnej sejmu. Za aprobowanie tej konstytucji w 1935 r., śmiertelnie chory Piłsudski nie może ponosić już żadnej odpowiedzialności.

Chcąc uczciwie i sprawiedliwie ocenić Józefa Piłsudskiego, jego rzeczywisty ciężar gatunkowy i rolę w naszej historii narodowej i państwowej, nie można zamykać oczu na notoryczne zjawisko, że właśnie największe indywidualności były zawsze i są złożone nie tylko z elementów najdoskonalszych, najrzadszych i najbardziej twórczych i cennych, ale również z małych przywar ogólnoludzkich. Za syntezę takich wyjątkowych wartości ludzkich, zdolnych często do pogłębienia lub nawet zmiany nurtu historii, trzeba zapłacić wysoką cenę. Takimi indywidualnościami złożonymi z wartości dodatnich i ujemnych byli przecież w dziejach ludzkości: Temistokles i Aleksander Wielki, Cezar i Oktawian, Cromwell i Waszyngton, Napoleon i Lincoln, Kościuszko i Garibaldi, Clémenceau i Lenin, i wielu innych.

W strukturze duchowej Józefa Piłsudskiego od dojrzałej młodości aż do ostatnich dni życia dominował ponad wszystkim głęboki ideał odzyskania i umocnienia niepodległej ojczyzny oraz kompleks stratega i taktyka wojskowego. Odczuwał dotkliwie wszelką formę zależności czy lekceważenia Polski przez obcych lub poniżania jej majestatu przez swoich. Zwalczał też namiętnie wszelkimi sposobami, z uporem i wytrwałością, każdego, o którym

wyrobił sobie przekonanie, że świadomie czy nieświadomie depcze polską, państwową rację stanu. Wszystkie starcia i walki przeżywał tym głębiej, że był zamknięty w sobie, że czuł się zawsze samotny, pomimo otaczającego go roju przyjaciół i współpracowników wiernych i oddanych mu całkowicie, wierzących w słuszność drogi, po której kroczy. Taktyka militarna zaś stała się jego żywiołem, formą jego myślenia i działania, techniką jego codziennej pracy. Sam był żywym wcieleniem zasady głoszącej, że „walka jest ojcem wszechrzeczy". Był też subtelnym wychowawcą i nauczycielem narodu, ale nauczycielem stosującym dydaktykę pośrednią i trudną. Od urodzenia obdarzony był instynktem wodzowskim i lubował się w przezwyciężaniu trudności na drogach największego oporu. Swoim najbliższym i najbardziej oddanym współpracownikom nie wskazywał po prostu swoich myśli, swoich życzeń, zamiarów czy postulatów; stosując taktykę typu wojennego zmuszał ich czasem poprzez długotrwałą walkę do wejścia na prawidłową drogę myślenia i działania; był bowiem przekonany, że ludzie, których przyzwyczaja się do działania według gotowej i podyktowanej recepty, odstąpią od niej bez walki, przy pierwszej „zmianie wiatru"; tylko ludzie, którzy w uporczywej walce dochodzą samodzielnie do właściwego rozwiązania wyłaniających się zagadnień, bronić będą swoich zasad i zdobytych w trudzie pozycji.

Jedną tylko osobę – ze względu na pełnioną funkcję w państwie – wyłączył Piłsudski od tej gry taktyczno-wojennej: był nią prezydent Rzeczypospolitej. Toteż na Zamku, w małym gronie zaufanych osób gotów był snuć otwarcie swoje rozważania i uwagi na różne tematy państwowe. Wywodził wówczas, jak ostrożnym i powściągliwym trzeba być w dziedzinie polityki zagranicznej, wiedząc jak często niebezpieczni ludzie, krętacze i siewcy złowrogich rad dochodzą w wielu państwach do wysokich stanowisk.

Niejednokrotnie nawracał do dręczącego go tematu możliwości politycznego porozumienia się Berlina z Moskwą, co grozić może katastrofą Polsce i innym krajom. Czy

w takich warunkach sojusz wojskowy francusko-polski z 1921 r. będzie w całej rozciągłości dotrzymany przez Paryż? Również tu wyjaśniał rzeczowo swoje głębokie i zwykle trafne koncepcje, czasem opatrzone niewłaściwą etykietą i na tej podstawie ostro zwalczane przez opozycję. Tak stało się np. z koncepcją „luzów budżetowych". Widząc lekkomyślny sposób trwonienia pieniędzy państwowych powtarzający się pod koniec każdego roku budżetowego, celem niestwarzania argumentów dla ministerstwa skarbu do ścinania nie wyzyskanych pozycji, Piłsudski proponował wyodrębnienie w każdym z resortów jednej, ściśle określonej twórczej pozycji, na którą można by bez większych formalności przenosić każdą zaoszczędzoną w tym ministerstwie złotówkę. Wielka szkoda, że koncepcja ta nie została zrealizowana.

Również tu, na Zamku, Piłsudski uzasadniał sens i główny cel powołanej w 1928 r. do życia organizacji nazwanej BBWR (Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem). Wskazując na szerzenie się w świecie krańcowych ideologii o charakterze dogmatycznym i agresywnym, groźnych dla pokoju i stabilizacji stosunków międzynarodowych, Piłsudski wyrażał obawę, że stronnictwa krańcowe w Polsce stają się przewodnikami tych prądów. Gdyby im nie przeciwdziałać w ich zaślepionej demagogii i żądzy władzy, doszłoby nieuchronnie do rozpętania krwawej i niszczycielskiej walki między tymi skrajnymi ugrupowaniami. Ta walka sprowokować by mogła obcą interwencję. Być może, że Blok wykaże wiele ujemnych stron „pospolitego ruszenia", ale posiadać on będzie wartość mocnego tamponu wbitego profilaktycznie pomiędzy dwie odśrodkowe siły, zagrażające naszemu państwu. A to jest w tej chwili najważniejsze.

Zupełnie odmienne metody stosował Piłsudski na zewnątrz, w codziennej pracy w wielkiej wytwórni politycznej, a nawet w stosunku do własnego, szczerze oddanego mu rządu. Opracowanie pierwszego po przewrocie majowym preliminarza budżetowego rozegrał z rządem w sposób mistrzowski. Opracowaniu takiemu towarzyszyły do-

tąd wielomiesięczne zażarte spory, walki podjazdowe, intrygi, groźby rządowych przesileń albo rozpadania się koalicji sejmowych. Piłsudski prostymi posunięciami zabarykadował szczelnie wszystkie te możliwości i rozegrał batalię o rozsądny i zrównoważony preliminarz w ciągu jednego posiedzenia rady ministrów. Z reguły stosował wobec doraźnego przeciwnika – a mógł nim być również jego własny rząd – taktykę zaskakującą.

Warto przytoczyć tu historię jednego ze zmagań się Piłsudskiego z rządem pomajowym w 1926 r., gdyż ten przykład scharakteryzuje wyraziście sposób jego walki o prostowanie wydeptanych a krętych ścieżek życia politycznego w Polsce. Przed wypadkami majowymi rządy spoczywały zwykle w ręku doraźnych koalicji wielopartyjnych. Partie te nie darzyły się wzajemnym zaufaniem i w obawie, by która z nich nie jednała sobie gorliwych zwolenników przez jakiekolwiek świadczenia ze strony państwa, domagały się, by nawet sprawy w istocie rzeczy drugorzędne uzyskiwały zatwierdzenie rady ministrów, wspólnego organu koalicji. Tak z biegiem czasu powstały dwa odrębne porządki rady ministrów: porządek A zawierający bardzo liczne, długo uzgadniane pomiędzy resortami, raczej formalne wnioski, oraz porządek B, który zawierał niedużą ilość ważnych i zasadniczych dla rządzenia spraw o znaczeniu państwowym. Pierwszy był traktowany jako prosta formalność, gdyż nie uzgodnione merytorycznie wnioski tej grupy nie dochodziły do aprobaty ministrów; drugi porządek mógł zawierać punkty nie uzgodnione i był wyrazem aktualnej polityki danego rządu. Ten stan rzeczy zastaliśmy po maju 1926 r. i na razie nie zmienialiśmy. Gdy Piłsudski zauważył ten proceder, zażądał szczegółowej i merytorycznej dyskusji nad 120 punktami aktualnego porządku A, który zwykle był przyjmowany bez dyskusji. Byliśmy całkowicie zgnębieni nie tylko dlatego, że ten nie budzący zainteresowania porządek zajmie wiele cennego czasu, ale i dlatego, że nikt z ministrów nie znał i nie umiał zreferować własnego wniosku, ufając opinii resortowego radcy prawnego. Toteż referowa-

nie ministrów było tak niedostateczne, że premier Bartel wycofał cały porządek A. Wtedy marszałek Piłsudski – jakby dla zaznaczenia, że interesuje go wyłącznie porządek A – opuścił zebranie. Na kilku następnych posiedzeniach rady ministrów Piłsudski z uporem ponawiał swoje żądanie, z tym tylko, że atakował w najostrzejszy sposób merytoryczną stronę każdego wniosku, bronionego już rzeczowo przez ministrów. Wnioski te z reguły przepadały w głosowaniu. Dopiero gdy premier Bartel stwierdził, że postanowił zmienić samą podstawę tego zagadnienia, w tym sensie, że wnioski takie w ogromnej większości przypadków będą załatwiane przez starostów i wojewodów, a w każdym razie nie na forum rady ministrów, twarz Piłsudskiego rozpromieniła się uśmiechem i powiedział wówczas: jest to pomyślna okoliczność, że obecnie odżegnaliście się sami od tak rozpowszechnionego u nas kultu niekompetencji. Jakiż był sens aprobowania tych wniosków przez grono ludzi, z których ani jeden nie miał najlżejszego pojęcia o całej sprawie i musiał na wiarę przyjmować to, co mu zreferowali. Również w następnych latach zdarzały się małe krótkie spięcia z rządem, ale Piłsudski nigdy nie powtarzał identycznej gry taktycznej.

Jak długo stan zdrowia na to pozwalał, Piłsudski czuwał osobiście nad sprawami polityki zagranicznej, polityki wewnętrznej i oczywiście wojska. Był przekonany, że niebezpieczeństwa grożące państwu dostrzega znacznie prędzej i wyraźniej niż inni ludzie. Tak było istotnie w wielu przypadkach, nawet w dziedzinach, które nie stanowiły przedmiotu jego stałych zainteresowań. Przykładowo można wspomnieć zdumiewający fakt, że w okresie pomyślnej jeszcze koniunktury, na początku 1929 r., Piłsudski w dłuższym wywodzie ostrzegał rząd, że według jego obserwacji życie gospodarcze świata pulsuje nienormalnie silnie i ulega nie usprawiedliwionemu optymizmowi. Po takich okresach nadchodzą zwykle gwałtowne i ostre kryzysy. Na tym zebraniu rady gabinetowej Piłsudski proponował, by już teraz opracować program szeroko zakrojonych robót publicznych, prostych i nie pociągają-

cych za sobą większych wydatków walutowych, takich jak rozbudowa i naprawa dróg bitych, kolei, jak uregulowanie rzek lub budownictwo mieszkaniowe itp., celem złagodzenia fali idącego kryzysu gospodarczego. Tylko minister skarbu Czechowicz był uprzedzony o temacie konferencji i przygotowany do repliki. Przedstawił więc uspokajający referat, w którym stwierdził, że kryzys gospodarczy jest mniej groźny dla krajów o słabym potencjale przemysłowym, a do tej grupy należy Polska. Dość znaczne nadwyżki budżetowe zamierza on nadal lokować w wysoko oprocentowanych papierach wartościowych rolniczych. Bliska przyszłość wykazała dobitnie, jak bardzo słuszne i na czasie były obawy i rady Piłsudskiego.

W latach trzydziestych, gdy siły i zdrowie poczynały go opuszczać, Piłsudski stopniowo usuwał się coraz częściej od decydowania w sprawach wewnętrznych, nie mógł poświęcać swojemu tworowi, tj. wojsku tyle czasu i troski co dotychczas, ale wciąż jeszcze trzymał wprawną rękę na pulsie głównych zagadnień i konfliktów międzynarodowych.

Aby zrozumieć i ocenić właściwie ówczesne posunięcia Józefa Piłsudskiego, trzeba przypomnieć, że cały świat, a szczególnie Europa, przeżywał od 1931 r. okres wyjątkowo burzliwy i politycznie bardzo skomplikowany. Organizacje międzynarodowe – utworzone po wojnie jako strażnice pokoju i zbiorowego bezpieczeństwa, powszechnej kooperacji gospodarczej, postępu socjalnego i technicznego – poczęły zawodzić na całej linii. Z upływem każdego miesiąca potwornie niszczący kryzys gospodarczy rozszerzał się na nowe dziedziny i nowe kraje. Nigdy przedtem polityka międzynarodowa nie była bardziej zmienna, bardziej obłudna, zakonspirowana, machiawelska i egoistyczna w swoich celach i metodach, jak w tym dziesięcioleciu. Jesienią 1932 r. została dokonana zbrojna agresja Japonii na Chiny. Umiarkowane i kompromisowe zalecenia Zgromadzenia Ligi Narodów z lutego 1933 r. zostały zlekceważone i odrzucone, a Japonia wystąpiła z Ligi. Sprawa sankcji gospodarczych przeciwko Japonii nie została nawet

zgłoszona na forum Ligi. Podstawowy artykuł XVI statutu tej organizacji został jawnie pogwałcony, a zagadnienie zbiorowego bezpieczeństwa doszczętnie skompromitowane.

W tych latach faszyzm panoszył się już w Italii, a hitleryzm dochodził do władzy absolutnej w Niemczech. Rozpętała się wówczas – zainicjowana przez Niemcy, Włochy, Związek Radziecki i Japonię – nowa runda wyścigu zbrojeń w skali międzynarodowej. Pewność co do dotrzymywania układów i zobowiązań międzypaństwowych została podważona, a traktowanie takich zobowiązań jako bezwartościowych „świstków papieru" było przypieczętowane na konferencjach międzynarodowych.

W tych warunkach Piłsudski próbował przede wszystkim doprowadzić do normalizacji stosunków politycznych i gospodarczych z Rosją sowiecką. Na jego polecenie Bogusław Miedziński przeprowadził wyczerpujące rozmowy z wybitnym i wpływowym posłem radzieckim w Warszawie, A. Owsiejenko. Rozmowy te przeniesiono niebawem do Moskwy, a Polska deklarowała gotowość złożenia najbardziej oficjalnego zapewnienia, że nigdy nie zwiąże się z Niemcami do jakiejkolwiek akcji zaczepnej przeciwko Związkowi Radzieckiemu [24].

Tymczasem w marcu 1933 r. Mussolini forsuje przyjęcie „Paktu Czterech Mocarstw", tj. Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji i Włoch, który by w istocie rzeczy oddawał decyzje w sprawach europejskich w ręce szefów tych czterech państw, z wyraźną tendencją skanalizowania pożądliwości Hitlera na wschód, przede wszystkim w stronę Polski, a odwrócenia jej od przyjmującej tak chętnie opiekę Włoch i Mussoliniego Austrii. Szef gabinetu Duce, baron Aloisi głośno propagował rewizję granicy niemiecko-polskiej. Również Francuzi – w rozmowach nieoficjalnych – tłumaczyli Polakom, że ich armie bić się nie będą o jakiś „korytarz polski", a do takiej opinii przychylało się wielu czołowych polityków i mężów stanu Francji [25].

[24] „Kultura", Paryż 1963, z. 6, s. 77.
[25] P. Wandycz, *Trzy dokumenty*, „Zeszyty Historyczne", Paryż 1963, z. 3.

Wówczas Piłsudski podejmuje trzy równoległe inicjatywy[26]: po pierwsze, koncentruje większe siły wojskowe polskie na Pomorzu i dookoła Prus Wschodnich; po wtóre, domaga się zbadania przez komisję międzynarodową stanu tajnych zbrojeń niemieckich, dokonanych wbrew stypulacjom traktatu wersalskiego; po trzecie, sugeruje – w razie odmowy Niemiec na zbadanie ich potencjału militarnego – tzw. wojnę prewencyjną, w szczególności zajęcie Nadrenii przez wojska francuskie, Prus Wschodnich i Śląska przez Polaków.

To ostatnie wystąpienie jest jeszcze sporne, a ujawnione dowody bezpośrednie poczytywane są jako niewystarczające. Tym niemniej sprawa zasługuje na uwagę, zwłaszcza że istnieją dość liczne dowody pośrednie. Tak więc H. Roos[27], informator ścisły i poważny, podaje, że Moltke (poseł niemiecki w Warszawie) zawiadamia Hitlera w kwietniu 1933 r. o próbach rządu polskiego „nakłonienia Francji do wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom". Znacznie później, bo 9 marca 1934 r., belgijski prezes rady ministrów, hr. Broquevile przemawiając w senacie potępił wysuwaną wcześniej koncepcję wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom hitlerowskim, po czym dodał: „tę opinię podzielał również rząd francuski"[28].

Osobiście poczytuję za najbardziej ścisłą wiadomość podaną mi przez prezydenta Mościckiego, już po zgonie marszałka Piłsudskiego, że on był przeciwny temu, by inicjatywa wojny prewencyjnej wychodziła od Polski. Uważał on, że taką decyzję mogą podjąć tylko mocarstwa, które ponoszą pełną odpowiedzialność za traktat wersalski i układy lokarneńskie. Piłsudski dał tylko do zrozumienia – wybierając świadomie drogę jak najmniej oficjalną – że z taką ewentualnością liczy się poważnie i nie ustosunkowałby się do niej negatywnie. Ale gdy rząd francuski na wniosek o powołanie komisji do zbadania zbrojeń niemieckich nie udzielił nawet odpowiedzi, a zignorował potencjal-

[26] Por. H. Roos, *Polen u. Europa*, Tübingen 1957, s. 77–82.
[27] *Ibid.*
[28] *Weltgeschichte der Gegenwart*, Essen 1936, t. I, cz. I. s. 21.

ne zagrożenie ze strony Niemiec, Piłsudski odwrócił grę polityczną i polecił wysondować możliwości odprężenia stosunków z Niemcami hitlerowskimi i odsunięcia w czasie „krótkiego spięcia" aż do chwili, w której konflikt niemiecko-polski zyskałby znaczenie międzynarodowe. Wstępna rozmowa posła polskiego w Berlinie, Wysockiego z Hitlerem odbyła się 2 maja 1933 r. Do ostatecznej decyzji, podpisania porozumienia niemiecko-polskiego z dnia 26 stycznia 1934 r., przyczyniły się walnie dwa fakty: pod koniec maja 1933 r. – wbrew wcześniejszym zapewnieniom – Mała Ententa wyraziła zgodę na skierowany przeciwko Polsce Pakt Czterech, co oczywiście zmąciło dodatkowo stosunki polsko-czechosłowackie; po drugie, dnia 2 września 1933 r. nastąpiło podpisanie „paktu przyjaźni i nieagresji" pomiędzy faszystowskimi Włochami a komunistycznym Związkiem Radzieckim. Taki pakt mógł być poczytywany za preludium porozumienia sowiecko-niemieckiego.

Ten fragment walki Piłsudskiego o możliwe zabezpieczenie przyszłości Polski wypada chyba zamknąć sprawozdaniem z wizyty Goeringa w Belwederze w styczniu 1935 r., na parę miesięcy przed śmiercią Piłsudskiego. Rozmowa z gościem toczyła się w języku niemieckim. Gdy jednak Goering – wbrew wyraźnym ostrzeżeniom ze strony polskiej – widocznie na zlecenie Hitlera, sugerował wspólny zbrojny najazd na Związek Radziecki, Piłsudski przeskoczył niezwłocznie na oficjalny w ówczesnej dyplomacji język francuski, aby najkategoryczniej, bez pozostawienia najmniejszej wątpliwości, odrzucić tę niecną sugestię[29].

Tak w ciągłej walce i troskach o przyszłość niepodległej Polski wygasało życie człowieka twardego dla siebie i dla innych, duchem wielkiego, postawą wspaniałego, sercem dumnego, temperamentem bojowego, przerastającego rozumem wszelką przeciętność. Pisał o nim kiedyś dyplomata brytyjski D'Abernon: „wysoce znamiennym jest, iż marszałek Piłsudski posiada zawsze zupełną przewagę moralną nad zagranicznymi wojskowymi, którzy się z nim stykają".

[29] *Ost-Europa Handbuch: Polen*, Köln 1959, s. 55.

Generał Henrys uwielbiał go, a szef brytyjskiej misji wojskowej generał Carton de Viart, człowiek odznaczający się niezależnością wygłaszanych poglądów, oczarowany był tym przedziwnym fenomenem polskim. Amerykanin polskiego pochodzenia, P. Mierzwa, prezes Fundacji Kościuszkowskiej w Ameryce, napisał: „Dzieło Piłsudskiego w okresie pierwszej wojny światowej miało podobne znaczenie dla Polski, jak dzieło G. Washingtona dla Ameryki". W książce wydanej w Paryżu w 1961 r. Kajetan Morawski wspomina o Piłsudskim: „iluż to znałem ludzi oczarowanych przez niego, ludzi nie podzielających jego poglądów, ale nie mogących oprzeć się jego urokowi". Po przyjęciu przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego dyplomaci zagraniczni wyznawali, że wracają urzeczeni jego wielkością. Przeciwnik polityczny, Władysław Grabski, bilansując dorobek dziesięciolecia przewrotu majowego stwierdza, że żaden krytycyzm nie może przesłaniać wielkiego, pozytywnego dorobku Piłsudskiego, który sam świecił przykładem skromności osobistej i wszelkiej bezinteresowności. Podobnych wypowiedzi ludzi niezależnych i uczciwych jest wiele. Zrozumieliśmy całą moc ducha i potęgę myśli Józefa Piłsudskiego dopiero wówczas, gdy nas, żywych opuścił.

Dzień 12 maja 1935 r., dzień śmierci Marszałka, zubożył nasz naród, uczynił jego przyszłość ciemniejszą i bardziej niepewną. Zabrakło odtąd przed wielką dziejową burzą i „Dziadka" dla byłych legionistów, komendanta i wodza naczelnego o autorytecie niezrównanym dla wojska polskiego, i nieomylnego sternika dla polityków, i Naczelnika Państwa dla ogromnej większości Polaków.

Toteż nie można wątpić, że kiedyś w przyszłości wielkie rocznice związane z życiem i działalnością Józefa Piłsudskiego obchodzone będą w Polsce z całą okazałością przy oddaniu należnego hołdu wskrzesicielowi Polski niepodległej i zjednoczonej.

Ignacy Mościcki

Podobnie jak wielu innych działaczy i wybitnych jednostek tego pokolenia, również Ignacy Mościcki wychowywał się i dojrzewał w tradycjach walk wyzwoleńczych i w atmosferze radykalnego patriotyzmu, rozbudzonego tak silnie w 1863 r. Ojciec jego, Faustyn, brał czynny udział w powstaniu pod pseudonimem „Markiewicz", toteż wspomnienia tych walk, lokalnych zwycięstw i ostatecznej klęski, nadziei na interwencję i całkowitego osamotnienia, były w domu Mościckich żywe i bezpośrednie. Syn Ignacy urodził się pierwszego grudnia 1867 r. w Mierzanowie, w ziemi płockiej. Wykształcenie średnie rozpoczynał w Zamościu, a kończył je w prywatnej szkole polskiej w Warszawie. O tym okresie wspomina Mościcki w swojej autobiografii [1], że z pewną niechęcią odnosił się do nauk pamięciowych i narracyjnych, że czasem miał trudności w wyrażaniu swoich myśli w słowie i piśmie, ale posiadał dużą łatwość, a nawet celował w przyswajaniu sobie nauk ścisłych oraz w logicznym rozumowaniu. Szczególnie pociągały go nauki z zakresu fizyki, matematyki i chemii.

Na wyższe studia politechniczne wyjechał do Rygi, gdzie młodzież narodowości polskiej stanowiła prawie trzecią część ogółu studiujących. Choć dominowali tu Łotysze i Niemcy bałtyccy, a wykłady na politechnice odbywały się w owych czasach w języku niemieckim, Ryga była jakby stolicą dawnych kresów wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. W latach 1887–91 Mościcki prowadził tu studia na wydziale chemii technicznej i ukończył je pomyślnie.

[1] Praca nie ukończona i nie publikowana dotychczas, udostępniona mi przez Rodzinę I. Mościckiego.

Wplątany czynnie w akcję polskich organizacji niepodległościowych, zdecydował się na opuszczenie kraju. Po zawarciu związku małżeńskiego oboje Mościccy emigrowali więc w drugiej połowie 1892 r. do Londynu, gdzie młody inżynier zamierzał kontynuować umiłowane studia fachowe. Wymagania realnego życia pogrzebały jednak rychło te pociągające, ale kosztowne zamiary, zmuszając go do podjęcia uciążliwej pracy fizycznej. W takich trudnych warunkach, w ciągłej walce o byt materialny, przetrwał Ignacy Mościcki lat pięć w stolicy Anglii. Jako czynny członek organizacji polskich, stykał się coraz częściej z rodakami zamieszkałymi w Londynie, którzy uważali, że ten młody człowiek, posiadający tak gruntowną i szeroką wiedzę z zakresu nauk przyrodniczych, odznaczający się niepospolitym zmysłem nowatorskim w dziedzinie technicznej, marnuje swoje uzdolnienia i siły w szablonowej pracy zarobkowej. Na skutek ich zabiegów Ignacy Mościcki otrzymuje w 1897 roku od profesora uniwersytetu fryburskiego Józefa Kowalskiego propozycję ułatwienia mu stałego pobytu w Szwajcarii poprzez zaangażowanie go na stanowisko asystenta przy katedrze fizyki, piastowanej przez Kowalskiego. Propozycja została oczywiście z wdzięcznością przyjęta, a okres szwajcarski, mający trwać lat piętnaście, zaważył decydująco na losach i indywidualności twórczej Ignacego Mościckiego.

Atmosfera wolnej, liberalnej, demokratycznej w każdym szczególe codziennego życia, pracowitej i szanującej pracę Szwajcarii była sprzyjająca dla pełnego rozwoju wszelkich twórczych i wybuchowych talentów. Była też – o czym nigdy zapominać nam nie wolno – prawdziwie przyjazna dla Polaków w okresie niewoli ich ojczyzny i ucisku ich kultury. Tu przechowywano drogocenne pamiątki narodowe w zamku rapperswilskim, tu znalazły spokojny azyl, a nawet oparcie różne polskie organizacje niepodległościowe, polityczne, społeczne lub charytatywne oraz liczne wybitniejsze – prześladowane albo ścigane przez władze zaborcze – jednostki, tu wreszcie ujawniły się i rozwinęły takie polskie talenty naukowe jak Stanisława Kostane-

ckiego, prezesa szwajcarskiego Towarzystwa Chemicznego, jak Marcelego Nenckiego albo uczonego światowej sławy, Gabriela Narutowicza, albo Józefa Kowalskiego czy Ignacego Mościckiego i wielu innych.

Po kilkunastu latach wytrwałej, tak wielostronnej i tak owocnej pracy twórczej, nazwisko Ignacego Mościckiego było znane szeroko w świecie naukowym, technicznym i przemysłowym, osiągnięciami jego interesowali się tacy luminarze wiedzy jak Albert Einstein czy też William Crooks, a fryburski rząd kantonalny darzył go – jako wybitnego obywatela – szczególnymi względami. Z każdego tematu, którym zainteresował się Mościcki, wydobywał na światło dzienne jakąś nowość, jakiś fragment udoskonalenia czy postępu. W jego ręku procesy technologiczne potęgowały swoją dynamikę, a uważane dotychczas za niemożliwe stawało się osiągalne. Mogły to być czasem sprawy tak drobne jak usuwanie perlistej wilgoci z szyb szklanych lub tak doniosłe w skali światowej jak utylizacja praktycznie nieskończonych ilości azotu z powietrza do celów nawozowych i technicznych; w każdym przypadku Mościcki chwytał w lot samą istotę zagadnienia i dawał rozwiązanie nie tylko nowe, ale i zdumiewająco proste i racjonalne.

Taki typ wytrawnego naukowca i badacza – z jednej strony znającego ponadto dokładnie literaturę patentową, a z drugiej przepojonego zmysłem praktycznym – był wówczas wysoko ceniony i poszukiwany w uprzemysłowionych i cywilizowanych krajach Europy i Ameryki. Wszystkie więc drogi do osiągnięcia najwyższego osobistego powodzenia stały przed Mościckim otworem. Nie miało to jednak dla niego najmniejszego znaczenia wobec perspektywy powrotu do kraju i służenia swoją wiedzą, energią i talentem narodowi polskiemu. Gdy więc w 1912 r. Senat Politechniki Lwowskiej zwrócił się do niego z propozycją objęcia katedry elektrochemii i chemii fizycznej w tej zasłużonej uczelni, Mościcki bez chwili wahania przenosi się do Lwowa, by rozpocząć od podstaw w nowych warunkach, w nowym środowisku swoją pracę, dyktowaną

przez nowe konieczności. Fryburski zarząd kantonalny zaś ofiarowuje Mościckiemu w darze za długoletnią i tak owocną pracę kilkanaście ton cennej aparatury naukowej, którą Mościcki posługiwał się w swoich twórczych pracach i w eksperymentach na skalę półtechniczną. Ten „posag" przywozi do Lwowa i przekazuje go bezinteresownie na własność politechniki.

W charakterystyce osobowości Ignacego Mościckiego nie można pominąć faktu, że na samym początku XX wieku, gdy rzucił się na problematykę „azotową", był w skali światowej samotnym pionierem w tej dziedzinie. Motorem, który skierował go na tę drogę, było pesymistyczne mniemanie, sformułowane w 1898 r. przez Crooksa, że z powodu szybkiego wyczerpywania się złóż saletry chilijskiej, głównego wówczas źródła azotu nawozowego, świat stanie ok. 1960 r. przed widmem katastrofy głodowej. Pierwsze odkrycie Mościckiego wskazujące na możliwość uzyskania kwasu azotowego poprzez utlenienie azotu z powietrza, było rewelacją naukową i technologiczną pierwszej klasy. Toteż w ciągu następnych lat i dziesięcioleci sytuacja uległa radykalnej zmianie. Tematem tym – tak nowym i interesującym technologicznie, i tak doniosłym z ekonomicznego punktu widzenia – zajmowało się coraz więcej wybitnych talentów z najróżniejszych działów wiedzy i praktyki technicznej. Było też faktem notorycznym, że większość ówczesnych i późniejszych pionierów syntetycznego przemysłu azotowego, który z upływem czasu stawał się jedną z najpotężniejszych gałęzi przetwórstwa w świecie, pionierów tak znakomitych jak Birkeland i Eyde, jak Pauling, Schönherr, Siebert, Caro i Frank, Haber i Bosch, Claude, Casalé, Fauser i in., miała oparcie w możnych koncernach, finansujących milionowe wydatki na kosztowne badania i próby techniczne w tej dziedzinie. Mościcki pozostając w Szwajcarii prawdopodobnie wziąłby czynny udział w tym wyścigu twórczym; powracając do kraju w początkach drugiego dziesięciolecia tego wieku podobnego oparcia materialnego mieć nie mógł i miał pełną świadomość tego stanu rzeczy. Chwilowo trzeba było

pokonywać cały splot pospolitych trudności związanych z organizacją i uruchomieniem nowej katedry we Lwowie; najelementarniejsze bowiem potrzeby pracowni naukowej, dysponującej nad wyraz skromnymi dotacjami, wymagały nieustannie osobistej interwencji profesora.

Tymczasem już po upływie kilkunastu miesięcy rozpętała się długotrwała, krwawa i niszcząca pierwsza wojna światowa, która w ciągu paru tygodni zaciążyła bezpośrednio i nad Lwowem. Mościcki intuicyjnie wierzył, że z tego potopu krzywd i niedoli ludzkich powstanie wolna i niepodległa Polska i szczepił gorliwie to przekonanie w umysłach swoich przyjaciół i swojego otoczenia. Owładnęła nim teraz myśl, że jego naczelnym zadaniem, a nawet obowiązkiem, jest przygotowanie jak największego zastępu ludzi uzdolnionych i zaprawionych do samodzielnego rozwiązywania różnych zagadnień twórczych, łączących się bezpośrednio lub pośrednio z odrobieniem wielkich zaniedbań i zacofania, spowodowanego przez niewolę i podziały ziem polskich. Według oceny Mościckiego Polska była w stosunku do zachodniej i centralnej Europy cofnięta w rozwoju gospodarczym, technicznym i społecznym – ale nie kulturalnym – przynajmniej o pół wieku. Wyrównanie tego poziomu nie może być pozostawione wolnej grze sił ani też ślepemu przypadkowi, gdyż wówczas zamiast systematycznego i kolejnego rozwiązywania zadań podstawowych osiągnie się tylko to, że najlukratywniejsze fragmenty zagarnie w swoje ręce kapitał obcy, prowadzący nierzadko eksploatację rabunkową. Powinniśmy – według Mościckiego – jak najmniej korzystać z usług obcych, choćby rzeczywiście przyjaznych nam narodów, gdyż pomoc taka jest z reguły bardzo kosztowna. Podstawową tezą Mościckiego było, że tego dziejowego zadania bez pomocy własnej nauki i własnej kadry wyszkolonych pracowników prawidłowo i z korzyścią dla całego narodu rozwiązać nie będzie można. Te założenia stały się drogowskazem jego działalności w okresie lwowskim.

Od roku 1916 aktywność Mościckiego wzrasta bardzo wyraźnie. Dostrzega on już coraz konkretniej konieczność

wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego i do tego przełomowego faktu usiłuje nagiąć i dostosować wytyczne swojego programu pracy. Nie zmniejszając więc ani na chwilę twórczego wysiłku w zakresie technologii chemicznej i elektrochemii, poczyna rozszerzać swoje zainteresowania w kierunku aktualnej polskiej problematyki przemysłowej, a zarazem kładzie stopniowo coraz większy nacisk na organizowanie i pielęgnowanie młodych kadr służących nauce polskiej, a przenikniętych do głębi ambicją twórczą i nie mniej ważną zdolnością do pracy zespołowej. Akcję w tym duchu podejmuje Mościcki w ramach swojej katedry, a równocześnie – w oparciu o małe grono inżynierów i polskich przemysłowców zjednanych dla tej koncepcji – tworzy we Lwowie w r. 1916 pierwszą placówkę naukowo-badawczą pod nazwą „Metan", poświęconą początkowo aktualnej w tym środowisku tematyce naftowej. W roku następnym zaś instytut ten poczyna wydawać fachowy miesięcznik, pod tą samą nazwą.

Te koncepcje i realizacje były widocznie dojrzałą potrzebą chwili, skoro w najbliższych już latach samo życie poczyna rozsadzać wąskie początkowo ramy tej inicjatywy. Powodzenie tych akcji jest uderzające. Z jednej strony wysoka aktualność podejmowanej i zwycięsko opanowywanej problematyki naukowej, z drugiej indywidualność twórcza Mościckiego poczynają jak magnesy przyciągać do Lwowa młodych adeptów nauki z wszystkich zakątków Polski. Napływ tych sił jest znacznie większy niż możność pomieszczenia ich w pracowniach katedry oraz „Metanu". Siłą faktów narzucane są wciąż nowe tematy z różnych działów technologii, wykraczające daleko poza zainteresowania naftowe. Zjawiska te potęgują się bardzo poważnie z chwilą odzyskania niepodległości i zjednoczenia ziem polskich. Już w 1920 r. okazuje się celowe, a nawet niezbędne, przekształcenie miesięcznika „Metan" w czasopismo o ogólnej tematyce technologicznej, pod nazwą „Przemysł Chemiczny". Miesięcznik ten – pod redakcją prof. Kazimierza Klinga i dra Wacława Leśniańskiego – rozwija się odtąd wspaniale i wszechstronnie. Podobny

proces ewolucyjny przechodzi również placówka badawcza „Metan". Narzucające się tematy pracy przekraczają wielokrotnie nakreślone planem zadania. Nieodparcie narzuca się myśl – podjęta niezwłocznie przez Mościckiego – uogólnienia jego zadań i zmiany nazwy na Chemiczny Instytut Badawczy, rozbudowania jego pomieszczeń roboczych i pomnożenia jego wyposażenia, a wreszcie ulokowania go w centrum państwa, w Warszawie. Zasoby materialne tej placówki badawczej, wciąż skromne i niedostateczne, poczęły jednak systematycznie wzrastać, głównie z tytułu opłat za licencje patentowe wykorzystywane przez polski przemysł. Mościcki ustalił bowiem zasadę, przestrzeganą skrupulatnie przez wszystkich, począwszy od niego samego, że dysponentem wypracowanych patentów oraz wszelkich nowości jest wyłącznie sam Instytut, przeznaczający wpływy z tych źródeł na cele dalszej, systematycznej rozbudowy i wyposażenia pracowni badawczych.

Profesor Wojciech Świętosławski zauważył kiedyś słusznie, że „o wiele łatwiej jest dokonywać odkryć w nauce, aniżeli realizować je w praktyce"[2]. Mościcki usiłował zawsze dostosować swoją inwencję twórczą do wymagań praktycznego życia. Ostatecznym celem jego wysiłków, pracy jego mózgu i jego koncepcji technologicznych była nie tylko nowa metoda, nowy patent, ale doskonalsze zaspokojenie potrzeb ludzkich. Na takiej podstawie oparły się już pierwsze wielkie prace badawcze Mościckiego. Podczas ferii wielkanocnych 1901 r. przeprowadził on pierwsze udane doświadczenie z utlenianiem azotu atmosferycznego w wysokiej temperaturze łuku elektrycznego. Rozumiejąc praktyczne znaczenie tego odkrycia, zrezygnował pod koniec tego roku z obowiązków asystenta przy katedrze fizyki, poświęcając się całkowicie sprawie wytwarzania kwasu azotowego metodą elektrotermiczną na skalę przemysłową. Po fachowej ocenie wyników tych prób technicznych, została stworzona w Szwajcarii organizacja pod nazwą Societé de l'Acide Nitrique do dalszego finan-

[2] „Roczniki Chemii", XIV (1934), s. 5.

sowania tych prób, a rząd kantonalny przydzielił bezpłatnie trzy sale uniwersyteckie z odpowiednim wyposażeniem do dyspozycji Mościckiego.

Gdy rozwiązanie tego problemu technologicznego zostało pomyślnie ukończone, a aparatura półtechniczna pracowała bez zarzutu, dotarła niespodziewana wiadomość o analogicznym odkryciu, dokonanym przez dwóch badaczy norweskich, Birkelanda i Eydego. Był to rok 1905. Metoda Norwegów była wszechstronnie opracowana, Mościcki pisze zatem w swojej autobiografii: „uznałem się wówczas za pokonanego, gdyż rozwiązanie norweskie było bardziej wartościowe". Nie była to jednak kapitulacja całkowita i bezwzględna. Mościcki usiłuje teraz udoskonalić swoją metodę w ten sposób, by wyrównać wydajności ilościowe z osiągnięciami Norwegów, a przewyższyć ich metodę w uzyskiwaniu kwasu stosunkowo bardziej stężonego. Podstawą tej odmiany stał się nowy piec z wirującym z zawrotną szybkością płomieniem elektrycznym.

W wyniku nowej ekspertyzy przeprowadzonej przez fachowców angielskich pod przewodnictwem W. Crooksa, w lecie 1908 r. podpisano umowę z firmą szwajcarską Aluminium Industrie A. G. w Neuhausen na budowę fabryki syntetycznego kwasu azotowego w Chippis, metodą Mościckiego. Z tej właśnie wytwórni wyszła w 1910 r. pierwsza cysterna syntetycznego kwasu azotowego, a sama wytwórnia – do czasu odkrycia i zrealizowania syntezy amoniaku – cieszyła się dużym powodzeniem. W okresie wstępnym tych badań poczęły wyłaniać się trudności uboczne i zagadnienia wtórne, które trzeba było samemu rozwiązywać od podstaw. Można tu podkreślić, że i z tymi zagadnieniami uporał się Mościcki sprawnie, zgłaszając do opatentowania nowości np. w zakresie budowy wysokonapięciowych kondensatorów elektrycznych; zdobyły one niebawem – w ostrej walce konkurencyjnej z dotychczasowymi modelami – dość znaczny rozgłos, szczególnie po ich zastosowaniu przy budowie stacji radiotelegraficznej na wieży Eiffla w Paryżu [3].

[3] „Przegląd Elektrotechniczny" z 7 XII 1934, s. 634, 639, 640.

Podobnie i w okresie lwowskim działalność Mościckiego ma na celu te rozwiązania twórcze i naukowe, które znachodziły niezwłocznie zastosowanie praktyczne. Tak było np. z patentami dotyczącymi przerobu emulsji naftowej, dotychczas uciążliwym produktem odpadkowym przy wydobywaniu ropy; takie praktyczne cele miały na oku nowe metody przeróbki gazów ziemnych albo nowe zasady odparowywania cieczy korodujących silnie naczynia metalowe, albo nowa metoda wytwarzania na drodze elektrotermicznej związków cyjanowych z produktów naftowych i azotu, zrealizowana na skalę fabryczną w wytwórni „Azot" zbudowanej przez Mościckiego w latach 1916–18 w Borach pod Jaworznem.

Rok 1922 przynosi dwa ważne wydarzenia wiążące się z osobą profesora Mościckiego. W wyniku walk, plebiscytu i podziału Górnego Śląska przypadła państwu polskiemu potężna fabryka chemiczna, zbudowana w czasie wojny i zwana Reichs-Stickstoff-Werk Chorzów, w tym czasie druga co do wielkości wytwórnia azotniaku na świecie, pracująca metodą Franka i Caro. Zarząd niemiecki nowej i jeszcze nie ukończonej fabryki liczył się z możliwością przejęcia jej przez administrację polską, a równocześnie ufał, że jest to praktycznie niemożliwe. Na wszelki wypadek ograniczył do najniezbędniejszego minimum zapasy surowców i elektrod do pieców karbidowych, usunął z archiwum fabrycznego dokumentację techniczną i ruchową oraz przygotował chwilowe zakwaterowanie niemieckiej administracji Chorzowa w pobliskim Bytomiu. Gdy na początku lipca 1922 r. zjawił się w fabryce chorzowskiej pełnomocnik rządu polskiego profesor Ignacy Mościcki i zażądał przekazania wytwórni państwu, inżynierowie oraz prawie cały personel techniczny złożony z Niemców w liczbie ok. 200 osób opuścił demonstracyjnie fabrykę.

Podstawowy produkt ówczesnego Chorzowa – azotniak – nie był jeszcze znany i stosowany w rolnictwie centralnej i południowej Polski; władze niemieckie zabroniły wwozu azotniaku chorzowskiego do Rzeszy oraz tranzytu przez

Niemcy, jak również powstrzymały dostawę elektrod z Raciborza. Władze te były przekonane, że w tych warunkach nowa administracja polska okaże się niezdolna do prowadzenia tej skomplikowanej fabryki i zaapeluje o powrót dawnej administracji niemieckiej. Sprawa nabrała rozgłosu światowego, toteż musiał dokonać się tu wielki, publiczny egzamin sprawności technicznej, organizacyjnej i ekonomicznej zarówno Polski, jak i „szkoły" profesora Mościckiego. Strona polska rozporządzała początkowo tylko dwoma aktywami: inteligentną i wysoce sprawną, przenikniętą duchem patriotyzmu śląską załogą robotniczą oraz kadrą młodych, ambitnych i oddanych sprawie inżynierów i techników, kadrą szkoloną od kilku lat przez Mościckiego i zaprawioną w rozwiązywaniu zadań nowych i trudnych. Mościcki nie wahał się ani przez chwilę przed wywołaniem ostrego kryzysu personalnego zarówno w Chemicznym Instytucie Badawczym, jak i w fabryce „Azot", przerzucając pewną liczbę uzdolnionych współpracowników do zagrożonego Chorzowa; ale egzamin ostateczny – po przełamaniu rozlicznych trudności, a nawet aktów sabotażu – uwieńczony został pełnym powodzeniem. Surowce wymaganej jakości – koks i wapno – dostarczyła produkcja polska, elektrody poczęły przychodzić z Jugosławii, a niedomagania techniczne Chorzowa zostały szybko usunięte przez Mościckiego i jego zespół inżynierski, z Feliksem Zaleskim na czele; szybko też zostały zbudowane nowe instalacje przetwórcze, stanowiące logiczny ciąg produkcji azotniaku, rolnictwo polskie przyjęło życzliwie nowe nawozy azotowe, a od 1924 r. Zakłady Chorzowskie znalazły się w rzędzie najrentowniejszych przedsięwzięć gospodarczych państwa. Z Bytomia zaś poczęli teraz zgłaszać się pojedynczo technicy niemieccy z propozycją powrotu na dawne stanowiska w fabryce. Nie byli jednak już potrzebni i nie zostali zaangażowani przez zarząd polski.

Drugim ważkim wydarzeniem w 1922 r. było wspomniane już formalne przemianowanie placówki badawczej „Metan" na Chemiczny Instytut Badawczy oraz decyzja przeniesienia go do Warszawy. Nieco wcześniej rozszerzony

został zakres prac naukowych i dydaktycznych profesora Mościckiego przez powierzenie mu katedry technologii chemicznej nieorganicznej i elektrochemii technicznej na wydziale chemicznym Politechniki Lwowskiej. Prawie równocześnie trzeba było uzupełnić uszczuplone siłą faktów kadry naukowe i ruchowe w Instytucie Badawczym i w fabryce „Azot". Aby sprostać tym licznym zadaniom, Mościcki rozwija gorączkową i wszechstronną działalność. Mimo to fabryka „Azot" odczuwa najdotkliwiej i najdłużej ubytek kierowniczych sił na rzecz Chorzowa. Przedsiębiorstwo to – po przebyciu ciężkiego kryzysu – wyprostowuje się dopiero po upływie kilku lat, przy częściowej zmianie swojego programu produkcyjnego.

Wcześniej dochodzi do równowagi Instytut Chemiczny, a po przeniesieniu go do zbudowanej w latach 1925–27 własnej siedziby na Żoliborzu w Warszawie obejmuje stopniowo swoim twórczym programem różne pierwszoplanowe zagadnienia z zakresu technologii chemicznej. W okresie warszawskim administracja Instytutu spoczywa w ręku wytrawnego organizatora i wybitnego człowieka, dra Zenona Martynowicza, którego treścią życia stała się ciągła rozbudowa programu prac i wyposażenia w nowoczesny sprzęt Chemicznego Instytutu Badawczego. W drugiej połowie okresu międzywojennego Instytut zajmował się tak kapitalnymi zagadnieniami o dużym znaczeniu praktycznym jak całokształt technologii węgli polskich, łącznie z badaniem ich przydatności do wytlewania i półkoksowania, jak wybrane tematy z zakresu chemii rolniczej oraz produktów spożywczych, jak zagadnienia elektrolizy albo produkcji kwasu siarkowego z siarczanów, albo możliwości wytwarzania metalicznego aluminium z surowców krajowych, wreszcie takimi jak syntezy kauczuków, a także niektóre zadania związane z obronnością kraju itp. Główną troską Mościckiego aż po rok 1939 był jednak zawsze rozwój i pielęgnowanie młodych kadr naukowych i twórczych – które przecież oddały później, po drugiej wojnie światowej, tak bezcenne usługi krajowi. On to zalecał wielkim państwowym fabrykom chemicznym oraz

Instytutowi Badawczemu przyjmowanie na płatne praktyki wakacyjne możliwie wielu uzdolnionych studentów szkół wyższych, on popierał tendencję szerokich kontaktów naukowych z zagranicą oraz rozbudowę bibliotek fachowych, on był orędownikiem kreowania w Warszawie Akademii Nauk Technicznych, on zachęcał do jak najściślejszej współpracy wyższych uczelni z przemysłem polskim, wymagającym na każdym kroku unowocześnienia metod pracy. Ten okres twórczej działalności Mościckiego, od 1898 do 1926 roku, zamykał się uzyskaniem 29 patentów zagranicznych, 26 patentów polskich i ogłoszeniem – w prasie fachowej zagranicznej i polskiej – 57 artykułów i referatów naukowych.

Wielki przełom w życiu i działalności Ignacego Mościckiego dokonał się 1 czerwca 1926 roku. Jako kandydat wskazany przez marszałka Józefa Piłsudskiego – inicjatora i realizatora przewrotu majowego – został on wybrany w tym dniu na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej. Jeden z wybitnych publicystów i pamiętnikarzy emigracyjnych napisał o Mościckim, że nie miał ambicji politycznych i w konsekwencji nie odgrywał czynnej i samodzielnej roli jako prezydent państwa. Mniemanie to było zresztą dość rozpowszechnione. Ten sąd – pomimo wielu pozorów przemawiających za nim – nie wydaje mi się trafny i dostatecznie uzasadniony.

Już we wczesnej młodości Mościcki miał wyraźnie zarysowane oblicze polityczne i społeczne, choć oczywiście na te zagadnienia i zjawiska nie reagował tak bezpośrednio, tak samodzielnie i tak aktywnie, jak na interesujące go żywiołowo sprawy technologiczne. W pierwszym okresie studiów ryskich Zygmunt Balicki zwerbował go do „Zetu"; Mościcki przekonał się jednak szybko, że ta ideologia i to zgrupowanie nie odpowiada jego umysłowości i temperamentowi. Opuścił więc jego szeregi i podjął współpracę z ruchem socjalistyczno-rewolucyjnym. Nastawienie to spotęgowało się wyraźnie w latach pobytu w Londynie. Radykalny i bojowy ruch niepodległościowy grupował się tam dookoła czasopisma „Przedświt", a Mościcki stawał

się stopniowo coraz aktywniejszym działaczem w tym środowisku. W latach 1894–95 Mościcki nawiązał w Londynie pierwsze kontakty z Józefem Piłsudskim i jak wielu innych – nawet najodporniejszych psychicznie – polityków uległ czarowi jego osoby, jego myśli i słów, czarowi jego dynamicznego i porywającego temperamentu.

Zbliżając się do trzydziestego roku swojego życia Mościcki był już skrystalizowaną indywidualnością, w której dominował zmysł twórczy i przebojowy, dociekliwy i nowatorski oraz temperament równocześnie radykalny i wyjątkowo zdyscyplinowany. Nie podporządkowując nigdy swojego, wypracowanego własnym wysiłkiem, światopoglądu ciasnej i twardej, dogmatycznej doktrynie, miał jednak wyrobiony sąd o fundamentalnych zagadnieniach społeczno-politycznych, który później ułatwił mu tak niepomiernie sterowanie harmonijne i sprawne wielkim zespołem robotniczym, z którym zetknął się w czasach niezwykłych w Chorzowie. Przyjaźń z Józefem Piłsudskim – szczera i głęboka – zacieśniła się znacznie w okresie lwowskim. Mościcki mógł teraz stwierdzać coraz częściej, że przewidywania Piłsudskiego z lat tysiąc osiemset dziewięćdziesiątych i tysiąc dziewięćsetnych tak namiętnie krytykowane i zwalczane wówczas, poczynają sprawdzać się niezawodnie. Wzmacniało to oczywiście jego wiarę w rozum i intuicję przyjaciela. Osobiście Mościcki był uosobieniem wiedzy rozległej i ścisłej, człowiekiem nad wyraz prostolinijnym i uczynnym, pogodnym i skromnym, pozbawionym wszelkich znamion egocentryzmu, nie był chciwy ani władzy, ani formalnego dostojeństwa, ani popularności; toteż objęcie urzędu prezydenta było dla niego w istocie rzeczy ciężką ofiarą i poświęceniem wszystkiego, czym żył dotychczas, otoczony atmosferą powszechnej życzliwości, głębokiego szacunku i prawdziwego uznania dla jego osiągnięć.

Zaraz na początku prezydentury Mościcki ustalił dla siebie kilka wytycznych zasad, które może redukowały jego rolę jako pierwszego obywatela państwa, ale przekreślały wszelką możliwość „mącenia w narodowej kadzi" przez

czynniki nieodpowiedzialne. Było to szczególnie ważne w początkowym okresie formowania się niepodległości Polski. Uważał więc, że istotna, historyczna odpowiedzialność za losy państwa spoczywa aktualnie na barkach Józefa Piłsudskiego, w którego wierzył i któremu ufał bezgranicznie. Za swoje główne zadanie poczytywał usuwanie – w miarę swoich możliwości – kamieni i zapór z tej drogi, którą kroczył Piłsudski. Tę zasadę wyznawał jawnie i głośno. Zresztą był to nie kamuflowany stan faktyczny, uznawany nawet przez tych, którzy ze względów formalnych przeciwstawiali się temu. Konsekwentnie Mościcki uznawał za swój drogowskaz tezę, że pomiędzy nim jako prezydentem państwa a obozem rządzącym nie mogą ujawniać się na zewnątrz zasadnicze różnice zdań. Dostrzegając błędy i różne niedociągnięcia aparatu rządzącego, usiłował usuwać je perswazją i łagodnym, nieraz długotrwałym naciskiem. Zdawał sobie jednak dobrze sprawę z tego, że jedno nieoględne słowo krytyki czy też dezaprobaty może spowodować nieobliczalny zamęt w opinii publicznej kraju, a szczególnie w kołach politycznych łaknących sensacji i dekompozycji w obozie rządowym. Mościcki umiał syntetyzować wielkie zagadnienia i ważyć skutki swoich wystąpień na najczulszej wadze analitycznej.

Podobnie jak na poglądy Józefa Piłsudskiego, również i na opinię Mościckiego o wartości moralno-politycznej znacznej części opozycji wywarł przemożny wpływ fakt zabójstwa prezydenta Narutowicza. To właśnie opozycja prawicowa – zdaniem Mościckiego – siejąc ziarno nienawiści do osoby legalnie wybranego prezydenta „przetrąciła kręgosłup idei demokracji w Polsce". Niejednokrotnie mówił on do swoich bliskich, że opozycja – za wyjątkiem PPS – operuje hałaśliwie, ale nieszczerze takimi hasłami jak demokracja czy prawa jednostki; gdyby te odłamy doszły kiedyś do steru władzy – przewidywał prezydent – a z natury rzeczy prędzej czy później musi do tego dojść, to tępić one będą bezlitośnie wszelką, nawet lojalną w zasadzie opozycję. Przewidywanie to urzeczywistniło się w latach

drugiej wojny światowej w formach wprost niewiarygodnych.[4] Mościcki sądził też, że państwo winno stopniowo ułatwiać formowanie się parlamentarnej opozycji, działającej na wzór angielski. W tych poglądach różnił się więc zasadniczo od niektórych premierów „pomajowych". Ale umiał milczeć, nawet gdy milczenie stawiało go w niekorzystnej sytuacji politycznej.

Znacznie bardziej bezpośrednią i aktywniejszą rolę odgrywał Mościcki w dziedzinie gospodarczej polityki państwowej, w którą Piłsudski ingerował osobiście tylko sporadycznie i wyjątkowo. Szczególnie żywe zainteresowanie przejawiał prezydent Mościcki w zakresie poprawy struktury gospodarczej wskrzeszonego państwa. Kompetencyjnie sprawy te zahaczały o kilka resortów rządowych, a nie było wówczas sprawy drażliwszej w Polsce, jak naruszenie czyjejś kompetencji. Trzeba więc było posiadać dużo taktu i wrodzonego opanowania, by przez swoją ingerencję nie powodować konfliktów wewnętrznych. Mościcki był obdarzony tymi zdolnościami w najwyższym stopniu; toteż interwencje prezydenta były często skuteczne, nie wywołując nigdy ostrzejszych kolizji. Ta tendencja stopniowej przebudowy struktury gospodarstwa społecznego znachodziła konkretny wyraz nie tylko w inicjowaniu takich kapitalnych inwestycji jak budowa wielkiej i nowoczesnej wytwórni związków azotowych pod Tarnowem (Mościce), jak systematyczna rozbudowa polskiego przemysłu zbrojeniowego czy nowych, ulepszonych szlaków komunikacyjnych, jak czynny i rzeczowy udział w dyskusjach nad realizacją reformy rolnej, nad procesem scalania gruntów czy kredytem dla drobnorolnych, nad elektryfikacją kraju, nad uporządkowaniem gospodarki wodnej, nad rozwojem Gdyni i floty morskiej, ale również w częstych debatach nad ustawodawstwem, zmierzającym do zacierania gospodarczych konsekwencji podziałów Polski i spotęgowania działalności inicjatywy prywatnej. Rozporządzenia i dekrety prezydenta, np. o ulgach podatkowych dla inwestycji

[4] Por. m. in.: N. Zagórski, *Wojna w Londynie*, Paryż 1966.

w Centralnym Okręgu Przemysłowym, dla pionierskich poszukiwań górniczych, dla budownictwa mieszkaniowego, dla motoryzacji, dla inwestycji przemysłowych w Gdyni czy na kresach wschodnich, były nie tylko formalnie aprobowane i podpisywane przez prezydenta Mościckiego, ale i rozważane z nim wstępnie w sensie merytorycznym.

Były i inne nie mniej ważne dziedziny, w których ciche, „zakulisowe", ale stanowcze interwencje prezydenta przynosiły dla państwa pozytywne skutki. Tak np. pod naciskiem Mościckiego skorygowane zostały warunki pożyczki „stabilizacyjnej" na korzyść Polski, jego kategoryczny sprzeciw spowodował zerwanie pertraktacji w sprawie koncesji elektryfikacyjnej dla obcego kapitału (Harriman), dlatego że konsorcjum to pragnęło eksploatować wyłącznie dochodowe okręgi Polski Zachodniej, pozostawiając wschód kraju w wysoce niekorzystnej sytuacji w tej dziedzinie; domagał się on wreszcie podjęcia przez rząd zdecydowanej i planowej akcji w zakresie zwalczania przedłużającego się poza 1934 rok kryzysu gospodarczego w Polsce, a gdy tego nie osiągnął, zmienił rząd w 1935 r. Takich przykładów wyraźnej aktywności prezydenta można by cytować tu znacznie więcej; zmagania te z reguły nie docierały do świadomości opinii publicznej kraju. Prezydent był przeciwnikiem wszelkiego reklamiarstwa; szło mu zawsze o istotę sprawy, a nie o jej wydźwięk na zewnątrz.

Również w wielu innych sprawach gospodarczych, finansowych a nawet politycznych Mościcki – nie licząc się z oporami wewnątrz grupy rządzącej – skoro sprawę uważał za słuszną i ważną, zajmował stanowisko jasne i zdecydowane. Jego głos zaważył na przyspieszeniu rozbudowy przemysłu obronnego, on zachęcał już na początku 1936 r. do stworzenia Funduszu Obrony Narodowej, on patronował wymownie rozwojowi Funduszu Kultury, on udzielił poparcia wojewodzie Michałowi Grażyńskiemu w jego akcji polonizacji przemysłu śląskiego i przyspieszenia parcelacji majątków niemieckich, na skutek jego osobistej interwencji zwolniono z więzienia powracającego z emigracji do kraju Wincentego Witosa, on wreszcie

przeważył szalę przeciwko koncepcji dewaluacji złotego, wysuwanej kilkakrotnie w latach 1936–38 przez różne postronne czynniki.

W swojej autobiografii Mościcki oświadczył, że jego naturze odpowiadało zawsze życie proste i skromne. Potwierdzają to jego wszyscy najbliżsi współpracownicy. Profesor Wacław Leśniański [5] już po wojnie napisał o nim, że był to wybitny umysł twórczy, że rozwijał szeroką działalność naukową i wynalazczą, a jego ujmująca skromność i bezinteresowność jednały mu ogólny szacunek. Podobne osobiste wrażenia głosili liczni obcy dyplomaci po rozmowach z prezydentem. Mościcki był czynnym członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, wielu innych towarzystw naukowych w kraju i za granicą, był doktorem honoris causa Politechniki Lwowskiej i Warszawskiej, paryskiej Sorbony oraz uniwersytetów: warszawskiego, wileńskiego, fryburskiego, dorpackiego i in.

Wielki badacz i uczony Izaak Newton twierdził, że każdy umysł twórczy dążąc do rozwiązania nowego zagadnienia musi myśleć o tym jednym przedmiocie bez przerwy, bez wytchnienia, bez chwili wypoczynku. Takim był Mościcki jako naukowiec, jako organizator i jako prezydent Rzeczypospolitej. Ta koncentracja myśli i uczucia na sprawach w danej chwili najważniejszych mogła budzić wrażenie pewnej jednostronności zainteresowań i uzdolnień Ignacego Mościckiego. Był to jednak tylko pozór, spotęgowany tym, że nie był on skłonny do wynurzeń osobistych. Myślał i pracował, radował się i cierpiał w samotności. Los nie oszczędził mu – podobnie zresztą jak i jego poprzednikom na stanowisku prezydenta – wielu dotkliwych ciosów i tragicznego zakończenia. W kraju był obrzucany inwektywami i nie przebierającymi w środkach złośliwościami. Wszystko to znosił bez słowa skargi, z podziwu godnym stoicyzmem. Ale katastrofę 1939 r. przeżył ciężko i nad wyraz boleśnie. Usiłował ratować nie siebie, ale nieszczęsną Ojczyznę, jej prawa, jej godność, jej całość.

[5] „Roczniki Chemii", t. XXII (1948), s. 19.

W potopie oskarżeń i insynuacji nikt nie zwracał uwagi na piekielną przemoc agresorów, którym o wiele zasobniejsze państwa zachodnie nie mogły wówczas stawić czoła.

Ignacy Mościcki zmarł już po zakończeniu wojny i po przypieczętowaniu losów Polski, 2 października 1946 roku. Został bezimiennie pochowany na cmentarzu w Versoix, pod Genewą. Zapomniany uczony i organizator Chorzowa, twórca Instytutu Badawczego, wielki odkrywca, zepchnięty z piedestału dostojeństwa prezydent Polski, złożony został w ziemi, na której przed 50 laty rozpoczynał swój wspaniały start twórczego, pracowitego i ofiarnego życia.

Józef Beck

W latach trzydziestych na europejskiej arenie politycznej jedną z najbardziej charakterystycznych i znanych a zarazem najbardziej kontrowersyjnych i trudnych do rozszyfrowania postaci był polski minister spraw zagranicznych, Józef Beck. Dla licznych przeciwników politycznych – polskich i obcych – miał w sobie coś z tajemniczego Cagliostro, inni doszukiwali się w nim znamion machiawelskich Talleyranda, oponenci bardziej neutralni oceniali jego taktyczne uzdolnienia na miarę Metternicha, a przyjaciele i zwolennicy Becka uważali po prostu jego politykę za mądrą i przewidującą a taktykę za odważną i odpowiadającą tendencjom mocarstwowym Polski. Te sumaryczne oceny przedstawiają jednak dla historii znikomą wartość. Trzeba więc w osobowości i psychice Becka, a także w obiektywnych warunkach politycznych tego okresu, szukać odpowiedzi na pytanie dotyczące syntetycznej oceny długoletniej działalności, osiągnięć lub błędów ministra spraw zagranicznych Polski.

Chociaż rodzina Becków osiedliła się w małej zachodniogalicyjskiej miejscowości Limanowej, to jednak Józef Beck był rodowitym warszawiakiem i odznaczał się dobrymi manierami, właściwymi elicie kulturalnej tego miasta. W 1913 r. Józef Beck rozpoczynał swoje studia wyższe na Politechnice Lwowskiej. Szybko jednak doszedł do przekonania, że znajduje się na niewłaściwej drodze życia. Politechnika wymagała od studentów odznaczania się dwoma przymiotami: prawdziwymi zdolnościami i upartą, mrówczą pracowitością. Beck dysponował w tym czasie tylko jednym z tych przymiotów: talentem.

Na początku 1914 r. przeniósł się więc do Wiednia i zapisał się na studia w słynnej wówczas Akademii Eksportowej. Ale już w sierpniu tego roku rozpoczęła się wielka wojna europejska, która niebawem przekształciła się w generalną wojnę światową. Józef Beck – mając lat dwadzieścia – wstąpił do tworzących się w Galicji Legionów Polskich i w ten sposób zakończył faktycznie swoje wyższe studia cywilne. W szeregach wojskowych spisywał się doskonale; rozkazy wykonywał ściśle, był zewnętrznie opanowany i odważny, miał poczucie humoru, a ponadto odznaczał się błyskotliwą inteligencją, umiał narzucić swoją wolę podwładnym, a równocześnie był dobrym i sympatycznym kolegą. Szybko więc uzyskał stopień oficerski w artylerii drugiej brygady Legionów Polskich i zdobył cenne odznaczenie bojowe, krzyż Virtuti Militari. Po kryzysie przysięgowym w Legionach podjął współpracę ze stworzoną przez Piłsudskiego Polską Organizacją Wojskową; niebawem jednak – jako obywatel austriacki – został pozbawiony szarży oficerskiej i wcielony do c. i k. armii. Gdy zakończyła się wielka wojna, Beck powrócił do szeregów wojska polskiego z opinią bystrego, odważnego i zasługującego na zaufanie oficera. W 1919 r. Beck dowodził chlubnie baterią artylerii konnej na Wołyniu; następnie został przydzielony do oddziału drugiego sztabu generalnego, gdzie oceniono wysoko jego talenty organizacyjne i dyplomatyczne.

Odtąd pozycja Becka nie tylko umacnia się szybko, ale również ustala się kierunkowo. Kolejno pełni on funkcje dyplomatyczno-wojskowe w Bukareszcie, Budapeszcie i Brukseli, by z początkiem stycznia 1922 r. – mając lat zaledwie 28 – otrzymać nominację na zupełnie pierwszorzędne w tej dziedzinie stanowisko *attaché* wojskowego w Paryżu. Tu rozwinął – odpowiadającą jego temperamentowi – wielką i wielostronną aktywność, nie zawsze miłą naczelnym władzom wojskowym i politycznym Francji. Po takich, w istocie rzeczy drugorzędnych kolizjach rygorystyczne władze francuskie zażądały w połowie 1923 r. odwołania Becka z paryskiej placówki dyplomatycznej,

określając go jako „persona non grata" [1]. Fakt ten spowodował następstwa wprawdzie niegroźne dla stosunków francusko-polskich, ale w każdym razie niekorzystne i co najgorsze – trwałe. Beck zachował na długie lata głęboki uraz, a paryska Quai d'Orsay nieufność i niechęć do późniejszego wpływowego polskiego męża stanu.

W roku następnym Beck, jako jeden z najzdolniejszych oficerów, został odkomenderowany na dalsze studia w Akademii Wojskowej w Warszawie. W ten sposób przetrwał aż do momentu przewrotu majowego. Wówczas zaszedł decydujący przełom w jego życiu i w jego karierze: został powołany na stanowisko szefa gabinetu ministra spraw wojskowych. Wobec zupełnie wyjątkowej pozycji Piłsudskiego jako ministra tego resortu, Beck znalazł teraz szerokie pole do wykazania swoich wrodzonych talentów, swojej dokładności i inteligencji w wykonywaniu poleceń; pełniąc te funkcje zdobywał równocześnie wgląd w najważniejsze i najtajniejsze sprawy państwowe, głównie tych resortów, którymi Piłsudski interesował się szczególnie, to jest ministerstw, spraw wojskowych i spraw zagranicznych.

Dalszym ważnym etapem w rozwoju osobowości Becka był rok 1930. Uzyskał on wówczas trzy ważne nominacje: w hierarchii wojskowej podniesiony został do rangi pułkownika, następnie w sierpniu w gabinecie tworzonym przez Piłsudskiego mianowany został formalnie podsekretarzem stanu w prezydium rady ministrów a faktycznie „prawą ręką" premiera, wreszcie na początku grudnia tegoż roku podsekretarzem stanu w resorcie spraw zagranicznych. Piłsudski już wówczas planował powierzenie Beckowi funkcji kierowniczej w tym ministerstwie, uważając, że dookoła państwa zbierają się groźne i złowieszcze chmury, a w tych warunkach taktyka szefa polskiej polityki zagranicznej musi być zsynchronizowana i uzgodniona w całej rozciągłości z jego własnymi koncepcjami obronnymi. W danym układzie sił i prawa do decydowania

[1] O tym fakcie wspomina również H. Roos, *Polen u. Europa*, Tübingen 1957.

o linii politycznej państwa, Beck był prawdopodobnie najwłaściwszym kandydatem na stanowisko szefa resortu spraw zagranicznych.

Stan niepokoju w świecie, szczególnie zaś w Europie, potęgował się w tych latach wyraźnie i ciągle. Francja – skazana po pierwszej wojnie światowej na odgrywanie roli sterowniczej na przesyconym konfliktami kontynencie europejskim – miała wówczas rządy chwiejne, poszukujące za wszelką cenę kompromisu i doktrynalnie pacyfistyczne. W Niemczech przejawiał się stan głębokiego, chronicznego niepokoju na tle źle maskowanej tendencji wyzwolenia się z krępujących je klauzul traktatowych oraz wynikających z uporczywej walki nazistów o władzę. W 1931 r. podjęta została pierwsza, fragmentaryczna i nieudana próba „Anschlussu", tj. zjednoczenia Austrii z Niemcami; w 1932 r. Niemcy domagają się ostro prawa do równości zbrojeń, a po uznaniu tego postulatu przez państwa zachodnie wycofują się nagle z Komisji Rozbrojeniowej. Rosja radziecka w tym czasie zwiększa intensywność swoich zbrojeń i demonstruje rosnące zainteresowanie w zakresie polityki międzynarodowej. Na Dalekim Wschodzie toczy się wielka wojna, w Hiszpanii panuje stan permanentnej rewolucji, a utworzona tak niedawno Liga Narodów choruje już na uwiąd starczy. Liga Narodów i mocarstwa demokratyczne ustępują pod naciskiem siły na każdym kroku. Bezpieczeństwo zbiorowe z upływem każdego roku staje się coraz bardziej oczywistą fikcją. We wszystkich działach życia gospodarczego potęguje się potworny kryzys: kurczą się gwałtownie obroty w handlu wewnętrznym i międzynarodowym, topnieją zapasy złota monetarnego w bankach emisyjnych, zanika kredyt i wszelki ruch inwestycyjny, mierniki wartości stają się ruchome, a bezrobocie wzrasta lawinowo. Wszystko to wywiera przemożny wpływ na elementy polityki międzynarodowej, przesycając całą atmosferę beznadziejnością.

W tych warunkach dochodzi do zmiany na stanowisku ministra spraw zagranicznych w Warszawie; miejsce bardziej samodzielnego, ostrożnego i wytrawnego Augusta

Zaleskiego zajmuje w dniu 2 listopada 1932 pułkownik Józef Beck. Dotychczasowa 14-letnia praktyka nie zdołała jednak wykrystalizować w nim jednorodnej, zdefiniowanej psychicznie indywidualności. Równorzędnie egzystowały tu dwie odmienne, często sprzeczne i przeciwstawiające się sobie osobowości: z jednej strony wybitnego, zrównoważonego i nieprzeciętnie utalentowanego męża stanu, a z drugiej zadzierzystego, a czasem ryzykanckiego a naiwnego politycznie i zarozumiałego pułkownika, pragnącego dowodzić współpracownikami cywilnymi. Gdy już pełnił funkcję samodzielnego, a później nawet nie kontrolowanego szefa polskiej polityki zagranicznej, zawsze rodziła się obawa, by nie wystąpił na scenie drugi zamiast pierwszego, pułkownik zamiast przezornego i wytrawnego ministra. Jeden tylko – stosunkowo krótki – okres działalności Becka był całkowicie wolny od ulegania iluzjom politycznym, od wytwarzania niepotrzebnych zadrażnień, od zgubnych snów o mocarstwowej Polsce; były to dwa lata, w ciągu których zasadniczymi sprawami zewnętrzno-politycznymi odrodzonej Polski sterował Józef Piłsudski za pośrednictwem pułkownika Józefa Becka. Po śmierci wielkiego Marszałka to rozdwojenie osobowości Becka stawało się z każdym rokiem coraz bardziej wyraźne i niepokojące.

Syntetyzując jednak bilans prawie siedmioletniej działalności Becka jako ministra spraw zagranicznych Polski, nikt z obiektywnych krytyków nie może odmówić mu ani wielkich uzdolnień i inteligencji, ani też wiekich zasług czy historycznych osiągnięć tylko dlatego, że przejawiał się w nim czasem zwykły, mały człowiek, niecierpliwy, egocentryczny i pełen próżności. Przecież w ciągu tych siedmiu bardzo trudnych lat, kiedy uginały się, a nawet łamały największe autorytety polityczne świata, minister Beck bronił wytrwale i sumiennie idei pokoju i porozumienia w stosunkach międzynarodowych, aż po nieprzekraczalną dla męża stanu granicę utraty niezależności własnego państwa i honoru własnego narodu. Z obu wielkimi, bardzo trudnymi i niebezpiecznymi sąsiadami Polski doprowadził do podpisania długoterminowych paktów nieagresji, wyra-

żnych i jasnych w treści, uczciwie dotrzymywanych przez stronę polską. Z dużą gorliwością i spokojem likwidował i rozbrajał niezliczone, drobne a zatruwające atmosferę incydenty na wschodniej granicy Polski, zatargi narodowościowe i spory prawne z Gdańskiem i walczył wytrwale o należne traktowanie mniejszości polskiej w Niemczech.

Z reguły minister Beck potrafił się wznieść ponad osobiste sympatie i antypatie oraz oceniał prawidłowo aktualną sytuację polityczną i jej doraźne komplikacje. Należy tu podkreślić – w imię prawdy – z całym naciskiem, że Beck alarmował dość wcześnie o niebezpieczeństwie niemieckim, że osobiście nalegał na przyspieszanie gotowości bojowej państwa, apelując do marszałka Rydza-Śmigłego o nieuleganie ciągłym naciskom czynników dyplomatycznych co do odrodzenia pełnej mobilizacji wojsk polskich. Domagał się słusznie z całą stanowczością, by interwencje obce były skierowane do niego, gdyż obowiązek wytrzymania i odparcia tych nacisków spoczywa na nim. Gdy Hitler – przygotowując rozprawę zbrojną – zainicjował z początkiem 1939 r. wojnę nerwów przeciwko Polsce, Beck nie tylko umiał wytrzymać spokojnie napiętą do ostateczności sytuację przez wiele miesięcy, ale ponadto doprowadził do tego, że – w myśl tendencji Piłsudskiego – wojna przeciwko Polsce przybrała od początku charakter wielkiego konfliktu ogólnoeuropejskiego.

Trzeba uświadomić sobie w całej rozciągłości, że to, co wbrew licznym traktatom i wielokrotnym deklaracjom publicznym czołowych mężów stanu Europy nie wywołało – poza czczymi protestami słownymi – żadnej solidarnej i czynnej reakcji, ani po jawnym i brutalnym podeptaniu traktatów: wersalskiego i lokarneńskiego przez Hitlera i jego rząd, ani po dokonaniu siłą „Anschlussu" Austrii, ani po wydarciu Sudetów, ani po doszczętnym zniszczeniu państwa czechosłowackiego, teraz po napaści na Polskę stało się rzeczywistością i faktem historycznym niezmiernej doniosłości, który przecież zadecydował ostatecznie o katastrofalnej klęsce Hitlera i ustrojów faszystowskich. Wystąpienie zbrojne Wielkiej Brytanii i Francji w obronie

zaatakowanej Polski nie było ani przypadkowe, ani samorzutne; dokonało się ono wbrew niezmordowanym wysiłkom dyplomacji hitlerowskiej politycznego izolowania i okrążenia Polski, a równocześnie było poważnie utrudnione przez postawę Związku Radzieckiego; było ono rezultatem sytuacji, którą pieczołowicie i konsekwentnie przygotował Beck i jego aparat resortowy. W istocie rzeczy Beck uczynił wówczas wszystko, co praktycznie leżało w granicach możliwości polskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Dość często zachodzi jednak zjawisko, szczególnie w odniesieniu do ludzi formatu historycznego a obojętnych na własną popularność, że cechy podrzędne i uboczne ich osobowości wysuwają się na plan pierwszy, polaryzując silnie ich wielkie i trwałe wartości i osiągnięcia. Wydaje mi się, że taki przypadek zachodzi właśnie w stosunku do politycznej sylwetki Józefa Becka, jaka utrwaliła się szeroko w naszej opinii publicznej. Jest to tym bardziej zrozumiałe i naturalne, że przywary jego charakteru – trzymane w ostrej dyscyplinie wojskowej w obliczu Józefa Piłsudskiego – były istotnie dość liczne i rzucające ostre refleksy na jego wystąpienia publiczne. Tak więc fakt, że minister Beck – z reguły realista w polityce – ulegał w ważnych nawet sprawach szkodliwym złudzeniom czy iluzjom, zwłaszcza gdy harmonizowały one z jego własnymi teoriami i postulatami politycznymi, jest niezaprzeczalny. Tym niemniej nie może on obciążać zbytnio jego osobistego rachunku. Wybitny historyk francuski P. Renouvin [2] konstatuje wprawdzie, że Beck ulegał naiwnym iluzjom nie raz, lecz wielokrotnie i organicznie, ale jakby na jego usprawiedliwienie dodaje, że współcześni politycy tej miary, co Chamberlain, Churchill, Eden, Daladier, Bonnet i wielu innych ulegali notorycznie iluzjom w stosunku do zamiarów i posunięć Hitlera czy Stalina.

W przypadku polskim złożyło się tak fatalnie, że Beck, który oceniał realistycznie tendencje i możliwości polityczne Francji, Anglii czy Ligi Narodów, albo też przewidywał

[2] P. Renouvin, *Les Crises du XX^e siècle*, Paris 1958, vol. II, s. 70 i in.

prawidłowo praktyczne znaczenie projektowanych paktów zbiorowego bezpieczeństwa i wielu innych jawnych i zakamuflowanych chwytów politycznych, ulegał długo iluzjom co do dobrej woli i uczciwości w działaniu właśnie Hitlera i jego „dwunastu zbójców", Mussoliniego albo Stalina i Mołotowa. Gdy Piłsudski poczytywał pakt niemiecko-polski z 26 stycznia 1934 r. za niepewny, posiadający wartość raczej taktyczną niż merytoryczną, za układ dający najwyżej parę lat odprężenia i spokoju znękanej kryzysem gospodarczym Polsce, to Beck ufał w trwałość nowego stosunku Niemiec do Polski, a zapewnienia Hitlera, Göringa, Goebbelsa i szefa Reichswery, generała Blomberga, wtłaczane mu w czasie wizyty berlińskiej w lipcu 1935 r. o definitywnej zmianie niemieckiego nastawienia do naszego kraju, brał za dobrą i szlachetną monetę. Rozmowy prowadzone w Berlinie w 1935 r., jak i wiele późniejszych, określane były przez Becka jako „*tout à fait satisfaisantes*", całkowicie zadowalające.

W tych czasach próbuje on nawet sformułować rozumowe argumenty dla pozytywnej oceny i trwałości znormalizowanych – po podpisaniu paktu z 1934 r. – stosunków niemiecko-polskich. Głosi on mianowicie, że Hitler jest organicznym i typowym produktem austriackim, że obca jest mu psychika pruska, przeniknięta tradycyjną nienawiścią w stosunku do Polski i Polaków. Również wśród głównych współpracowników Hitlera nie ma ani jednego rodowitego Prusaka i dlatego pokojowa koegzystencja narodu niemieckiego z polskim stała się od kilku stuleci możliwa. Te tendencje podtrzymywała wiara Becka w zasadniczy i nienaruszalny antagonizm nazistowsko-komunistyczny.

Takich niebezpiecznych złudzeń w umysłowości szefa polskiej polityki zagranicznej było jednak znacznie więcej. Jeszcze na początku 1938 r. Beck był przeświadczony, że Hitler ograniczy swoje pretensje terytorialne do Austrii i Sudetów. Podobnym złudzeniom ulegał Beck w sprawie Gdańska, sądząc, że za ustępstwa wewnętrzno-polityczne wobec nazistów scementuje silnie port gdański z Polską.

Wbrew złej woli sterujących polityką gdańską nazistów, oczekujących tylko sygnału z Berlina do „Anschlussu" Wolnego Miasta z Rzeszą, Beck bronił interesów gdańskich sporadycznie nawet wbrew Gdyni, której jeszcze w ostatniej, już wojennej publikacji książkowej [3] poświęcił kilka krytycznych i niesłusznych słów. Polskiemu ministrowi spraw zagranicznych nie dał do myślenia nawet tak jaskrawy fakt, że w czasie gdy on z trybuny Ligi Narodów brał w obronę gdańskich nazistów, Hjalmar Schacht 28 stycznia 1936 r. wygłosił w Bytomiu [4] gwałtowną mowę antypolską i rewizjonistyczną. Całkowite ocknięcie się z tej pajęczyny niemieckich złudzeń nastąpiło u Becka dość późno, bo na przełomie 1938–39 r. i było dla niego wstrząsające.

Choć nieufność Becka do polityki sowieckiej była od początku zaostrzona, to jednak i w tych relacjach zachodziły, i to aż do drugiej połowy 1939 r., wypadki zdumiewającej łatwowierności. Jeszcze w maju tego roku Beck przypuszcza, że stosunki nasze ze Związkiem Radzieckim mają nowe szanse wyrównania, szczególnie – jak zapisuje [5] – wobec tego, że Maksim Litwinow, komisarz ludowy dla spraw zagranicznych, „notoryczny wróg naszego państwa", zwolniony został ze swego stanowiska. Cały ówczesny świat polityczny poczytywał ten fakt za wyraźny gest pojednawczy Stalina wobec Hitlera. Odmiennie jak jego następca Mołotow, Litwinow miał zdecydowanie antyhitlerowskie nastawienie, reprezentował tendencje pokojowe i – przynajmniej w pewnych granicach – popierał ugodową politykę Ligi Narodów. Tylko Beck wyraża nie niepokój, ale zadowolenie z tej zmiany personalnej. W tym czasie byłem też obecny w Spale, gdy minister Beck informował prezydenta Rzplitej o swojej rozmowie w dniu 10 maja 1939 r. z przejeżdżającym przez Warszawę zastępcą komisarza do spraw zagranicznych Potiomkinem, tym

[3] Colonel Joseph Beck, *Dernier Rapport*, Neuchâtel-Paris, s. 15.

[4] Diariusz i teki J. Szembeka, Londyn 1965, t. II, s. 388–389.

[5] J. Beck, *op. cit.*, s. 175; porównaj też A. Bregman, *Najlepszy sojusznik Hitlera*, Londyn 1961, s. 15–17.

samym, który pod koniec 1938 r. rozgłaszał w kołach dyplomatycznych Berlina proroctwo, że zbliża się dzień czwartego rozbioru Polski. Potiomkin zapewniał teraz Becka, w imieniu i z upoważnienia rządu sowieckiego, że w razie konfliktu zbrojnego z hitlerowskimi Niemcami rząd radziecki zajmie w stosunku do Polski „jak najbardziej życzliwą postawę"[6]. W ten sposób zachęcał on Polskę i jej rząd do usztywnienia swego odpornego stanowiska wobec pretensji niemieckich.

Jest to może nieuniknione zjawisko, że z upływem lat kierowania ważnym i możnym resortem państwowym gromadzą się w osobowości szefa – obok kapitału rutyny i doświadczenia – pewne spaczenia czy dewiacje psychiczne, spowodowane zarówno chwalstwem otoczenia, jak i stopniowym zanikiem zmysłu samokrytyki. Podobne objawy można też skonstatować w wystąpieniach publicznych i działalności ministra Becka, szczególnie od połowy 1935 r. W jego pośmiertnie wydanej książce *Dernier Rapport*, wykazującej tak głęboką i przenikliwą znajomość międzynarodowego mechanizmu politycznego, można znaleźć surową, czasem zjadliwą i niesprawiedliwą krytykę obcych mężów stanu, a również jego poprzednika na stanowisku szefa ministerstwa spraw zagranicznych w Polsce, Augusta Zaleskiego, przy rosnącym stale samouznaniu dla własnych wystąpień czy osiągnięć. Te posunięcia – przygotowywane początkowo precyzyjnie i pieczołowicie przez wytrawny i fachowy aparat ministerstwa – z biegiem lat coraz częściej mają charakter nie przemyślanej do końca improwizacji. Toteż nie przynoszą one oczekiwanych rezultatów.

Pierwsze takie większe potknięcie miało miejsce w połowie września 1934 r. na terenie Ligi Narodów. Wówczas to minister Beck wypowiedział jednostronnie obowiązujący Polskę układ z 28 czerwca 1919 r. o ochronie praw mniejszości narodowych. Z polskiego punktu widzenia krok ten miał swoje uzasadnienie. Głównie szło o zabezpieczenie przed wtrącaniem się do spraw polskich przez –

[6] Wyd.: *Documents on Polish-Soviet Relations*, London 1961, vol. I, s. 28.

wstępujący właśnie do Ligi Narodów – Związek Radziecki. Formalnie też wniosek polski domagał się usunięcia wszelkiej dyskryminacji, czyli uogólnienia zobowiązań co do ochrony mniejszości narodowych, wedle identycznej procedury. Nie można jednak było przejść do porządku nad tym, że zobowiązanie polskie było formalnie związane z uznaniem granic naszych przez czynniki międzynarodowe, a także, że w naszym państwowym interesie leżało jak najsumienniejsze przestrzeganie istniejących – złych czy dobrych – zobowiązań traktatowych. W rezultacie obok ostrej krytyki kroku polskiego przez ministrów: brytyjskiego Simona i francuskiego Barthou, przedstawiciele Niemiec i Włoch podkreślili dobitnie – oczywiście na różnych drogach – istniejący związek między układem o ochronie mniejszości a sprawą granic Polski. Toteż reprezentant Polski uznał za chwilowo najkorzystniejsze wycofanie wniosku ministra Becka spod głosowania.

Oczywiście, iż pomyłki a nawet ciężkie błędy są w dziedzinie polityki zagranicznej często nie do uniknięcia, nawet przez najwytrawniejszego dyplomatę. Z reguły stoi się tu przed koniecznością rozwiązywania jednego równania, wypełnionego całym szeregiem niewiadomych. Hipotezy są tu częste, pewniki wielką rzadkością. Ale zadaniem rozbudowanego i wyposażonego obficie w środki materialne resortu jest takie przygotowanie i naświetlenie ministrowi każdej ważniejszej sprawy, by pomyłki i niepowodzenia zredukować do granic możliwie najmniejszych. Trzeba przyznać, że resort Becka był na wysokości swojego zadania. Jednakże Beck – z upływem lat – ulegał coraz wyraźniej złudzeniu, że sam wie wszystko lepiej, niż cały zespół jego fachowych współpracowników. Nie bez pewnej słuszności twierdzi sumienny znawca tego resortu Kajetan Morawski, że „Beck z błędnego założenia wyciągał inteligentnie nieżyciowe wnioski, a w ministerstwie spraw zagranicznych ludzie myślący inaczej lub w ogóle myślący samodzielnie usuwani byli z urzędu"[7]. W tych warunkach

[7] K. Morawski, *Wspólna droga*, Paryż 1962, s. 66.

potknięcia musiały się mnożyć. Ten niekorzystny stan rzeczy podsycała coraz bardziej dwoista natura Becka, o obliczu i postawie cywilnej i wojskowej.

Aktualną i ważką sprawą w 1934 r. stała się próba przeforsowania koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa we wschodniej i centralnej części Europy, tzw. Paktu Wschodniego. Głównymi propagatorami tej koncepcji były rządy francuski i radziecki, a najważniejszymi uczestnikami paktu miały być Niemcy, Rosja i Polska. Ale Niemcy i Polska – z nieco odmiennych powodów – były przeciwne temu projektowi. W szerokiej opinii publicznej, nieświadomej kulisów tej sprawy, Polska naraziła się jednak na zarzut współdziałania z Niemcami hitlerowskimi. W tych warunkach Beck – znając pozytywne nastawienie Małej Ententy do Paktu Wschodniego – usiłował skłonić do zajęcia negatywnego stanowiska w tej sprawie przynajmniej niektóre z państw bałtyckich. Toteż w połowie 1934 r. udał się on m.in. z wizytą do Łotwy, w złudnej nadziei skłonienia jej rządu do przyłączenia się do tezy polskiej. To się nie powiodło. W czasie wizyty Becka w Rydze jego kolega łotewski oświadczył publicznie, że jego kraj i rząd „nie uchyli się od współpracy w ramach Paktu Wschodniego". Pod koniec lipca tego roku wszystkie państwa bałtyckie zadeklarowały solidarnie w Moskwie, że popierają w całej rozciągłości koncepcję Paktu Wschodniego.

Podobne siły motoryczne sprawiły – jak wydaje się – że polityka gdańska Becka nie zawsze była szczęśliwa. Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, profesor historii i historiozofii w Bazylei, człowiek cieszący się dużym autorytetem i wpływami w sferach międzynarodowych, żali się 7 listopada 1937 r., że „polityka polska dopomogła w ostatnich latach do osłabienia pozycji Ligi Narodów w Gdańsku, a równocześnie zdewaluowała polskie uprawnienia w Wolnym Mieście"[8]. Przypuszczenie Becka, że w sprawie gdańskiej można się porozumieć bezpośrednio z Niemcami, eliminując Ligę Narodów i swoich zachod-

[8] H. Roos, *Polen u. Europa*, Tübingen 1957, s. 296.

nich przyjaciół, okazało się błędne. Skutek tych zabiegów był taki, że 18 października 1937 r. minister Neurath oświadczył ambasadorowi Lipskiemu z naciskiem, że „wisząca pomiędzy Niemcami i Polską sprawa gdańska wymagać będzie zasadniczego rozwiązania", przy czym nie pozostawił wątpliwości, że rozumie przez to przyłączenie Gdańska do Reichu.

W tym czasie ożywia Becka nowa idea. W obliczu dwóch wrogich bloków: faszystowskiego i demokratycznego pragnie on zorganizować „trzecią siłę", blok państw neutralnych, znajdujących się pod wpływami Polski. Dla dwóch powodów koncepcja ta nie może mieć powodzenia. Po pierwsze dlatego, że – oczywiście niesłusznie – opinia międzynarodowa poczytuje politykę polską za niewyraźną, nieszczerą i budzącą zadrażnienia. Prasa francuska pod koniec okresu międzywojennego pisze i propaguje otwarcie: „*La Pologne reste notre alliée en droit, elle ne l'est plus en fait*". Po drugie nie ma oddanych współpartnerów dla tej idei. Ani państwa skandynawskie, ani bałtyckie, ani tym bardziej Mała Ententa, ani Węgry, ani państwa bałkańskie nie dostrzegały wyraźnych korzyści dla siebie z takiej demonstracji, drażniącej tylko groźnych rekinów. Ten stan rzeczy charakteryzował dość wymownie fakt, że szef najbardziej Polsce przyjaznego państwa, tj. Węgier, admirał Horthy apelował na początku 1938 r. do Polski, aby w imię wielkich i wspólnych celów zwróciła Niemcom Gdańsk i „korytarz".

Stopniowo coraz częściej na arenie międzynarodowej pojawiać się poczyna jako reprezentant Polski minister-pułkownik Józef Beck. Jestem jak najdalszy od uwłaczania wysokiej i odpowiedzialnej szarży pułkownikowskiej w wojsku; sądzę tylko, że to, co jest rozumne, dobre i właściwe w ramach organizacyjnych wojska, może być czasem złe lub pożałowania godne w działalności cywilnego ministra spraw zagranicznych. Beck był szczególnie silnie przywiązany do swojej szarży pułkownikowskiej i do wojskowych form działania; lubował się w mundurze i etykiecie wojskowej. Obcy znali te słabe strony polskiego ministra i często nie szczędzili mu bezwartościowych uprzej-

mości. W lipcu 1935 r. Niemcy przyjmowali go w Berlinie „z wielkimi honorami wojskowymi", a ceremoniał powitania go w Rzymie w marcu 1938 r. „był prawie królewski". Beck nie omieszkał podkreślić tego wyraźnie w swoim pamiętniku [9], napisanym przez pułkownika i zatytułowanym manierą wojskową jako „dernier rapport".

Przyjaźnie usposobiony do Becka były ambasador i minister Edward Raczyński przytacza w swoich wspomnieniach [10] incydent, który normalnie nie mógł zdarzyć się ani szefowi spraw zagranicznych, ani nawet pułkownikowi za życia Piłsudskiego; zdarzył się jednak ministrowi Beckowi. Oto w listopadzie 1936 r., w czasie oficjalnego pobytu polskiego ministra w Londynie, brytyjski Foreign Office wydał bankiet na cześć polskiego gościa, zapraszając najbardziej wpływowe osobistości stolicy. Edward Raczyński pisze: wymęczony wizytą minister „wypił na tym obiedzie kieliszek lub dwa, co wystarczyło, by usposobić go egocentrycznie i zaczepliwie. Toteż rozmowa jego z Montagu Normanem, papieżem londyńskiej City, wypadła niedobrze, przy wyraźnej obustronnej irytacji". A był to człowiek miarodajny w dziedzinie wszelkich międzynarodowych operacji finansowych Anglii w tym czasie.

W maju 1937 r. Polska – podobnie jak wiele innych krajów – wysłała na uroczystości koronacyjne Jerzego VI do Londynu delegację rządową pod przewodnictwem ministra spraw zagranicznych. Na uroczystościach tych minister Beck – może dla większego splendoru – wystąpił w mundurze pułkownika, co oczywiście było różnie komentowane. To „pułkownikowskie hobby" Becka powiązane było z przesadnym przeświadczeniem o przemożnej roli polskiego ministra spraw zagranicznych na europejskiej arenie politycznej. Tak np. w chwili gdy wszystkie struny gry międzynarodowej były napięte na całym kontynencie do granic wytrzymałości, Beck dla podkreślenia swojego stoickiego spokoju udaje się pod koniec maja 1938 r. z rewizytą do Sztokholmu. Z zadowoleniem notuje w swo-

[9] Beck, *op. cit.*, s. 97 i 145.

[10] E. Raczyński, *W sojuszniczym Londynie*, Londyn 1960, s. 16–18.

im pamiętniku, że na samą wiadomość o jego podróży międzynarodowa giełda niezwłocznie uspokoiła się.[11]

Jednakże wszystko to nie posiada większego i trwalszego znaczenia wobec dwóch rozgrywek i akcji politycznych podjętych przez ministra Becka pod koniec 1938 r. Idzie tu o sprawę Zaolzia i wystąpień wiążących się bezpośrednio i pośrednio z zagadnieniem wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

W sprawie Zaolzia cała nawarstwiona przeszłość historyczna, a nawet pewne argumenty taktyczne, przemawiały na korzyść stanowiska Polski i postulatu ministra Becka skierowania do Czechosłowacji 12-godzinnego ultimatum z żądaniem cesji Zaolzia. Po załamaniu się państw centralnych w 1918 r. obie dzielnicowe Rady Narodowe, czeska i polska, zgodnie i sprawiedliwie podzieliły cieszyński Śląsk według granicy etnograficznej. Jednak w obliczu powikłań zbrojnych na wszystkich prawie pograniczach Polski, Czesi wykorzystali nasze trudności i zajęli siłą polskie Zaolzie. Wytworzyło to nieprzyjazne napięcia pomiędzy obu bratnimi narodami.

Marszałek Piłsudski – nie zgłaszając wyraźnie postulatu odzyskania Zaolzia – próbował kilkakrotnie na różnych płaszczyznach doprowadzić do odprężenia z naszym południowo-zachodnim sąsiadem. W lecie 1939 r. w pewnym fragmencie gospodarczym tego planu polecił i mnie wykonać określone zadanie. Byłem wówczas przez kilka dni w Czechosłowacji i przez parę godzin rozmawiałem z prezydentem T. Masarykiem na zamku w Topolcankach. Z wielu powodów nie udało się wówczas stępić ostrza niechęci czesko-polskiej. Nie było to winą rządów pomajowych. Wielki przyjaciel narodu czeskiego i słowackiego, Wincenty Witos, w czasie swojego azylu politycznego w Czechosłowacji napisał na ten temat: w stosunku do Polski „rząd czechosłowacki posługiwał się nie tylko przemocą ale także zdradą, połamawszy wszystkie, dobrowolnie zawarte umowy"[12]. Inny czołowy polityk, ludo-

[11] J. Beck, *op. cit.*, s. 153.

[12] W. Witos, *Moje wspomnienia*, Paryż 1964, t. II, s. 250.

wiec Maciej Rataj, były marszałek Sejmu, powiedział na wiosnę 1938 r. do wybitnego czeskiego historyka, polityka i publicysty, wysłannika rządu praskiego dla nawiązania kontaktów z opozycją polską, Fiali, że „gdybym został dzisiaj ministrem spraw zagranicznych, nie mógłbym właściwie robić nic innego jak to, co czyni obecnie Beck"[13].

Na konferencji w dniu 30 września 1938 r. na Zamku w obecności prezydenta Rzplitej, marszałka Śmigłego-Rydza, premiera, ministrów spraw zagranicznych i skarbu, minister Beck wysunął również argumenty taktyczno-polityczne, mające wesprzeć jego wniosek wysłania niezwłocznie ultimatum do Pragi. Twierdził on – nie bez słuszności – że to, co wydarzyło się w Monachium i co było reminiscencją projektowanego przed paru laty „Paktu Czterech", może się stać bardzo niebezpiecznym precedensem na przyszłość, również w odniesieniu do żywotnych spraw Polski. Należy – jego zdaniem – szybko i możliwie drastycznie przeciwstawić się takim metodom załatwiania konfliktów terytorialnych, wywołując widmo – niezbyt prawdopodobnej w tym przypadku – wojny. Tylko takie zdecydowane i odważne wystąpienie Polski może uchronić ją przed powtórzeniem się nowego Monachium. Również bliskie sąsiedztwo Niemiec w tym rejonie zmusza Polskę do niezwłocznego działania. Jeżeli będziemy wahać się i zwlekać, to powstać może niebezpieczeństwo zagarnięcia tego cennego, wysoko uprzemysłowionego skrawka ziemi przez Niemcy. Wówczas sprawa polskich pretensji do Zaolzia byłaby przekreślona na długo. W końcu – mówił Beck – domagamy się od dłuższego czasu i mamy zasadniczą zgodę rządu czechosłowackiego równorzędnego traktowania postulatów polskich z prawami przyznanymi przez Czechosłowację mniejszości niemieckiej. Dziś, gdy rząd praski odstępuje Rzeszy ziemie zamieszkałe przez Niemców, i to za aprobatą mocarstw zachodnich, musimy upomnieć się stanowczo o analogiczne uregulowanie małego, ale rzeczowo uzasadnionego postulatu Polski.

[13] S. Stanisławska, *Wielka i mała polityka J. Becka*, Warszawa 1962, s. 112–113.

Z tymi wywodami Becka zgadzali się w zasadzie wszyscy uczestnicy konferencji na Zamku w dniu 30 września 1938 r. Ostre spięcie powstało dopiero wówczas, gdy jeden z uczestników – minister skarbu – sprzeciwił się ultymatywnej formie polskiego wystąpienia w chwili wyjątkowo nieodpowiedniej, dającej pozory merytorycznego i taktycznego współdziałania z agresorem hitlerowskim przeciwko Czechosłowacji. Apelował on, by zastosować w tym przypadku normalną procedurę dyplomatyczną i wytworzyć możliwie spokojną i rzeczową atmosferę. Szło po pierwsze o to, aby w opinii publicznej nie identyfikować postępowania polskiego z niemieckim, po wtóre, aby nie działać zbyt pospiesznie, i ponadto w warunkach dysharmonii z naszymi przyjaciółmi na Zachodzie, wreszcie po trzecie, aby nie stwarzać niebezpiecznego pretekstu dla interwencji Związku Radzieckiego, związanego przecież układem o warunkowej pomocy dla Czechosłowacji. Marszałek Śmigły-Rydz gwałtownie przeciwstawił się tym wywodom, natomiast minister Beck zlekceważył dwa pierwsze motywy, a na trzeci wcale nie odpowiedział, choć był już w posiadaniu cierpkiej i nieco dwuznacznej noty radzieckiej z dnia 22 września tego roku, której jednak nie podał do wiadomości uczestników konferencji. Jeszcze tego samego dnia ultimatum polskie zostało skierowane do Pragi; w wymaganym terminie 1 X 38 przyjęto żądania polskie. Marszałek Śmigły-Rydz i minister Beck tryumfowali. Chwilowo naraziliśmy się tylko na słowne potępienie naszej akcji przez wielu wpływowych polityków Zachodu i Wschodu. Ale sprawa nie została w ten sposób zamknięta ostatecznie.

Organicznie z tą sprawą związał się drugi kompleks zagadnień, wynikających z postępującego rozkładu państwa czechosłowackiego pod brutalnymi ciosami zadawanymi mu przez Hitlera w latach 1938–39. Wówczas Beck postawił sobie – poza rewindykacją Zaolzia – trzy dodatkowe cele polityczne: przejęcie w tej czy innej formie opieki nad samodzielną Słowacją przez Polskę albo łącznie przez Polskę i Węgry; wzmocnienie prestiżu politycznego przez uczestnictwo Polski w ustaleniu nowej granicy, rozdzielają-

cej Słowację od Węgier, a wreszcie zrealizowanie postulatu wspólnej i bezpośredniej granicy polsko-węgierskiej.

Należało jednak brać przy tym pod uwagę fakt, że Niemcy hitlerowskie nie zgodzą się ani na pokrzyżowanie ich własnych planów co do strategicznego okrążenia Polski (w czym wysunięty na wschód obszar Słowacji miał odgrywać ważną rolę) ani też na żadne, nawet najmniejsze wzmocnienie politycznej pozycji naszego państwa, chyba tylko za cenę jawnego i integralnego włączenia Polski w orbitę interesów i coraz bardziej ryzykanckich posunięć politycznych oraz prestiżowych Niemiec. W efekcie końcowym prowadziłoby to jednak do przekreślenia naszej niepodległości.

Na co więc mogliśmy liczyć, podejmując tak szeroko zakreśloną akcję międzynarodową? Otóż nie na własną, dostatecznie dużą potęgę państwową i nie na możnych a niezawodnych sojuszników. Własne siły militarne poczynaliśmy wówczas dopiero wzmacniać i z trudem doprowadzać do wymaganego poziomu jakościowego, osiągniętego nieco wcześniej przez główne państwa europejskie; w żadnym przypadku zaś nie mogliśmy wyrównać wojskowego potencjału ilościowego z naszymi prawdopodobnymi przeciwnikami. Do tej gry nie mieliśmy też możnych sprzymierzeńców. Nie tylko przywódcy Związku Radzieckiego i Małej Ententy spoglądali wrogo na aktualne tendencje polityczne Polski, ale również i odpowiedzialni politycy demokracji zachodnich odnosili się do nich z wyraźną niechęcią, spotęgowaną po rewindykacji Zaolzia. Toteż rezultat naszej inicjatywy podjętej pod koniec 1938 r. nie mógł być dla nas pomyślny.

Czechosłowacka Ruś Przykarpacka była praktycznie jedynym okręgiem, który mógł być zajęty siłą przez wojska węgierskie, by następnie doprowadzić do utworzenia upragnionej wspólnej granicy węgiersko-polskiej. Ale Węgrzy obawiali się reakcji Małej Ententy, w szczególności Rumunii, a także nie chcieli narażać się na niezadowolenie Niemiec. Sprawa skomplikowała się, gdy rząd praski 8 października 1938 r. nadał Rusi Przykarpackiej szeroką

autonomię. Już następnego dnia powstał na tej podstawie w Użhorodzie rząd „Ukrainy Zakarpackiej" pod przewodnictwem mgr. Wołoszyna.

Fakt ten zelektryzował ludność ukraińską w Galicji Wschodniej, a liczne zastępy „Strzelców Siczowych" przedostały się z Polski na teren Ukrainy Zakarpackiej, uważanej wówczas za rodzaj Piemontu przyszłej, zjednoczonej i niepodległej Ukrainy. Rząd Wołoszyna – jako antypolski i antysowiecki – cieszył się wyraźnie protekcją Niemiec. W tych warunkach Węgrzy obawiali się wkroczyć na drogę faktów dokonanych.

Wówczas minister Beck postanowił przyspieszyć bieg pożądanych wypadków i rozstrzygnięć. Przede wszystkim pragnął on zjednać sprzymierzoną Rumunię dla idei uzyskania przez Polskę wspólnej granicy z Węgrami, rozbrajając jej negatywny stosunek do częściowej choćby – a tak niebezpiecznej perspektywicznie dla Rumunii – rewindykacji węgierskich granic historycznych. Beck sądził, że ten cel osiągnie proponując Rumunii – w porozumieniu z Węgrami – nieznaczny zresztą udział w parcelacji terytorium Rusi Przykarpackiej. Gdy rząd rumuński, związany paktem sojuszniczym w ramach Małej Ententy, odniósł się negatywnie do tej myśli, Beck postanowił przedłożyć osobiście swoje sugestie królowi Karolowi II, licząc na zasadniczą przynajmniej ich aprobatę.

Istotnie dnia 19 października 1938 r. doszła do skutku wizyta ministra Becka w towarzystwie ambasadora Rogera Raczyńskiego u króla Rumunii w Galacu, na jachcie królewskim. W naradzie wziął udział ponadto rumuński minister spraw zagranicznych Petresco Comnène, ten sam – jeśli mnie pamięć nie myli – który w 1944 r. dokonał ważnego i historycznego dzieła, doprowadzając do zerwania stosunków sojuszniczych Rumunii z Niemcami i nawiązania wojskowej i politycznej współpracy z blokiem antyhitlerowskim. Beck, zgodnie z własną późniejszą relacją, przedstawił przebieg tej narady następująco: celem jego wizyty jest chęć porozumienia się co do losów Rusi Przykarpackiej na wypadek całkowitego rozkładu państwa

czechosłowackiego. Logika – mówił minister Beck – wymaga, aby los tej prowincji był rozstrzygnięty przez porozumienie się Rumunii, Polski i Węgier. Rząd węgierski prosił ministra Becka o podjęcie inicjatywy w tej sprawie, więc on przedkłada królowi zasady swojej koncepcji terytorialnego podziału Rusi pomiędzy Węgry i Rumunię; oczywiście, iż Polska sama nie zgłasza tu żadnych pretensji terytorialnych.

Trzeba jednak zrozumieć, że rząd rumuński, który był złączony silniejszymi więzami interesów z Czechosłowacją niż z Polską, mógł się poczuć dotknięty forsowaniem sugestii Becka. Czechosłowacja jako żywy twór państwowy wciąż jeszcze istniała. Toteż minister Comnène, „*un parfait imbécile*" – jak pisze Beck [14] – wylał na niego istny potop słów „pozbawionych wszelkiego sensu, z których on nic nie rozumiał". Negatywne nastawienie Rumunii do zamiarów Becka potwierdził w sposób wyraźny i spokojny król Karol II. Swoją relację z tej konferencji uzupełnia minister Beck informacją, że ów „*imbécile*" postarał się o rozgłoszenie w całej Europie przebiegu tej poufnej narady z dodatkiem własnych, wysoce krytycznych komentarzy. Nieco później wydał on jeszcze jak najsurowszą opinię o charakterze polskiego ministra, dorzucając złośliwą uwagę, że dyplomacją nie można komenderować jak szwadronem ułanów. Na tym prestiżowo przykrym incydencie sprawa granicy węgiersko-polskiej nie została jednak wyczerpana i zamknięta.

Pod koniec października 1938 r. Węgrzy wyrazili zgodę na arbitraż państw „osi Berlin–Rzym" w sprawie ustalenia ich nowej granicy ze Słowacją i rozstrzygnięcia kompleksu zagadnień związanych z Rusią Przykarpacką. Wówczas minister Beck zaproponował udział Polski w tym sądzie rozjemczym. Prawie odwrotnie, bo 30 października, rząd niemiecki polecił zawiadomić Becka, że uważa udział Polski w sądzie arbitrażowym za zbędny. Już 2 listopada sąd ten wydał orzeczenie, w którym poza drobnymi

[14] J. Beck, *op. cit.*, s. 173.

poprawkami granicy słowacko-węgierskiej potwierdził samodzielność Rusi Przykarpackiej w związku federacyjnym z Czechosłowacją. Dopiero w połowie marca 1939 r., gdy Hitler łamiąc własne, świeże i uroczyste zapewnienia i ryzykując wielki konflikt międzynarodowy zajmuje zbrojnie Czechy i Morawy oraz rozciąga opiekę wojskową na Słowację, wojska węgierskie – wykorzystując moment – przystępują do akcji i okupują Ruś Przykarpacką.

Jednakże w ciągu ostatnich kilku miesięcy cała sytuacja polityczna w centralnej Europie uległa radykalnej zmianie. Wobec zbrojnej a bezkarnej agresji hitlerowskiej, jawnego i systematycznego gwałcenia prawa samostanowienia narodów, wobec zupełnego okrążenia militarnego Polski i preparowania jej do czwartego rozbioru, takie sprawy jak wspólna i przyjazna, ale peryferyjna granica węgiersko-polska straciła swoje niedawne znaczenie polityczne, strategiczne i gospodarcze.

Za wytworzony ogólny stan rzeczy w latach 1938–39 nie można oczywiście obarczać odpowiedzialnością, nawet z węższego, polskiego punktu widzenia, ministra Becka. Nie miał on i nie mógł mieć jakiegokolwiek wpływu na agresywne instynkty Niemiec hitlerowskich. Do równowagi politycznej nie mogła ich przywołać ani Anglia czy Francja, ani ostrzegawczy głos prezydenta Stanów Zjednoczonych. Józef Beck nie był zwolennikiem metod monachijskich, nie był stronnikiem tendencji ograniczania odpowiedzialności głównych mocarstw świata do słownych, bezwartościowych protestów i nie popartych siłą deklaracji. Atmosfera polityczna była przesycona bezprawiem i wiarołomstwem, a najuroczystsze dobrowolne zobowiązania praktycznie nie miały żadnej wartości. Ale gdy wielu mężów stanu traciło już wiarę w zachowanie pokoju, Beck odtrącał napór tego fatalizmu, wierzył jeszcze i walczył o pokojowe metody rozstrzygania konfliktów międzynarodowych. Może najlapidarniej, ale całkowicie słusznie ocenił ten zasadniczy rozdział polityki Becka socjalista i przeciwnik rządów sanacyjnych, Adam Ciołkosz, mówiąc:

pragnął on istotnie ocalić pokój i prowadził pokojową politykę. Zasadniczym błędem jego działalności było to, że wierzył, iż regulując stosunki z Niemcami, ubezpiecza pokój na trwałe [15].

Również wybitny rumuński minister spraw zagranicznych, następca Comnène'a, Gafencu, który odbył z ministrem polskim kilka poufnych rozmów, odpierając lansowane za granicą zarzuty, stwierdził w swoich pamiętnikach, że „patriotyzm Becka nie był skalany germanofilstwem". Pragnął on z najlepszą wolą i wiarą wzmocnić prestiż państwa polskiego, wykorzenić metody dyskryminacyjne narzucone Polsce w chwilach jej odradzania się, a więc i słabości, zmusić do szanowania jej dobrze nabytych praw historycznych i rzeczowych, zapomnianych w ciągu prawie półtora wieku niewoli i podziałów, oraz zachować spokój i równowagę pomiędy dwoma trudnymi a potężnymi sąsiadami.

Trzeba wreszcie – w imię obiektywizmu – powiedzieć, że krytyka działalności Becka jest łatwa, gdyż jak każda aktywna indywidualność popełniał on wiele pomyłek i błędów. Ale znalezienie innej, zasadniczo odmiennej alternatywy polityki polskiej jest – nawet dziś, po rozegraniu wielkiego dramatu wojennego – niezmiernie trudne. Dwie takie różne koncepcje kryły się wówczas w zakamarkach politycznych Polski. Jedna z nich głosiła chęć pełnej kapitulacji wobec Sowietów, celem rzekomej obrony Polski przed spodziewaną agresją hitlerowską; druga sugerowała zbratanie się z Hitlerem przeciwko zachłannej ekspansji komunizmu stalinowskiego. Obie te deprawacje polityczne Beck odrzucał zdecydowanie i kategorycznie. Wybrał drogę kamienistą, trudną, pełną jawnych i ukrytych niebezpieczeństw, ale prostą i polską.

---

[15] A. Ciołkosz, *Polityka Becka*, „Na Antenie", 22–29 XII 1963.

Władysław Sikorski

Jakiś tragiczny fatalizm zaciążył na życiu, działalności publicznej i wreszcie na śmierci Władysława Sikorskiego. Jego wielostronne uzdolnienia i wybitny zmysł organizacyjny, jego wrodzona inteligencja, jego talent logicznego formułowania myśli i przemawiania, jego instynkt wodzowski i militarny, jego reprezentacyjna postawa oraz łatwość przystosowania się do zmieniających się warunków i okoliczności, a przede wszystkim jego wielka ambicja i niezłomna wiara we własne siły predystynowały go do odegrania zupełnie pierwszoplanowej roli w przełomowym okresie odzyskiwania niepodległości i budowania pierwszych zrębów nowoczesnego państwa polskiego. Niestety, te wszystkie niewątpliwe zalety i nieprzeciętne wartości tkwiące w osobowości Władysława Sikorskiego były dość często usuwane w cień albo nawet niwelowane całkowicie przez gwałtowne wybuchy małostkowych, drugorzędnych a przejawiających się sporadycznie cech jego charakteru i sił umysłowych. W rzeczywistości krzewiły się w nim najbardziej sprzeczne i przeciwstawne właściwości duchowe, z których jedne reagowały szybko i prawidłowo na sprawy wielkie i doniosłe, gdy inne były uczulone i wrażliwe na podniety zaprawione ślepą nienawiścią, uporem i jadem zemsty, a więc na podniety niegodne wielkiego męża stanu i jednostki o formacie historycznym.

Powodowało to ujemną – może nie zawsze sprawiedliwą – ocenę wartości reprezentowanych przez Sikorskiego, a w każdym razie paraliżowało możliwość pełnego wyzyskania jego sił twórczych dla dobra państwa i otwarcia właściwego pola dla jego wielkich i niezaspokojonych ambicji. Liczne i niezbite fakty prowadzą do wniosku,

że nie Piłsudski i nie ludzie pierwszej brygady Legionów, nie ustrój, nie sejm, nie „sanacja" odsuwały przemocą Sikorskiego od aktywnej pracy na polu politycznym i wojskowym Polski międzywojennej, ale on sam na czele małej grupy swoich złych doradców i suflerów zwalczał i pomniejszał skutecznie innego Władysława Sikorskiego, wybitnego i zasłużonego męża stanu. Gdy zaś pod koniec 1939 r. niezwykłe okoliczności oddały mu niepodzielnie rząd dusz i umysłów polskich, i to zarówno w ujarzmionym kraju, jak i na emigracji, na miarę prawie niespotykaną w naszych dziejach, niektóre z ujemnych cech jego charakteru spotęgowały się wyraźnie i widocznie, z uszczerbkiem dla narodu polskiego i jego wielkiej „sprawy". Kiedy zaś wydawało się, że nauczony oczywistymi faktami zrozumiał wreszcie swój zasadniczy błąd polityczny i steruje ku jego naprawie, tragiczna i niespodziewana śmierć w nie wyjaśnionej całkowicie katastrofie lotniczej w nocy z 4 na 5 lipca 1943 r. przecięła złowieszczo i te możliwości.

W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej dotychczasowy start życiowy zapewniał 33-letniemu Władysławowi Sikorskiemu odegranie czynnej i poważnej roli politycznej i wojskowej. Szkołę myślenia politycznego rozpoczynał w latach tysiąc dziewięćsetnych w ramach „Zetu". Szybko jednak opuścił tę organizację, przechodzącą pogłębiający się pod koniec pierwszego dziesięciolecia nowego wieku kryzys ideologiczny. Związał się wówczas silnie z postępowym ruchem niepodległościowym i z działaczem tej miary, co Józef Piłsudski. Kolejno pełnił też szereg funkcji społecznych w organizacjach młodego pokolenia: był współzałożycielem tajnego Związku Walki Czynnej, pierwszym prezesem jawnie działającego Związku Strzeleckiego we Lwowie, a później członkiem Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i często reprezentował te organizacje na zewnątrz [1].

[1] H. Bagiński, *U podstaw organizacji wojska polskiego*, Warszawa 1935, s. 98 i 377; W. Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość*, wyd. 2, Warszawa 1935, s. 20.

W momencie wybuchu wojny, w połowie sierpnia 1914 r., powołany został do życia Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie; Władysław Sikorski stał się jego członkiem, a niebawem powierzono mu wysokie stanowisko szefa Departamentu Wojskowego NKN. Ta centralna organizacja polityczna społeczeństwa polskiego w zaborze austriackim, stanęła zdecydowanie na stanowisku absolutnej lojalności wobec monarchii habsburskiej, identyfikowała polską rację stanu z austriacką i trwała niezłomnie przy austro-polskiej koncepcji nawet wówczas, gdy władze monarchii – szczególnie wojskowe – odnosiły się z wyraźną niechęcią do programu choćby połowicznej niepodległości Polski pod berłem Habsburgów, a z nie ukrywaną nieufnością do tworzącego się w formie Legionów zawiązku wojska polskiego.

Piłsudski przeciwstawił się tej ugodowej polityce, dążąc do uzyskania dla Legionów Polskich możliwie najwyższego stopnia niezależności w znaczeniu wojskowym i politycznym. Natomiast Departament Wojskowy NKN zamiast poprzeć wszystkimi siłami i wpływami tendencje i dalekowzroczne postulaty Piłsudskiego, rozpętał istną burzę w zdezorientowanym społeczeństwie polskim i – co gorzej – w polskich formacjach wojskowych. W obliczu jednej, wielkiej i zasadniczej sprawy wyzwolenia Polski, pod wpływem furii propagandowej Departamentu, społeczeństwo polskie, i tak nadmiernie zróżnicowane politycznie, ulegało dalszemu rozbiciu na grupy i koterie. Wytworzona w ten sposób dookoła „kwestii polskiej" mętna woda była oczywiście wyzyskiwana przez władze austriackie. Chwilami odnosiło się nawet wrażenie, że dla Departamentu Wojskowego na plan drugi schodziła sprawa organizacji, zaopatrzenia i taktycznej unifikacji trzech rozdzielonych brygad legionowych, na pierwszy zaś wysuwała się sprawa zwalczania z całą żywiołową namiętnością poglądów i rosnącego autorytetu Józefa Piłsudskiego.

Fakt ten napiętnował ostro na posiedzeniu NKN w Krakowie, 31 sierpnia 1917 r., poseł Ignacy Daszyński, zarzucając Sikorskiemu stosowanie nieuczciwych metod, nie-

zgodnych z interesami narodu[2]. Ale akcja propagandowa Departamentu Wojskowego i Władysława Sikorskiego przeciwko Józefowi Piłsudskiemu, przeciwko wystąpieniom najbardziej zasłużonych wyższych dowódców legionowych domagających się tworzenia nie polskiego korpusu posiłkowego przy armiach mocarstw centralnych, ale zrębów prawdziwie polskiego wojska, a wreszcie przeciwko głosom uzasadniającym, że w sprawie polskiej czas na obietnice przeminął[3], trwała z wzrastającym natężeniem nadal, podsycana takimi mglistymi mirażami, jak słynna proklamacja dwóch cesarzy połączona z pismem Franciszka Józefa z 5 listopada 1916 r. o wyodrębnieniu Galicji.

Dopiero traktat brzeski odrywający od Polski ziemię chełmską i część Podlasia, tzw. „pokój chlebowy" zawarty przez państwa centralne z fikcyjną Radą Ukraińską w początkach lutego 1918 r., powodujący demonstracyjną dymisję rządu Kucharzewskiego i dymisję generalnego gubernatora lubelskiego, gen. Stanisława Szeptyckiego, a przede wszystkim odważne i wymowne przedarcie się 15 lutego 1918 r. części drugiej brygady legionowej pod dowództwem płk. Józefa Hallera na Ukrainę przez austrorosyjski front pod Rarańczą, otworzyło oczy Sikorskiemu na rzeczywistość polityczną. Dopiero wtedy wycofał się ze swej namiętnej akcji propagandowo-politycznej na rzecz Austrii, a nawet podjął próby zorganizowania oporu w okręgu chełmskim i na Podlasiu na wypadek wkroczenia tam władz ukraińskich. Do tego jednak nie doszło. Gdy zaś w listopadzie 1918 r. – po usunięciu okupacji austriackiej i po rozbrojeniu wojsk niemieckich przez POW – całkowita władza skupiła się w ręku Józefa Piłsudskiego, mowy nie było o jakichkolwiek porachunkach politycznych z okresu niedawnej przeszłości. Sikorski roztropnie sam przesunął swoją ambicję i swoją działalność na teren wojskowy i tu zabłysnął talentem, oddając Polsce prawdziwie wielkie przysługi.

---

[2] Komunikat NKN nr 48 z 14 IX 1917.

[3] K.W. Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej*, Warszawa 1924, s. 35–45.

W połowie 1919 r. objął on – po generale Listowskim – dowództwo nad 9 dywizją, sformowaną w okręgu siedleckim głównie przy współpracy POW, a wykazującą dość poważne braki w zakresie organizacji i uzbrojenia. Sikorski uczynił z niej wzorową część armii, która pod jego dowództwem na początku 1920 r. wsławiła się zajęciem ważnych punktów strategicznych i węzłów komunikacyjnych na wschodzie, jak Brześć, Możysz czy Koleńkowice. Sukcesy te pomnożyła niebawem wojna polsko-bolszewicka, w czasie której Sikorski dowodził zwycięsko piątą armią, działającą nad Wisłą i Wkrą.

O tym okresie jego działalności wydaje miarodajny sąd tak wytrawny i obiektywny obserwator jak generał Weygand[4]: „W toku tych działań generał Sikorski dał dowody w tej samej mierze spokoju i stanowczości, co zręczności manewrowej". Generał Weygand konkluduje: Sikorski rozbił półtora razy liczniejsze wojska bolszewickie, trzykrotnie lepiej wyposażone w artylerię i karabiny maszynowe. Bitwy toczone przez armię gen. Sikorskiego zapisały w dziejach ojczystych wiele wspaniałych zwycięstw nad Wkrą, pod Nasielskiem, Płońskiem i Pułtuskiem, ścigając następnie uciekającego bezładnie nieprzyjaciela.

W związku z tymi osiągnięciami Sikorski uzyskał w 1921 r. – a więc w okresie pełnienia przez Piłsudskiego naczelnej funkcji w państwie – jedno z najważniejszych stanowisk wojskowych, mianowicie stanowisko szefa sztabu generalnego armii polskiej. W 1922 r. Sikorski w porozumieniu z innymi wyższymi dowódcami, a w tym i z piłsudczykami, próbuje tworzyć wewnątrz wojska tajną organizację pod nazwą „Honor i Ojczyzna" o strukturze na poły masońskiej, której sam zostaje szefem, czyli wielkim „strażnikiem"[5]. Organizacja ta jednak – jako złożona z heterogenicznych elementów ludzkich – nie ma większego powodzenia i w połowie 1923 r. ulega likwidacji.

---

[4] Jen. Weygand, *Bitwa o Warszawę*, Warszawa 1930, s. 26.

[5] Por. M. Kukiel, *W 20-tą rocznicę zgonu gen. Wł. Sikorskiego*, „Tydzień Polski" z 13 VII 1963.

Wypadki wewnętrzne rozgrywające się pod koniec 1922 r. powodują, że Sikorski zmienia ponownie swoje nastawienie i ogólną orientację. Wówczas to Piłsudski ustępuje ze stanowiska naczelnika państwa, wprowadzona w życie konstytucja otwiera szeroko drzwi do wolnej gry sił zakulisowych, a pierwszy, legalnie obrany prezydent państwa Gabriel Narutowicz – na tle rozpętanej histerii politycznej – zostaje zdradziecko zamordowany. Wówczas to marszałek Sejmu Maciej Rataj, konstytucyjny zastępca prezydenta, powierza Władysławowi Sikorskiemu misję stworzenia bezpartyjnego gabinetu „silnej ręki". Sikorski tworzy szybko nowy rząd, w którym obejmuje – obok premierostwa – tekę ministra spraw wewnętrznych, pacyfikując wzburzone fale opinii publicznej w Polsce. Równocześnie ocenia błędnie, że przodująca rola Piłsudskiego wyczerpała się ostatecznie. W tej myśli Sikorski – świadomy swoich osiągnięć i zasług na polu walki i sprawnego opanowania niebezpiecznej sytuacji wewnętrznej na przełomie lat 1922/23 – powraca do dawnych tradycji Departamentu Wojskowego NKN i do gry polityczno-wojskowej, mającej zaspokoić jego wygórowaną ambicję.

Wprawdzie po pięciu zaledwie miesiącach gabinet jego, głównie na tle fatalnej sytuacji gospodarczej i walutowej w kraju, upada i zostaje zastąpiony kolejno przez rządy parlamentarne Wincentego Witosa i Władysława Grabskiego, to jednak Sikorski aż po koniec 1925 r. odgrywa nadal jako polityk i jako minister spraw wojskowych poważną rolę w państwie. Że zaś Piłsudski w tym czasie (1924 r.) koncentrował swoją uwagę w wiecznie – jak mówił – zagrożonym kraju na zagadnieniu organizacji naczelnych władz wojskowych i na sprawie szczelnego odizolowania wojska od wszelkich rozgrywek partyjno-politycznych praktykowanych przez ówczesne sejmy polskie, przeto Sikorski na tym właśnie odcinku począł gromadzić siły, którymi jako minister spraw wojskowych w rządzie Grabskiego mógł dysponować, do przeciwstawienia się Piłsudskiemu i jego koncepcjom. Ponieważ zaś jako główny wzorzec Sikorski przyjmował stosunki

panujące w tym zakresie w b. monarchii austriackiej, dlatego uzyskał poparcie licznych w ówczesnej armii polskiej wyższych oficerów pochodzących ze szkoły austriackiej. Ta walka, przybierająca chwilami ostre formy, trwała formalnie aż do końca listopada 1925 r., tj. aż do czasu, gdy Sikorski, mianowany dowódcą okręgu wojskowego we Lwowie, odsunięty został politycznie na tor boczny. W rzeczywistości spór o strukturę naczelnych władz wojskowych przeciągnął się aż do przewrotu majowego 1926 r.

W początkach września tego roku, gdy byłem na otwarciu Targów Wschodnich we Lwowie, Sikorski przeprowadził ze mną jako byłym podkomendnym rozmowę, w której wyrażając głęboki szacunek dla marszałka Piłsudskiego i dla prezydenta Mościckiego prosił mnie o współdziałanie w wyrównaniu jego stosunku do nowego reżimu w Polsce. Ponieważ Piłsudski wyraził wobec mnie swoje życzenie, abym dopomógł życiowo jednemu z jego notorycznych i nieprzejednanych przeciwników politycznych, zawodowemu ekonomiście, oczywiście w ten sposób, aby on nie wiedział, kto go zaprotegował, wydawało się, że zadanie co do gen. Sikorskiego mam uproszczone. Przy okazji spotkania Marszałka na Zamku, złożyłem mu sprawozdanie z tego, co mogłem uczynić dla protegowanego oponenta, za co mi podziękował. Wówczas przeszedłem do sprawy Władysława Sikorskiego, sugerując wysłanie go na ważną placówkę dyplomatyczną. Ale Piłsudski przerwał mi, ostro stwierdzając, że Sikorski jest nielojalny i zmienia swoje poglądy bardzo łatwo, szczególnie wobec możnych tego świata, a ponadto ciągnie za sobą mafię złośliwych intrygantów, która potrafi zapaskudzić każdą dobrą sprawę i każde wielkie zagadnienie. Po czym śmiejąc się dodał: „Nie wytrzymuje to żadnego porównania ze sprawą mojego protegowanego; nie zmieniał nigdy swoich przekonań i był przeciwnikiem Piłsudskiego od r. 1905... a ponadto pochodzi z Wileńszczyzny". Nie chcąc pogłębiać istniejących zadrażnień nie poinformowałem Sikorskiego o ujemnym wyniku mojej interwencji.

W takich warunkach wzrastało stopniowo rozdrażnienie Sikorskiego. W marcu 1928 r. został zwolniony ze stanowiska dowódcy okręgu lwowskiego. Pozostając „do dyspozycji" w stanie nieczynnym, wyjeżdżał często za granicę oraz zajmował się z powodzeniem publicystyką wojskową i polityczną. Wewnętrznie przetwarzał coraz intensywniej duży, wrodzony aktywizm i niezaspokojoną ambicję na jad goryczy i żywiołowej nienawiści do swoich przeciwników. Wyczekiwał niecierpliwie na sposobną chwilę odwetu, wierząc, że jako znacznie młodszy „przetrzyma" Piłsudskiego. Pod wpływem tych uczuć i tej nadziei, często za podszeptem swojego otoczenia, ulegał wprost niewiarygodnym złudzeniom. Wincenty Witos, świadek w tej sprawie zupełnie wiarygodny, zapisuje w swoich *Wspomnieniach* pod datą 1 stycznia 1936 r., a więc po śmierci Marszałka, że Sikorski przebywając wówczas chwilowo w Pradze Czeskiej, szukał porozumienia z emigrantami brzeskimi.

Generał zapewniał – jak pisze Witos – „o przygotowaniach, jakie poczynił, szczególnie w kołach wojskowych w Polsce. Spodziewa się, że przewrotu będzie można dokonać na wiosnę. Może się to stać drogą masowego nacisku albo gwałtem. Trzeba być gotowym na jedno i drugie". W późniejszych zapiskach konkluduje Witos: „Sikorski więcej patrzy na wywindowanie własnej osoby, niż na załatwienie wielkich spraw. Ma swoją konspirację, która działa" [6]. W tym czasie gotów był związać się z każdym przeciwnikiem rządu, poważnym czy niepoważnym, a w niektórych przypadkach ulegał całkowitemu zamroczeniu politycznemu. W 1937 r. przystąpił do nowo powstałego Stronnictwa Pracy, później przylgnął do tak zwanego Frontu Morges, gorączkowo nawiązywał kontakty polityczne z socjalistami i ludowcami, którzy nie zawsze darzyli go pełnym zaufaniem. Doszedł wreszcie do tego, że na wiosnę 1938 r. – on, generał wojska polskiego – poinformował Slawika, posła czechosłowackiego w Warszawie [7],

[6] Zapisane we *Wspomnieniach* pod datą 26 XII 1936.

[7] Ten ustęp z pamiętników Slawika cytuje S. Stanisławska, *Wielka i mała polityka J. Becka*, Warszawa 1962, s. 95.

o dokonywanej koncentracji wojsk polskich na pograniczu czeskim. Do tego, na podstawie dokładnego zbadania sytuacji w terenie przez poselstwo czesko-słowackie, informacja Sikorskiego okazała się niezgodna z prawdą.

W tej atmosferze jawnej i nieprzejednanej wrogości generała oraz wzajemnej nieufności, trudno było myśleć o powierzeniu Sikorskiemu dowództwa nad jedną z głównych armii walczących bohatersko od 1 września 1939 r. w najtrudniejszych warunkach z olbrzymią przewagą militarną agresora. Generał zaś, nie związany obowiązkami służby czynnej, przesycony zmysłem krytycyzmu w stosunku do wszystkiego, co nie zyskało jego aprobaty, uważał ten fragment wojny za przegrany z kretesem przez ówczesny rząd polski i całą swoją ufność lokował w przemożnej potędze politycznej, gospodarczej i militarnej zachodnich aliantów, a przede wszystkim – opancerzonej linią Maginota – Francji. Przypuszczał też słusznie, że on, owiany nimbem zwycięstw w 1920 r., w aktualnej wojnie „niezgrany" jeszcze generał i czołowy opozycjonista, musi skoncentrować na sobie – z samej natury rzeczy – wszystkie nadzieje i oczekiwania społeczeństwa polskiego, tak głęboko zawiedzionego, oszołomionego i złamanego dotychczasowym przebiegiem wojny z hitlerowskim i sowieckim najazdem.

Było pewne, że historyczna godzina jego działania wybiła. Toteż usiłował na wszelki sposób podkreślić ostry kontrast pomiędzy serią klęsk militarnych i politycznych zawinionych jakoby przez spadkobierców Piłsudskiego a jego spodziewanymi osiągnięciami politycznymi i zwycięstwami uzyskanymi w ścisłej łączności i współpracy z niezłomnie demokratyczną Francją. Dlatego bił teraz z najwyższą żarliwością w piersi – oczywiście nie swoje – szafując najcięższymi i najbardziej powierzchownymi oskarżeniami i zarzutami pod adresem „winowajców klęski wrześniowej".

Ten pogląd o nieudolności swoich przeciwników wszczepił w umysły swoich i obcych – z takim przekonaniem, że wreszcie zjednał większość opinii Zachodu dla tezy o braku

analogii w całej historii i niepowtarzalności zarówno samej klęski, jak i chaotycznego przeprowadzenia ewakuacji przez Polskę w 1939 r. Nawet w uroczystym rozkazie noworocznym do wojsk polskich zapewniał, że „przykłady stworzone w 1939 r. na Wschodzie, nie mogą już znaleźć żadnego zastosowania na froncie zachodnim". Nie miał tej niewielkiej dozy obiektywizmu, którą m.in. posiadał obcy, brytyjski autor, w swoim syntetycznym i krótkim opracowaniu dziejów drugiej wojny światowej stwierdzający:

[w 1939–40 r.] klęska Polski została błędnie skomentowana a jej ofiara niesprawiedliwie oceniona. A kampania ta powinna była nauczyć, że po pierwsze nawet najdzielniejsze wojska bez odpowiedniego wyposażenia w broń pancerną i lotnictwo są bezsilne wobec zaopatrzonego obficie w nowoczesną broń agresora, oraz po wtóre, że inicjatywa i zaskoczenie lotnicze agresora musi wpłynąć bardzo poważnie na dalszy przebieg kampanii [8].

Niestety – pisze Ensor – niczego nie nauczono się na Zachodzie z przebiegu kampanii w Polsce. „Pierwszy fakt powtórzył się dokładnie na polach Francji w 1940 r., drugi zdarzył się Amerykanom w 1941 r. w Pearl Harbour".

Tak na przełomie września i października 1939 r. rozpoczynał się bolesny start polskiej epopei emigracyjnej od ciskania wszelkiego rodzaju inwektyw i uzasadnionych lub bezpodstawowych oskarżeń pod adresem nie tylko ostatniego, obalonego już rządu – co byłoby jeszcze psychologicznie zrozumiałe – ale i na tych wszystkich, którzy byli choćby pośrednio i formalnie związani z przedwojenną administracją i służbą wojskową. W ten sposób usunięto od współdziałania w rekonstrukcji armii polskiej na emigracji wielu wybitnych i zasłużonych oficerów. Tymczasem z każdym miesiącem, a nieco później z każdym dniem, wyłaniały się przed emigracyjnymi władzami polskimi liczne i wielkie zagadnienia i obowiązki przerastające siły i wiedzę najzdolniejszej nawet jednostki.

Na plan pierwszy wysuwały się sprawy związane z rozbudową, wyposażeniem i koncentracją sił wojskowych,

[8] R.C.K. Ensor, *A miniature History of the War*, Ed. 3rd. Oxford U. P., London 1945, s. 20–21.

dysponujących na emigracji pokaźną liczbą przedwojennych, dobrze wyszkolonych lotników i zaprawionych w boju żołnierzy. Drugim ważkim i długofalowym zadaniem była konieczność stworzenia ścisłego kontaktu naszych emigracyjnych władz z krajem, w którym tkwiły przecież duże wartości bojowe, nie zniszczone w krótkiej choć gwałtownej wojnie. Wymagało ono właściwej, bardzo trudnej i złożonej a zakonspirowanej organizacji, przetarcia i ustalenia dróg sprawnego zaopatrywania kraju w sprzęt bojowy, a przede wszystkim jednolitego kierownictwa zarówno militarnego, jak i politycznego.

Sprawy zagraniczne komplikowały się nieustannie i wymagały wysoce fachowego i wytrawnego kierownictwa. W rządzie francuskim niemałymi wpływami dysponowały elementy nieprzychylne Polsce i doktrynalnie pacyfistyczne. Identyczne prądy przejawiały się coraz wyraźniej i w Belgii. Niektóre inne państwa – nie chcąc narażać się Hitlerowi czy Stalinowi – wahały się co do formalnego uznania polskiego rządu emigracyjnego. Narzucała się również konieczność jak najwcześniejszego umocnienia i rozszerzenia współpracy brytyjsko-polskiej, i to zarówno w zakresie ogólnopolitycznym, wynikającym z formalnie zawartych umów, jak też i w takich sprawach specjalnych, jak dysponowanie polską flotą wojenną i handlową, które przełamując wiele trudności i niebezpiecznych sytuacji znalazły się w portach angielskich, albo jak planowe wyposażenie lotników polskich w odpowiedni sprzęt bojowy. Podobnie sprawy walutowe i finansowe – przygotowane wstępnie na terenie Francji i Wielkiej Brytanii przez poprzedni rząd polski – wymagały nieustannej czujności i ingerencji władz emigracyjnych. W końcu można tu zaznaczyć, że liczne rzesze uchodźców z Polski, rozlokowane głównie w Rumunii, na Węgrzech, na Bliskim Wschodzie i na Litwie, wymagały pewnej opieki społecznej i troskliwości ze strony urzędowych czynników polskich. Bezprawie zaś dokonywane przez obu zaborców na ziemiach polskich domagało się głośnego i przekonywającego protestu ze strony polskiej. A są to tylko sprawy zasadnicze i najważniejsze.

Tym palącym i nie cierpiącym zwłoki zagadnieniom poświęcano jednakże tylko część twórczej energii ze strony nowych władz państwowych: resztę absorbowały nieaktualne już, przedwojenne porachunki polityczne. O pierwszej masowej emigracji polskiej na Zachód, po powstaniu listopadowym, pisał z goryczą Maurycy Mochnacki w liście do rodziców, wysłanym z Paryża 2 IX 1834 r.: „jest to wojna domowa najokropniejsza, o jakiej tylko pomyśleć można". W latach drugiej wojny światowej ta emigracyjna „wojna domowa" przybrała znacznie gorsze i bezwzględniejsze formy[9]. W zatrutej atmosferze toczyły się zażarte boje pigmejów na każdym kroku i o każdą nawet podrzędniejszą pozycję urzędową.

Generał Sikorski, który z takim zapałem i wiarą demonstrował w okresie przedwojennym swoje przywiązanie do zasad demokratycznych, teraz pragnął dzierżyć niepodzielnie całą władzę cywilną i wojskową w swoim ręku; uzyskał ją istotnie w znaczeniu faktycznym i formalnym. Mimo to jednak z jawną niechęcią i tylko z konieczności rzeczy tolerował zrównoważonego i obiektywnego prezydenta Władysława Raczkiewicza oraz nielicznych fachowych współpracowników w aparacie państwowym. Edward Raczyński stwierdza wręcz, że „Sikorski warunkował swoją współpracę z prezydentem Raczkiewiczem od przejścia do jego obozu"[10]. Sikorskiego, starego konspiratora, ścigało nieustannie widmo utajonej chwilowo opozycji, która spiskuje, aby wydrzeć mu choćby część posiadanej władzy; dlatego też z taką konsekwencją likwidował przejawy wszelkiej samodzielności myślowej, wszelkiej – nawet bardzo uzasadnionej – krytyki, a równocześnie potrzebnie czy niepotrzebnie sam wypowiadał apodyktyczne sądy i opinie, często błędne a zwykle dostosowywane do doraźnych potrzeb politycznych, aby tylko utwierdzić się ponownie, że jest nadal najwyższym i miarodajnym autorytetem w sprawach polskich.

---

[9] Por. np. art. L. Mitkiewicza, „Zeszyty Historyczne", z. 3, Paryż 1963; K. Morawski, *Wspólna droga*, Paryż 1962, s. 160; Z. Nagórski, *Wojna w Londynie*, Paryż 1966, s. 54–77.

[10] E. Raczyński, *W sojuszniczym Londynie*, Londyn 1960, s. 70.

Jeżeli polityka jest sztuką przewidywania bliższej i dalszej przyszłości, to z poczuciem pełnego obiektywizmu trzeba stwierdzić, że egzamin polityczny rządu emigracyjnego z pierwszej połowy 1940 r. wypadł katastrofalnie. Sikorski jest wciąż jeszcze przeświadczony o absolutnej przewadze militarnej i politycznej zachodniej Europy, a przede wszystkim samej Francji, którą ocenia na miarę Clémenceau i Focha. Jeszcze dnia 28 maja 1940 r., a więc na kilka dni przed Dunkierką, premier i naczelny wódz Sikorski – wedle protokolarnego sprawozdania z posiedzenia rady gabinetowej – zapewnia członków rządu, że nie ma mowy o jakimkolwiek załamaniu się frontu francuskiego. To samo nastawienie stwierdzają jego bliscy współpracownicy. Szef misji wojskowej w Londynie, pułkownik Leon Mitkiewicz, w artykule opublikowanym w „Zeszytach Historycznych" pt. *Z paryskiej Reginy do londyńskiego Rubensa* pisze, że o tym, co wypadałoby czynić na wypadek klęski i kapitulacji Francji, nigdy nie było mowy w polskim sztabie generalnym, gdyż naczelny wódz „ufał ślepo i bez żadnych zastrzeżeń w wielką potęgę Francji" [11].

Tymczasem klęska Francji – bardziej dotkliwa i zupełna niż klęska Polski we wrześniu rok wcześniej – stała się oczywistą. O tej katastrofie wspomina lapidarnie jeden z najznamienitszych dowódców polskich, gen. Stanisław Maczek: „na próżno oczekiwaliśmy skrzepnięcia oporu francuskiego" [12]. Formacje wojska polskiego rozlokowane były w tym tragicznym momencie nie tylko na liniach frontowych i na zapleczu francuskim, ale również w Syrii i Maroku, a marynarka wojenna w Wielkiej Brytanii. W przełomowych chwilach – relacjonuje dalej płk Mitkiewicz – generał Sikorski, jak wynikało z przeprowadzonej już w Londynie dyskusji, nie znał szczegółów dyslokacyjnych swoich wojsk, a jego sztab nie nawiązał kontaktów z Londynem, który dysponował środkami transportu morskiego dla ewakuacji. W tych dniach nie posiadaliśmy ze sztabem polskim absolutnie żadnej łączno-

[11] „Zeszyty Historyczne" Paryż 1963, z. 3, s. 171.
[12] St. Maczek, *Od podwody do czołga*, Edynburg 1961, s. 109–110.

ści – pisze płk Mitkiewicz [13]. Toteż ewakuacja szczątków wojska polskiego oraz władz cywilnych była obrazem zupełnego zamętu i chaosu [14].

Dopiero na podstawie zabiegów ambasadora Edwarda Raczyńskiego i kilku wyższych wojskowych udało się za pośrednictwem BBC przesłać rozkazy i instrukcje ewakuacyjne do rozproszonych na trzech kontynentach wojsk polskich. W rezultacie utraciliśmy prawie wszystkie jednostki bojowe walczące na polach Francji, a zdołaliśmy uratować z potopu i ewakuować do Wielkiej Brytanii oddziały liczące ok. 17 tys. ludzi, które znajdowały się dopiero w fazie organizacyjnej. Pewną wymowę ma też fakt, że naczelny wódz gen. Sikorski zjawił się w Londynie już 18 czerwca, gdy prezydent Raczkiewicz przybył tam z Francji niebezpieczniejszą drogą morską dopiero w trzy dni później.

Rewidując ponownie swój światopogląd polityczny, Sikorski zdołał nawiązać w tych dniach nowe kontakty i stworzyć nowe punkty oparcia dla swej wiary w „ludzi opatrznościowych". Dnia 20 czerwca zawołał rozpromieniony do wchodzącego płka Mitkiewicza: „dzisiaj zawarłem sojusz na śmierć i życie z Winstonem Churchillem!" Odtąd będzie to jego gwiazda przewodnia, nawet wówczas, gdy wytyczać będzie zdradliwe szlaki polityczne dla przyszłej Polski. Niebawem takich gwiazd znalazło się więcej.

Tymczasem druzgocąca klęska Francji w czerwcu 1940 r., zakończona jej kapitulacją, miała ten – niezamierzony – skutek uboczny, że zdjęła z narodu polskiego bolesne poczucie winy za klęskę wrześniową. Ani Holandia i Belgia, ani Francja nie były zaatakowane równocześnie przez dwie największe potęgi militarne Europy; miały one środki materialne oraz długi i bezcenny czas do przygotowania swojego oporu. Mimo to nie opierały się czynnie i z takim samozaparciem jak Polska. Nie stworzyły też poza własnymi granicami, a również i we własnych krajach, ani w przybliżeniu tak licznych i tak skutecznie walczących

[13] „Zeszyty Historyczne", z. 3, s. 169, 177, 179.

[14] Np. Z. Nagórski, *op.cit.*, s. 49–54; K. Morawski, *op.cit*, s. 140–143 i in.

armii jawnych i podziemnych. Ten fakt podchwyciła i podkreśliła z naciskiem prasa nielicznych państw neutralnych Europy. Tak np. codzienna prasa węgierska, jak „Pesti Hirlap", „Magyarorszag", „Magyar Nemet" i in., przeprowadzając fachową analizę polskiego oporu w tej wojnie w porównaniu z warunkami i siłą oporu armii belgijsko-francusko-angielskiej na Zachodzie, wskazały na oczywistą i pełną rehabilitację oręża polskiego, wbrew rozpowszechnionej pod koniec 1939 r. opinii zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie. Podobne uwagi znalazły się w prasie fachowej i politycznej innych krajów.

Drugą, odwrotną a praktycznie ważną stroną zdumiewającego choć nie ostatecznego zwycięstwa niemieckiego we Francji w 1940 r. było ponowne umocnienie osi Moskwa-Berlin. W oparciu o przesłanki polityczne zacieśniała się nieustannie współpraca gospodarcza i ideologiczna obu mocarstw. Przede wszystkim szło jednak o dostawy paliwa ciekłego, surowców przemysłowych i środków spożywczych do Niemiec. Rosja radziecka, apelując natarczywie choć nieszczerze o zakończenie „imperialistycznej" wojny prowadzonej przez państwa zachodnie, szczyciła się ogromem dostaw towarowych, które walnie podtrzymywały potencjalne siły bojowe Hitlera. Toteż w tym okresie Władysław Sikorski jest nastawiony wrogo do Niemiec i do Sowietów, jak o tym świadczą jego własne wypowiedzi.

Tak więc w rozmowie przeprowadzonej pod koniec 1939 r. z lordem Halifaxem, ministrem spraw zagranicznych W. Brytanii, Sikorski wypowiada przekonanie, że istotnym celem dążeń sowieckich jest bolszewizacja Europy. Podkreśla z naciskiem, że już półtora roku temu pisał o niebezpieczeństwie współdziałania rosyjsko-niemieckiego. „Sądzi też nadal, że kooperacja rosyjsko-niemiecka przedstawia prawdziwe i powszechne zagrożenie, zwłaszcza że oba systemy łączy dużo podobieństw" [15]. Jeszcze na miesiąc przed rozpoczęciem agresji niemieckiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu, Sikorski – dumny z tego, że „zacho-

[15] *Documents on Polish-Soviet Relations*, London 1961, vol. I., dok. 70, s. 91.

dni alianci korzystają coraz częściej z naszych rad i wskazówek" – zapewnia, iż Hitler nie odważy się uwikłać w wojnę ze Stalinem, zwłaszcza gdy „obaj złączeni są wspólną zbrodnią".

W rzeczywistości mogło wydawać się, że czwarty rozbiór Polski i szeroka współpraca gospodarcza obu agresywnych mocarstw usuwa na długo niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego pomiędzy nimi. Takie nadzieje żywił Stalin i dlatego już pod koniec września 1939 r. uważał za celowe ostrzec Hitlera, że jest przeciwnikiem koncepcji utworzenia przez Niemcy w jakiejkolwiek formie „polskiej resztówki państwowej" [16]. Pragnął bowiem odsunąć wszelkie możliwe źródła nieporozumień czy konfliktów aż do końca obecnej – przypuszczalnie długiej i niszczącej – wojny, gdy rozbudowane siły Czerwonej Armii gotowe będą do czynnej interwencji. Trudno zrozumieć w tych warunkach, jak szef rządu polskiego mógł złożyć miarodajnym władzom brytyjskim, wbrew opinii ministra spraw zagranicznych, *aide memoire* z dnia 19 czerwca 1940 r., czyli w chwili klęski francuskiej, w którym sugerował: „de créer avec le consentement des autorités soviétiques une armée polonaise de 300 000 hommes environ à utiliser contre l'Allemagne" [17]. Memoriał ten – zredagowany prawdopodobnie przez przyjaciół politycznych Generała – trzeba było rychło wycofać jako „nieaktualny", ale złowieszczy ślad tego wystąpienia pozostał w aktach brytyjskiego Foreign Office do wykorzystania w odpowiedniej chwili.

Agresja niemiecka podjęta 22 czerwca 1941 r. przeciwko swojemu sojusznikowi i partnerowi politycznemu z 1939 r. stała się momentem przełomowym w drugiej wojnie światowej. Hitler, który w książce *Mein Kampf* potępił w gwałtownej formie rządy cesarskich Niemiec za rozpętanie w 1914 r. wojny dwufrontowej, sam powtórzył ten zasadniczy błąd, zakładając nieostrożnie na podstawie przebiegu

[16] „Zeszyty Historyczne", Paryż 1967, z. XI, s. 16.

[17] [„by za zgodą władz sowieckich stworzyć liczącą 300 tys. armię polską do użycia przeciwko Niemcom"]. *Documents on Polish-Soviet Relations*, London 1961, vol. I dok. 76, s. 95.

wojny z Finlandią, że Związek Radziecki jest tylko „papierowym tygrysem". Ten doniosły fakt morderczej wojny niemiecko-sowieckiej – korzystny w zasadzie dla sprawy polskiej – zdynamizował wrodzoną aktywność Sikorskiego, nie zawsze opartą o głębokie i prawidłowe rozeznanie międzynarodowej rzeczywistości politycznej. Natomiast wojna ta – trawiąca zasoby i siły hitleryzmu – była wprost opatrznościowym zdarzeniem dla Wielkiej Brytanii. W żywotnym interesie Anglii leżało jak najskuteczniejsze podtrzymanie ducha bojowego w Związku Radzieckim i wzmocnienie jego sił obronnych; teraz pragnął Churchill naprawdę związania się „sojuszem na śmierć i życie" ze Stalinem. Jednakże dość znaczną przeszkodą polityczną i moralną dla realizacji tej koncepcji było zachowanie się Rosji w 1939 r., zakończone wykluczeniem jej z Ligi Narodów, a ponadto formalny układ z Polską, a szczególnie jego tajny załącznik, podpisany przez rząd brytyjski w 1939 roku. Byłaby to przecież jawna i krzycząca zdrada najżywotniejszych interesów polskiego sojusznika Wielkiej Brytanii celem zyskania sprzymierzeńca wielokrotnie silniejszego, ale koniunkturalnego i bardzo niebezpiecznego w perspektywie przyszłości. Aby wybrnąć z tej żenującej sytuacji, należało za wszelką cenę skłonić albo nawet zmusić rząd polski w Londynie do jawnego i przyjaznego wyrównania swoich porachunków ze Związkiem Radzieckim. Z jaką więc satysfakcją i zarazem ulgą powitał Churchill fakt, że Sikorski z własnej inicjatywy i woli począł poszukiwać politycznego porozumienia z Rosją i Stalinem.

Bezpośrednio po dokonaniu najazdu hitlerowskiego na Rosję Sikorski wygłasza 23 czerwca przemówienie radiowe, w którym deklaruje, że „sprawa polsko-rosyjska tak bardzo niepokojąca wielu naszych przyjaciół na Zachodzie, wierzę w to, zniknie z kart polityki międzynarodowej" [18]. Oferta jest więc jednostronna i całkiem jasna. Równocześnie to, czego nie dostrzegał gen. Sikorski w sytuacji własnej

[18] *Ibid.*, dok. 86, s. 109.

ojczyzny we wrześniu 1939 r., teraz widział najdokładniej i wyrażał publicznie wielkie zaniepokojenie z tego powodu, że cztery piąte agresywnych sił hitlerowskich zwaliły się na Związek Radziecki. Drzwi do negocjacji sowiecko-polskich otwierały się więc szybko i coraz szerzej. To mogło być nawet słuszne, przy wyraźnym sformułowaniu warunków polskich. Ale Sikorski wyciągał na ślepo obie ręce do zgody; Churchill i Eden nie troszcząc się o meritum sprawy naciskali natarczywie na jak najrychlejsze sformalizowanie porozumienia, a Stalin – nie zamierzając w tych warunkach wyrzec się korzyści wynikających z paktu Ribbentrop-Mołotow – rozumiał konieczność „ut aliquid fecisse videatur" i traktował to jako chwilową ofiarę na rzecz światowej, prosowieckiej opinii publicznej.

Tak doszło w lipcu 1941 r. w Londynie do pospiesznej wymiany zdań pomiędzy Władysławem Sikorskim a ambasadorem sowieckim Iwanem Majskim, w której obie strony – pod wysokim patronatem Churchilla – podkładały pod te same formuły i słowa odmienną treść i różną wykładnię.

W wyobrażeniu Sikorskiego sam fakt anulowania paktu Ribbentrop–Mołotow i podpisania przez Sowiety układu z polskim rządem emigracyjnym o przywróceniu stosunków dyplomatycznych był równoznaczny z powrotem do politycznego *status quo* z początków sierpnia 1939 r. W szczególności nienaruszone miały być granice Polski, ustalone traktatem ryskim z 1921 r., mieszkańcy ziem wschodnich Polski odzyskać mieli samorzutnie obywatelstwo i jurysdykcję polską, a internowane dotąd w Związku Radzieckim wojska polskie – kilkanaście tysięcy wyszkolonych oficerów i odpowiednia liczba żołnierzy i poborowych – miały stać się ponownie siłą czynną, znajdującą się w dyspozycji polskiego naczelnego dowództwa.

Majski zaś operował dialektycznie takimi formułami politycznymi i dwuznacznikami, które – nie wymagając doraźnie rezygnacji z imperialistycznych zamiarów Stalina w odniesieniu do Polski – zadowoliłyby nie Sikorskiego i jego rząd w Londynie, ale przede wszystkim Churchilla i prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta.

Wszelkie ostrzeżenia i argumenty prezydenta Raczkiewicza i innych czołowych polskich osobistości politycznych, domagających się wyraźnego sformułowania praw przyszłej, odrodzonej i niezawisłej Polski, i oczywiście anulowania dokonanego w 1939 r. jej podziału, były wobec uporu Sikorskiego daremne. Każdego, kto pozwalał sobie wątpić w uczciwość a nawet wielkoduszność Stalina, kto nie ufał na kredyt Sowietom, Sikorski poczytywał za wroga swojego i Polski, za zakonspirowanego stronnika „sanacji" albo za agenta Goebbelsa. Na zebraniu przedstawicieli obu zainteresowanych stron, pod przewodnictwem Churchilla 30 lipca 1941 r. został ostatecznie podpisany – ku zadowoleniu Anglików – układ Sikorski-Majski. Gen. Kazimierz Sosnkowski, August Zaleski, minister sprawiedliwości Marian Seyda na znak protestu złożyli swoje dymisje. Nie zrażony tym Sikorski wygłosił następnego dnia przemówienie radiowe do Kraju, w którym sławiąc Rosję oświadcza, że „mając do wyboru między Niemcami i Rosją, on sam już w 1925 r. – jako minister spraw wojskowych – uczynił wybór: odprężenie na Wschodzie, a koncentracja wysiłków wojskowych na Zachodzie". Po czym dodał wymownie: „żałuję bardzo, że rząd następny odrzucił ten system obrony" [19].

Od pierwszych chwil po podpisaniu paktu budziły się różne wątpliwości interpretacyjne, w szczególności w odniesieniu do wschodnich granic Polski; ale Sikorski powtarzał przy każdej okazji z uporem, że granice te nie mogą być nawet kwestionowane. Tymczasem Sowiety od początku dawały do zrozumienia na każdym kroku, z upływem czasu coraz wyraźniej i coraz brutalniej, że – niezależnie od dalszych planów co do Polski – fakty dokonane w 1939 r. są nieodwracalne. Już w załączonym do układu z 30 lipca 1941 r. protokole rząd radziecki zobowiązuje się do „udzielenia amnestii" milionowej rzeszy obywateli wschodniej Polski, więzionych lub internowanych w obozach pracy w Związku Radzieckim za

[19] *Documents on Polish-Soviet Relations*, vol. I, dok. 109, s. 144–145.

swoje przekonania polityczne. Jak słusznie zauważa Michał Sokolnicki [20], amnestii nie udziela się obcym obywatelom za ich wierność dla swojej Ojczyzny.

Na drogę niedomówień, taktycznych błędów i uporczywych iluzji popychały Sikorskiego – trzeba to przyznać – dwa prawdziwie wielkie cele polityczne, które mogły przesłonić mu istotną rzeczywistość. Przez wykazanie swojej dobrej woli, przez układy z przemożnym teraz Stalinem i jego pełnomocnikiem Majskim, Sikorski dążył do odbudowania poważniejszej i nowoczesnej armii, składającej się z obywateli przedwojennej Polski internowanych w Sowietach; ta armia – po bohaterskich bojach z Niemcami – miałaby kiedyś wkroczyć tryumfalnie na wyzwolone ziemie polskie, razem ze zwycięską Armią Czerwoną. Mogła to być rzetelna i historyczna podstawa dla zapoczątkowania ery nowych, prawdziwie przyjaznych stosunków rosyjsko-polskich. Drugim kamieniem węgielnym jego polityki zmierzającej do tego samego celu była tendencja zorganizowania należytej pomocy i opieki dla olbrzymiej rzeszy Polaków deportowanych w latach 1939-41 w głąb Rosji, a cierpiących skrajną nędzę i dlatego żywiących głęboką nienawiść do Rosji. Te motywy były bardzo ważne i istotne, ale i one nie mogły być wystarczającym usprawiedliwieniem dla tak uporczywego optymizmu Sikorskiego; a czynił on i głosił nieustannie to wszystko, co – jak się jemu wydawało – mogło zacieśnić zaufanie i współpracę pomiędzy obu krajami i obu ich przywódcami. W rzeczywistości była to woda na młyn Stalina.

Dnia 3 grudnia 1941 r., w czasie wizyty na Kremlu, Sikorski nawiązując do trudności Rosji walczącej wytrwale z całą potęgą Hitlera, deklarował wobec Stalina: „jestem adwokatem waszej sprawy w Londynie i Stanach Zjednoczonych"; po czym nie omieszkał zapewnić swego rozmówcę: „nigdy nie prowadziłem i nie zgadzałem się z polityką [rządów polskich] skierowaną przeciw Rosji

[20] „Bellona", Londyn 1961, z. I–II, s. 68.

sowieckiej od lat dwudziestu"[21]. W kilkanaście dni później Sikorski przesyła do Winstona Churchilla list, w którym reasumując wyniki polityczne rozmów świeżo przeprowadzonych w Moskwie, pisze: „wizyta moja w Rosji przyniosła rozwiązanie prawie wszystkich aktualnych problemów polsko-sowieckich i w ten sposób przysłużyła się sprawie Aliantów"[22]. Prawie równocześnie rząd radziecki skierował do ambasady polskiej w Związku Radzieckim wysoce znamienny protest przeciwko używaniu przez stronę polską określenia „tereny wschodnie Polski, okupowane przez wojska radzieckie". Ale i to nie spowodowało u Sikorskiego jaśniejszego rozeznania rzeczywistości politycznej. W marcu 1942 r., w czasie pobytu w USA, Sikorski w licznych wystąpieniach publicznych ostentacyjnie i z całym naciskiem podkreślał niczym nie zmącone stosunki łączące Polskę i Związek Radziecki. Jeszcze później, bo w grudniu tego roku, Sikorski w czasie następnego pobytu w USA napiętnował publicznie „jako agentów Goebbelsa" tych wszystkich, którzy nie darzą pełnym zaufaniem Rosji radzieckiej i Stalina. Wciąż i wciąż głosi on z uporem, że „nasza pozycja jest mocna właśnie dzięki paktowi podpisanemu 30 lipca 1941 r. z Sowietami"[23]. Takie deklaracje szefa rządu polskiego ułatwiły znakomicie pozycję Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w sprawach polskich na konferencji krymskiej.

Postępowanie Władysława Sikorskiego wywołać może wrażenie, jak gdyby kierowało się – od wypadku do wypadku – zasadą odwracania o 180° założeń politycznych jego poprzedników, tj. rządów „sanacyjnych", nawet wówczas, gdy polityka ta była całkowicie słuszna i uzasadniona. Na podstawie luźnych faktów utarło się nieścisłe i powierzchowne przekonanie w polskiej opinii publicznej, jakoby zewnętrzna polityka nasza była niedostatecznie zsynchronizowana, a czasem nawet sprzeczna z polityką sojusz-

[21] St. Kot, *Listy z Rosji do gen. W. Sikorskiego*, Londyn 1956, list 57.
[22] *Documents on Polish-Soviet Relations*, Londyn 1961, vol. I, s. 245, dok. 165.
[23] „Zeszyty Historyczne", Paryż 1967, z. 11, s. 205–206.

niczej Francji; stąd demonstracyjna ufność i ślepe aprobowanie przez gen. Sikorskiego każdego posunięcia francuskiego, aż po tragiczne chwile Dunkierki i Compiègne.

Propaganda sowiecka okrzyczała Polskę jako wrogo nastawioną w stosunku do Związku Radzieckiego; stąd okazywanie w każdej sprawie i na każdym kroku wiary w przyjaźń i pojednanie ze stalinowską – w istocie rzeczy tak przewrotną i agresywną – Rosją bolszewicką. Przypisywano też rządom międzywojennej Polski jednostronnie nieprzyjazne nastawienie w stosunku do Czechosłowacji; stąd zrodził się plan Sikorskiego utworzenia federacji środkowoeuropejskiej, którego pierwszym konkretnym wyrazem było podpisanie w dniu 23 stycznia 1942 r. dalekosiężnego porozumienia polsko-czechosłowackiego, zapowiadającego po szczęśliwym zakończeniu szalejącej wojny wspólną politykę zagraniczną, wspólną obronę i wspólną walutę dla obu państw.

Polityka polska – szczególnie za życia Józefa Piłsudskiego – nacechowana była powściągliwością w wydawaniu ostatecznych i apodyktycznych sądów o osobistościach jeszcze aktywnych na międzynarodowej arenie politycznej; stąd głoszona przez Sikorskiego – często bezkrytyczna, a zwykle przedwczesna – chwała takich współczesnych mężów stanu, jak Roosevelt, Churchill czy Stalin. Podobnych paradoksalnych odwrotności można by tu zarejestrować więcej. Najczęściej te inicjatywy polityczne i zakredytowane oceny okazywały się w bliskiej przyszłości nieuzasadnione i błędne.

Już na początku 1941 r. Sikorski po powrocie z oficjalnej wizyty w Stanach Zjednoczonych i w Białym Domu kreował prezydenta Roosevelta na męża opatrznościowego historii i świata [24], którego stosunek do Polski jest wprost doskonały [25]. Z upływem czasu te superlatywy mnożyły się i obejmowały również i innych czołowych mężów stanu.

---

[24] Z. Nagórski, *op. cit.*, s. 82.

[25] Por. wstrząsającą książkę J. Ciechanowskiego, *Defeat in Victory*, New York 1947.

Tak entuzjastycznych opinii nie głoszono np. o prezydencie USA Wilsonie, który oddał Polsce rzeczywiście wielkie i historyczne usługi; chwalby Sikorskiego zaś dotyczyły ludzi niewątpliwie bardzo wybitnych, którzy jednak poświęcili bez wahania żywotne interesy polskie dla chimerycznej idei harmonijnej i przyjaznej współpracy z Sowietami po wojnie. Epilog czułości federacyjnych czechosłowacko-polskich w wydaniu Władysława Sikorskiego i Edwarda Beneša wypadł jeszcze bardziej żałośnie. Stanie się to szczególnie jasne na tle nowych, ważkich wydarzeń politycznych i wojskowych, związanych ze sprawą polską.

Najważniejszą i najkonkretniejszą zdobyczą w ramach porozumienia lipcowego i układu wojskowego z grudnia 1941 r. była zgoda Sowietów na zorganizowanie znacznej armii polskiej na terenach republiki radzieckiej, w miejscach wyznaczonych przez Stalina. Jest zrozumiałe, że zasadnicze cele polskie i cele wodza Bolszewii były w tych sprawach diametralnie odmienne. Jeżeli do realizacji tego dzieła przystępowano ze strony polskiej z najlepszą wolą i zrozumiałym entuzjazmem, to po stronie sowieckiej ujawniła się bardzo rychło tendencja „skatynizowania" w bezpośrednich działaniach bojowych, a nawet poza frontem, szczątków samodzielnych sił militarnych polskich, przesiąkniętych tradycjami niepodległościowymi i w tym znaczeniu sił antybolszewickich. Toteż miejsca na obozy organizacyjne i ćwiczebne odradzającego się wojska polskiego wyznaczono w okręgach silnie malarycznych; wyżywienie żołnierzy – wynędzniałych w obozach jenieckich – było całkowicie niewystarczające; dostarczane uzbrojenie nie odpowiadało ani ilościowo, ani jakościowo wymogom nowoczesnej wojny.

Najpoważniejszą jednak zaporą do prawidłowej i pospiesznej rozbudowy armii polskiej okazał się nieoczekiwany brak oficerów polskich. Przecież same władze radzieckie podały w 1939 r. do publicznej wiadomości znaczne liczby oficerów wojska polskiego internowanych w kilku wielkich „łagrach" sowieckich. Przez czas dłuższy korespondowali oni ze swoimi rodzinami w kraju i za granicą; były więc

znane miejsca ich pobytu w Sowietach aż do wiosny 1940 r. Teraz wszelkie, bardzo systematyczne i ciągłe poszukiwania za ich śladami okazywały się bezowocne, a interpelowane władze radzieckie dawały w tej sprawie różne i graniczące z niewiarygodną fantazją odpowiedzi. Armia bez oficerów, bez należytego uzbrojenia, umundurowania i zaopatrzenia była niezdolna do akcji bojowej.

Tymczasem już na wiosnę 1942 r. rząd radziecki począł domagać się skierowania na linie bojowe co najmniej jednej polskiej dywizji [26]. W danych warunkach sprzeciwili się temu z całą stanowczością zarówno naczelny wódz, gen. Sikorski, jak i dowódca tworzącej się armii, gen. Władysław Anders. Sowiety poczytały to za przejaw polskiego sabotażu i wrogości, i w konsekwencji początkowo zmniejszyły znacznie racje żywnościowe dla formujących się oddziałów polskich, a następnie po prostu anulowały układ wojskowy sowiecko-polski. Tworzące się jednostki wojskowe, łącznie z małą częścią ludności polskiej skupionej w pobliżu, trzeba było ewakuować do Iranu. Rząd radziecki zgodził się na to w przypuszczeniu, że wojska te ulokowane w fatalnych warunkach klimatycznych, pozbawione korpusu oficerskiego i uzupełnień, wyzyskane jako drugorzędna siła bojowa przez Brytyjczyków, zostaną zniszczone całkowicie.

Plan ewakuacyjny został istotnie zakończony w sierpniu 1942 r., a Sowiety przystąpiły do formowania w Rosji zawiązków nowej polskiej armii, zbliżonej jak najbardziej ideowo i strukturalnie do Armii Czerwonej. Z drugiej strony Sikorski – po wielu ciężkich i nieodwracalnych błędach taktycznych i rzeczowych – począł pod koniec 1942 r. prostować swoje drogi polityczne, przede wszystkim w stosunku do Sowietów i Stalina. Wyraźnym śladem tej głębokiej i prawdopodobnie bolesnej przemiany jest pismo okólne do szefów polskich placówek dyplomatycznych, w którym stwierdza się z naciskiem, że Sowiety

[26] *Ost-Europa Handbuch: Polen*, Köln 1959, s. 198.

w każdym wyłaniającym się zagadnieniu politycznym lub wojskowym dotyczącym Polski świadomie „wytwarzają atmosferę sporów i zagrożenia naszej niepodległości"[27].

Tak więc zaufanie pomiędzy Sowietami i rządem Sikorskiego psuło się w 1943 r. z miesiąca na miesiąc. Czas i płynące z nim wydarzenia wojenne i polityczne pracowały teraz przeciwko Polsce. Pod koniec 1942 r. akcja bojowa aliantów ożywiła się bardzo poważnie. Siła ofensywna „osi" Berlin-Rzym-Tokio słabła widocznie. Na początku listopada 1942 r. poważne siły anglo-amerykańskie wylądowały w północnej Afryce. Kilka dni wcześniej wojska brytyjskie zapisują swoje wyraźne zwycięstwo pod El Alamein. W połowie tego miesiąca flota amerykańska zadała Japończykom ciężką klęskę koło archipelagu Salomona na Pacyfiku. Ale wydarzeniem chwilowo najważniejszym jest podjęcie ofensywy przez wojska radzieckie w dniu 19 listopada 1942 r. pod Stalingradem. Teraz anglo-sowiecki pakt przymierza z 26 maja tego roku nabrał istotnego i konkretnego znaczenia. Ani w Londynie, ani w Waszyngtonie Stalin nie potrzebował już „adwokata" Sikorskiego, a dla aliantów zachodnich znaczenie sprawy polskiej kurczyło się do wymiarów drugorzędnego fragmentu. Wówczas to spadła na Polskę potężna lawina ciosów, które wskazały niedwuznacznie, jak dalece nasz rząd emigracyjny jest osamotniony politycznie.

Dnia 12 kwietnia 1943 r. Niemcy rozgłosili wstrząsającą wiadomość, że w lasach katyńskich w okręgu smoleńskim odkryto masowe groby wojskowych, identyfikowanych jako byłych oficerów polskich, zamordowanych w nieludzki sposób w pierwszej połowie 1940 r., a więc przez władze radzieckie. Społeczeństwo polskie było wstrząśnięte do głębi tą wiadomością; żałoba okryła cały naród; tajemnica zniknięcia kilkunastu tysięcy oficerów polskich wziętych przez bolszewików do niewoli w 1939 r., oficerów zawodowych i rezerwowych, ludzi przeważnie młodych,

[27] *Documents on Polish-Soviet Relations*, London 1961, vol. I, dok. 277 z 19 XI 1942.

wartościowych i oddanych bezgranicznie swojej Ojczyźnie, wyjaśniła się przynajmniej częściowo [28].

Sowiety zawrzały „świętym" oburzeniem. Churchill domagał się kategorycznie milczenia w tej przykrej sprawie. Polską prasę emigracyjną poddano w Anglii ostrej cenzurze. Bezradny i spętany rząd polski, sterroryzowany przez swoich obrońców i sprzymierzeńców, rozumiał, że musi w tej piekącej sprawie coś oświadczyć, coś uczynić. Wybrał formę najłagodniejszą i – jak wydawało się – politycznie najstrawniejszą. Generał Marian Kukiel, minister obrony narodowej, zapowiedział dnia 16 kwietnia zwrócenie się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o przeprowadzenie fachowego zbadania sprawy na miejscu. W ten sposób nic nie było przesądzone z góry, a wybrana metoda umożliwiała zarówno działanie na zwłokę, jak i przypuszczalne zróżnicowanie opinii ekspertów. Jednakże rząd radziecki postanowił wyzyskać odkrycie potwornego cmentarzyska katyńskiego do definitywnego rozegrania całego zagadnienia polskiego po swojej myśli, przy cichej aprobacie Sprzymierzonych. Toteż pod komendą TASS'a cała prasa radziecka i prasa międzynarodowa znajdująca się pod wpływem komunistycznym rozpoczęła gwałtowny atak na Polskę, oskarżając ją o działanie przeciw Rosji w ścisłym porozumieniu z reżimem hitlerowskim. Było to oczywistym fałszem i grubą zniewagą rządu polskiego. Wojna jednak wypaliła wszystkie kryteria moralne aż do samego dna. Rosja bolszewicka – uprzedzając ewentualne interwencje państw trzecich – 26 kwietnia zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie. Za jednym zamachem cały polski aparat służby politycznej oraz ostatnia sieć placówek charytatywnych, zbudowana i funkcjonująca na obszarach Związku Radzieckiego, zostaje nagle unicestwiona. Jest znamienne, że już 8 maja przystępuje się w Sowietach z całą energią do tworzenia prokomunistycznego Związku

[28] Szczegóły w opracowaniu: *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, Gryf. Wyd. III. Londyn 1962.

Patriotów Polskich, który w niedalekiej przyszłości wyłoni z siebie, nowy, konkurencyjny a ulegający wskazówkom Moskwy rząd krajowy. Celowo tworzy się fałszywy obraz rozbicia orientacyjnego i skłócenia narodu polskiego. W parę tygodni później do demonstracji antypolskiej przyłącza się prezydent Beneš, zrywając ostentacyjnie plany federacyjne polsko-czechosłowackie.

Jednym ze skutków wytworzonej sytuacji, groźnej dla przyszłości państwa polskiego, było to, że w umyśle Sikorskiego następowała teraz zasadnicza reorientacja światopoglądu politycznego. Zrozumiał on, że można liczyć niezawodnie tylko na własne siły zbrojne i na własną mądrość, przezorność i prawdziwą dalekowzroczność polityczną. Alianci są raczej czynnikiem koniunkturalnym: okazać mogą wielką życzliwość i uczynną pomoc, ale z reguły wówczas, gdy ich interesy narodowe będą z tymi postulatami całkowicie zgodne. Ileż wymowy politycznej ma fakt, że w kwietniu 1943 r. dowództwo brytyjskie i sowieckie torpedowało solidarnie wniosek co do udziału przedstawiciela Polski przy Najwyższym Dowództwie Wojsk Alianckich w Waszyngtonie. Polacy byli natchnieniem narodów, gdy składali daninę życia w obronie Anglii, pod Narvikiem, pod Tobrukiem czy pod Monte Cassino, ale byli całkowicie zbędni w kuźni planów i rozstrzygnięć wojennych i politycznych.

W rezultacie takich faktów i rozważań zarysowuje się wzmożona czujność nad pomnożeniem dobrze wyposażonych oddziałów polskich stacjonowanych w Wielkiej Brytanii: równocześnie wzrasta znacznie zainteresowanie stworzoną w 1942 r. Armią Krajową, dowodzoną przez gen. Stefana Roweckiego poważną siłą ofensywną działającą na tyłach wojsk hitlerowskich, jej organizacją, jej liczebnością i jej przyszłymi zadaniami bojowymi: wreszcie w centralnym punkcie uwagi znalazło się najruchliwsze skupienie wojska polskiego, skupienie formujące się pod dowództwem generała Andersa na Bliskim Wschodzie jako coraz poważniejsza siła potencjalna w znaczeniu militarnym i politycznym. Odwróciła się więc waga głównych zagad-

nień ówczesnej Polski, walczącej równocześnie na tylu frontach wojennych i dyplomatycznych. Sprawa organizacji wielkiej – choć rozproszonej w świecie – armii polskiej wysuwa się na plan pierwszy, przesłaniając chwilowo zagmatwaną problematykę ściśle polityczną.

Oddziały polskie w Wielkiej Brytanii znajdują się w pełnej gotowości bojowej; Armia Krajowa rośnie i konsoliduje się nieustannie, zacieśniając skutecznie łączność z centralnymi władzami polskimi w Londynie. Teraz trzeba ustalić zadania i rolę wojsk organizujących się na Bliskim Wschodzie. Toteż aktualną staje się wizytacja tych oddziałów przez Naczelnego Wodza. Wszystko co wiąże się z tymi formacjami, jest wysoce ważne i pilne: i regeneracja fizyczna niedawnych szkieletów ludzkich usuniętych jako bezwartościowy balast ze Związku Radzieckiego; i wyposażenie tych jednostek w nowoczesną broń; i ich stan moralny; i stopień autorytetu, którym rozporządza tam bezpośrednie dowództwo; i ożywiające ich pragnienie dokonania takich wyczynów bojowych, aby nad nimi i sprawą polską nie można było przejść tak łatwo do porządku. Chwilowo jest to najbardziej eksponowane skupienie wojska polskiego. Program pobytu generała Sikorskiego wśród tych formacji wydartych z paszczy sowieckiej planowany jest na kilka tygodni. Istotnie w tym czasie następuje ten metafizyczny a zarazem silny związek uczuciowy pomiędzy rzeszą oficerów i żołnierzy polskich a Wodzem Naczelnym. Tu, na egzotycznych obszarach Wschodu, w atmosferze psychicznej więzi, jaką wytwarza zbiorowość wojskowa, rozpraszają się wszystkie chmury, maleją wszelkie trudności, wygasają intrygi i walki podjazdowe, zatruwające tak silnie życie i pracę w Londynie. Z głęboką otuchą w sercu, zregenerowany psychicznie, wyprostowany politycznie powraca generał Sikorski z nowym zapasem sił do siedziby swojego rządu i swojej kwatery głównej. Teraz jest wewnętrznie przygotowany do podjęcia nowej walki o prawa należące Polsce, o sprawiedliwość dziejową dla pierwszego kraju, który czynnie przeciwstawił się agresji hitlerowskiej, który poniósł w tej wojnie największe ofiary.

Tymczasem nagle grom uderza z jasnego nieba. Na ostatnim etapie drogi powrotnej, w nocy z 4 na 5 lipca 1943 r. następuje w Gibraltarze z nigdy nie wyjaśnionych całkowicie przyczyn katastrofa startującego właśnie samolotu, powodująca tragiczną i nagłą śmierć generała i nieprzeciętnego męża stanu Władysława Sikorskiego. Na wieść o śmierci Naczelnego Wodza cała Polska okryła się głęboką żałobą. Ból i niepokój ogarnął nie tylko jego zwolenników i przyjaciół, ale również jego krytyków i przeciwników politycznych. Wprawdzie wielu bezstronnych i wybitnych ludzi nie podzielało opinii Stanisława Mikołajczyka, gdy w styczniu 1942 r. zapewniał, że „Sikorski, ale i Polska dzięki niemu, osiągają szczyty powodzenia i zaczynają zbierać owoce realnej i znakomitej polityki" [29], uznawało jednak nie tylko szczerze nieprzeciętne osiągnięcia i zasługi generała Sikorskiego na polu wojskowym i politycznym, ale ponadto szanowało osobisty – a niełatwy w tak historycznej chwili do zastąpienia – autorytet jego na forum międzynarodowym.

Syntetyczna i obiektywna ocena indywidualności Władysława Sikorskiego nie jest łatwa. Jego działalność prowokowała często krytyczne uwagi, trudne do rzeczowego odparcia. One to przesłaniały jego niewątpliwe zasługi i rzetelne wartości. We wrześniu 1941 r. wytrawny i wnikliwy obserwator i polityk, nie uprzedzony do reżimu, poseł socjalistyczny dr Adam Pragier stwierdził, że „w działalności premiera Sikorskiego i jego rządu nie można dopatrzyć się żadnej linii politycznej, gdyż wszystko dzieje się od przypadku do przypadku" [30]. Edward Raczyński przyznając mu wiele talentów, ujmującą osobowość, energię i dar wymowy, zarzucał mu jednak gwałtowność charakteru, egocentryzm i skłonność do samochwalstwa [31]. O zadawnionych przejawach chorobliwego wprost egocentryzmu Sikorskiego wspomina też w swej słynnej książce *Na nieludzkiej ziemi* Józef Czapski. Pisze on o pierwszym

[29] Z. Nagórski, *op.cit.*, s. 110.
[30] Z. Nagórski, *op.cit.*, s. 103.
[31] E. Raczyński, *W sojuszniczym Londynie*, Londyn 1960, s. 70.

spotkaniu z generałem Sikorskim w 1922 r., po zamordowaniu prezydenta Narutowicza: czynił on „wrażenie człowieka nadzwyczaj z siebie zadowolonego. Nie było w nim nic z tego uroku prostoty, głębi i człowieczeństwa Piłsudskiego; wszystko co mówił, było nacechowane niesłychanym zajęciem się sobą" [32]. Na inne jego cechy zwraca uwagę Kajetan Morawski. Pisze on o Generale, że „w najbardziej rzeczowej opozycji doszukiwał się wrogości do własnej osoby. Źle znosił sprzeciwy, a zarazem ulegał zmiennym wpływom" [33]. I nieco dalej: „małostkowymi odruchami mącił lub nawet paczył swą wrodzoną rycerskość".

Nić takich wypowiedzi można by snuć dalej. Ważne w tym jest stwierdzenie, że osoby nieodpowiedzialne wywierały czasem przemożny wpływ na jego poglądy i działalność. Ponadto otoczenie to często zmieniało się. Początkowo, w okresie legionowym, w znacznej większości składało się z ludzi wartościowych i wyrobionych politycznie. Niestety, z biegiem lat wymieniał ludzi cennych na małowartościowych pochlebców. Wierną od czasów akademickich „prawą ręką" Sikorskiego był Stanisław Kot, późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny intelektualista i historyk, redaktor czasopism naukowych, doskonały mówca i pierwszy – z ramienia Sikorskiego – ambasador Polski w Związku Radzieckim. Był to człowiek niewątpliwie wysoce utalentowany, którego wartości od najwcześniejszych lat tłumiły pewne ujemne cechy charakteru. Najlapidarniej uchwycił je profesor UJ Fryderyk Zoll, mówiąc: „my na Uniwersytecie mamy doświadczenie, że gdzie zjawi się prof. Kot, zaczynają się niesamowite intrygi". Takim narzędziem posługiwał się często w stosunku do wielu ludzi, ze szkodą dla siebie i sprawy publicznej.

Znacznie gorszymi i niebezpieczniejszymi typami byli ludzie odrębnego gatunku jak dr Józef Retinger lub Stefan

[32] J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, wyd. II., Paryż 1962, s. 60.
[33] K. Morawski, *Wspólna droga*, Paryż 1962, s. 167–168.

Litauer, odgrywający rolę – jak wyraził się T. Tomaszewski – „faktorów" przy premierze Sikorskim. Litauer, kierownik PAT–a, za uprawianie zakulisowej propagandy bolszewickiej usunięty został w 1944 r. z zajmowanego stanowiska. Na dwuznaczną rolę Retingera zwrócono uwagę jeszcze przed wybuchem wojny. W tym czasie kręcił się on w kołach emigracji „brzeskiej". Poseł Lieberman informuje ludowców 10 IV 1938 r., że „Retinger jest człowiekiem niepewnym, prawie łobuzem". Gdy w 1939 r. podejmowano w Londynie rozmowy pożyczkowe na cele dozbrojenia Polski, Retinger zaoferował ministrowi skarbu swoje usługi. Po zbadaniu otrzymałem miarodajne informacje, że nie zasługuje on na zaufanie. Ale po wybuchu wojny został on początkowo „prywatnym sekretarzem" polskiego premiera, legitymującym się tytułem: *confidential adviser and lifelong friend* gen. Sikorskiego[34]; później mianowano go *charge d'affaires* ambasady w Moskwie, wreszcie doradcą polskiej ambasady w Londynie. Przyszłość prawdopodobnie wykaże, ile szkód wyrządził on Sikorskiemu i Polsce na tych eksponowanych i poufnych stanowiskach.

Te i inne pożałowania godne fakty i zdarzenia nie mogą jednak usunąć w cień Władysława Sikorskiego z grona najwybitniejszych osób, współtwórców odrodzonej w XX wieku Polski. Szczególnie ważną rolę odegrał on w czasie drugiej wojny światowej, pomimo przedwczesnej i tak tragicznej śmierci. To on sformował z rozbitków pierwsze kadry nowej armii polskiej, walczącej z takim poświęceniem w 1940 r. we Francji. To on doprowadził do podpisania 5 września 1940 r. umowy o rozbudowie polskich sił wojskowych w Wielkiej Brytanii. To on – we wrześniu 1941 r. – uzyskał prawo do korzystania z dobrodziejstw ustawy amerykańskiej o pomocy w rozbudowie i wyposażeniu armii polskiej. To z jego decyzji przystąpiono w kraju do stworzenia wielkiej i karnej państwowej organizacji bojowej, nazwanej Armią Krajową, oraz do sformowania reprezentacji wojskowej w Warszawie.

[34] Z. Nagórski, *op.cit.*, s. 139.

Abstrahując od wszelkich zastrzeżeń politycznych, trzeba obiektywnie stwierdzić, że AK dokonała wielu wyczynów bohaterskich, które kiedyś ocenione zostaną sprawiedliwie przez historię. To on, Władysław Sikorski interweniował wielokrotnie i stanowczo w sprawie „zagubionego" korpusu oficerskiego oraz w sprawie Polaków internowanych masowo w Rosji. To on sprzeciwił się wysłaniu niedozbrojonych dywizji polskich na front. To on zadecydował ostatecznie o stworzeniu znacznej i bitnej armii polskiej na Bliskim Wschodzie, która w dziejach tej najpowszechniejszej wojny zapisała nieśmiertelne wawrzyny bojowe. On też kołatał u nieufnych aliantów w sprawie zbrodniczego eksterminowania obywateli polskich przez władze hitlerowskie, a jego przedstawiciele uczestniczyli w takich fundamentalnych aktach i naradach międzynarodowych, jak Konferencja Londyńska, Karta Atlantycka czy Deklaracja Narodów Zjednoczonych.

Tragiczny los nie pozwolił mu na dokończenie wielkiego, historycznego dzieła odbudowania niepodległej Polski. Cóż jednak może być wymowniejszym potwierdzeniem osiągnięć i zasług Władysława Sikorskiego od prostych słów jego następcy na stanowisku wodza naczelnego, byłego szefa sztabu Pierwszej Brygady Legionów Polskich, wybitnego piłsudczyka, znakomitego oficera i wodza, generała Kazimierza Sosnkowskiego? W przedmowie do pięknej i wzruszającej książki dowódcy brygady spadochronowej, Stanisława Sosabowskiego, Sosnkowski podkreślił z naciskiem, że jako główny nakaz dla siebie i jako dyrektywę swojej działalności przyjmował: „nie uronić niczego z dorobku wojskowego mojego poprzednika, śp. generała Władysława Sikorskiego" [35].

[35] S. Sosabowski, *Najkrótszą drogą*, Londyn 1957.

Winston Churchill

Gdy dochodzi do wielkiego i groźnego starcia wojennego pomiędzy dwoma mocarstwami – pisze Anatol France – jeden z przeciwników sterujących walką, ten mianowicie, któremu przypadło w udziale ostateczne zwycięstwo, staje się nieodwołalnie i automatycznie historycznym bohaterem narodu lub koalicji walczących wspólnie państw. Tak było przynajmniej do czasów najnowszych, które i w tej dziedzinie szczycą się odkryciem, iż stosując salomonową mądrość, obie walczące strony mogą wychodzić zwycięsko z zapasów, obie mogą witać tryumfalnie swoje armie i swoich wodzów, obie mogą śpiewać *Te Deum laudamus*, rozrywając sporny – choćby najbardziej jednolity narodowościowo – obszar na dwie części, oddzielone od siebie „żelazną kurtyną" i krańcowo wrogimi reżimami. Ale obie ostatnie wojny światowe, toczone w latach 1914–18 i 1939–45 zakończyły się jeszcze zgodnie z tradycyjną zasadą sformułowaną i zaprawioną szczyptą ironii przez France'a. Głównym bohaterem pierwszej wojny był francuski „Tygrys", Georges Clemenceau, drugiej zaś Winston L. Spencer Churchill.

Po klęsce Francji w 1940 r. światowa opinia publiczna oraz wielu wytrawnych polityków i mężów stanu przewidywało nieuchronną klęskę osamotnionej Wielkiej Brytanii. Zgasły wówczas ostatnie nadzieje na potęgę militarną Zachodu; w istocie rzeczy decydujące o wyniku rozstrzygnięcia zapadły tam prędzej niż w Polsce – opuszczonej i walczącej na dwóch frontach. Hitler tryumfował w Compiègne, a symbolem postawy demokracji była Dunkierka. Wówczas to powołany został do steru w charakterze premiera Winston Churchill, były pierwszy lord admiralicji,

a następnie kolejno minister amunicji, minister spraw wojskowych i kanclerz skarbu Wielkiej Brytanii. Wbrew piętrzącym się trudnościom i groźnym niebezpieczeństwom, Churchill – tak samo jak dawniej Clemenceau – przeniknięty był do szpiku kości wolą uporczywej walki aż do ostatecznego i całkowitego złamania przemożnego i górującego militarnie przeciwnika.

W tej wojnie zdarzały się chwile, a nawet okresy bardzo trudne, ciężkie i bolesne. Całe ulice domów mieszkalnych i administracyjnych w miastach, tysiące wspaniałych kościołów i zabytków sztuki, liczne fabryki, urządzenia cywilizacyjne, szkoły, szpitale, środki transportowe lądowe i morskie były systematycznie niszczone w ciągu dnia i nocy przez lotnictwo niemieckie, grożące „scoventryzowaniem" całej Anglii; równocześnie łodzie podwodne Hitlera blokowały dostęp do Wysp Brytyjskich, starając się przeciąć dostawę żywności, surowców, materiałów pędnych oraz amunicji. Obywatele brytyjscy ginęli masowo pod gruzami walących się gmachów. Hitler zapowiadał rychły najazd niemiecki na teren Wielkiej Brytanii. Zapasy gotówki i walut potrzebnych na zakup w Ameryce statków i uzbrojenia wyczerpywały się. W końcu pojawiły się nad Anglią tajemnicze pociski rakietowe V1 i V2, siejące śmierć i zniszczenie. Pod naciskiem tych faktów i morza nieszczęść ludzkich wielu mężów stanu załamałoby się psychicznie. Ale Churchill nie załamał się, nie ugiął się, nie wahał się. Toteż istotnie może on być zaliczony do rzędu tych dostojnych wielkości, o których pamięć nie zaciera się z wiekami, które w każdym okresie dziejowym – od starożytności aż po czasy najnowsze – mają niewątpliwy tytuł do znalezienia się na czołowym miejscu ksiąg „De viris illustribus".

Tym niemniej niełatwo przychodzi sprawozdawcy polskiemu, a może i reprezentantom innych narodowości, Francuzom czy Rosjanom, skreślić sylwetkę polityczną Winstona Churchilla z poczuciem rzetelnego obiektywizmu. Tak jak obywatele sowieccy nie mogą przebaczyć okazywanej ich krajowi łaskawej i dobroczynnej – choćby

najskuteczniejszej – pomocy przez obcych, a szczególnie przez przedstawicieli ustroju kapitalistycznego, tak samo Polacy nie są w stanie przebaczyć lub choćby wytrzeć z pamięci okazanego im w chwilach dziejowej katastrofy lekceważenia czy też bezceremonialnego stawiania ich narodowych interesów na równi ze sposobem traktowania spraw ludów kolonialnych w XIX stuleciu. Tak odczuwał i odczuwa nadal prawie każdy Polak postępowanie Churchilla w stosunku do jego ojczyzny w latach 1941–45. Zagadnienie polskie było jednak tylko fragmentem w działalności brytyjskiego męża stanu; na chwilę musi więc być odsunięte na plan dalszy.

Rodzina Winstona Churchilla, zawodowego polityka, wybitnego mówcy i pisarza, a z amatorstwa również stratega i artysty malarza, wychowywała się i żyła w atmosferze wiernej służby ojczyźnie i królowi. Jednym z jego protoplastów był słynny John Churchill, książę Marlborough, który na przełomie XVII i XVIII wieku odniósł szereg wspaniałych zwycięstw nad armiami króla francuskiego. Historycy dodają, że Marlborough był nad wyraz zręcznym dyplomatą i świetnym wodzem armii w polu, ale ciemniejszą stroną charakteru była jego chciwość i wrażliwość na drogocenne prezenty [1]. W każdym razie od tego czasu wpływy i sława rodu Churchillów wzrastały szybko, a ojciec Winstona (urodzonego w 1874 r.), Randolph, członek partii konserwatystów – zwanych wówczas „torysami" czyli zbójcami – był wybitnym mężem stanu Anglii. Z tradycji i wychowania Winston był reliktem epoki wiktoriańskiej o duszy autokratycznej i imperialistycznej, o rozsądku demokratycznym; był utalentowanym i stopniowo coraz wytrawniejszym, bardziej przewidującym politykiem i wieloletnim członkiem Izby Gmin; najlepiej czuł się w siodle opozycji, ale równocześnie umiał oceniać realistycznie sytuację polityczną i nastroje społeczeństwa brytyjskiego.

---

[1] *Encyklopedia Powszechna* Gutenberga, t. X, s. 57; por. M. Ałdanow, *Współcześni*, Warszawa 1928.

Działalność publiczną rozpoczął wcześnie, bo już w 1901 roku, zgodnie z tradycją rodu w szeregach partii konserwatywnej. Skoro jednak okazało się, że w wyborach parlamentarnych zwyciężają liberałowie i oni będą rządzić Wielką Brytanią, przeszedł do nich bez wahania i z ich ramienia uczestniczył w rządach Asquitha i Lloyd George'a. Po pierwszej wojnie, w związku z powstaniem i rozwojem nowej partii labourzystów, liberałowie poczęli nagle tracić wpływy w społeczeństwie angielskim. Winston Churchill był dość przewidujący i w 1924 r., po prawie 19–letniej secesji, powrócił do partii konserwatystów, by w rządzie Baldwina objąć kanclerstwo skarbu. W latach trzydziestych był nieraz w łagodnej opozycji do polityki zagranicznej rządu, przestrzegając wytrwale i głośno przed niebezpieczeństwem tajnych i jawnych zbrojeń niemieckich, tak jak w okresie po zakończeniu pierwszej wojny światowej alarmował opinię brytyjską i międzynarodową co do zagrożenia płynącego z działalności rewolucyjnej i propagandowej Sowietów.

W swojej polityce, szczególnie gdy wiązał ją z własnymi koncepcjami strategicznymi, Churchill nie zawsze miał szczęśliwą rękę. Jako pierwszy lord admiralicji forsował on na początku 1915 r. projekt skoncentrowanego i silnego ataku alianckiego na Dardanele. Według oceny Churchilla atak ten miał przynieść poważne a nawet rozstrzygające wyniki: definitywne pokonanie sprzymierzeńca mocarstw centralnych – Turcji, flankowe zagrożenie Austro-Węgier, a wreszcie otwarcie dogodnego kontaktu z sojuszniczą Rosją. Tej ryzykownej koncepcji przeciwstawiali się fachowcy z brytyjskiej marynarki wojennej pod przewodnictwem admirała Fishera. Churchillowi udało się jednak przekonać rząd brytyjski i uzyskać pod koniec stycznia 1915 r. jego miarodajną aprobatę. Operacja ta, wykonana przy wielkim nakładzie sił i środków, przemieniła się w ciężką katastrofę militarną i polityczną. Po straceniu tam ogromnej ilości najcenniejszego materiału wojennego oraz ok. 145 tysięcy ludzi trzeba było ostatecznie akcję tę zlikwidować, przy wielkim upadku prestiżu aliantów. Tylko tak wyrobione

w ustawicznym operowaniu ryzykiem: finansowym, handlowym, transportowym – społeczeństwo jak angielskie mogło wybaczyć Churchillowi tę znaczną i rozgłośną klęskę. Jego kariera polityczna nie tylko nie została zwichnięta, ale rozwijając się systematycznie, doprowadziła go w 1940 r. do roli opatrznościowego męża stanu Wielkiej Brytanii.

Droga, którą Churchill kroczył przez życie polityczne, była wyraźnie wytknięta i przestrzegana niezmiennie w ciągu wielu dziesięcioleci. Zgodnie z fundamentalnymi założeniami szkoły wiktoriańskiej nie dopuścił on nigdy do jawnego głoszenia zasad sprzecznych z prawem narodów, sprzecznych z przyjętymi przez rządy J.K.Mości zobowiązaniami, a tym bardziej sprzecznych z wymogami moralności chrześcijańskiej. Każde naruszenie tych drogowskazów Churchill zwalczał głośno i zdecydowanie. Natomiast pozostawiał sobie i rządowi prawo dość dowolnego interpretowania tych zasad, tak by one nie znalazły się w kolizji z interesami i tzw. „racją stanu" Wielkiej Brytanii. W ostateczności trzeba było uciekać się do porozumień tajnych. Pod tym względem zresztą niewiele zmieniło się w polityce międzynarodowej od wielu stuleci. Machiawelizm święcił tryumfy, zanim jeszcze zasady tej gry zostały sformułowane i ogłoszone jawnie w *Il Principe*. Tylko że rozdźwięki pomiędzy głoszonymi zasadami a praktyką życiową wydają się być współcześnie o wiele głębsze niż w przeszłości. Przepaść powiększała się głównie od strony szczytnych deklaracji, głoszonych przez czołowych polityków świata. Nasze pokolenie pamięta jeszcze wyraźnie, jak zasady prawne i moralne wieszczone i kodyfikowane przez Churchilla, a w okresie drugiej wojny światowej również przez prezydenta Roosevelta, budziły nie tylko gorącą aprobatę milionów ludzi, ale i najlepsze nadzieje na bliską przyszłość, szczególnie wśród narodów jawnie pokrzywdzonych i sponiewieranych dotkliwie. W 1938 r., atakując odważnie podstawy układu monachijskiego, Churchill głosił z przekonaniem, że „pokój i zaufanie nie mogą opierać się na uległości wobec przemocy i gwałtu". W tym samym duchu

przemawiał w Izbie Gmin i na zebraniach publicznych w latach 1938–40 wielokrotnie.

W sierpniu 1941 r., pełniąc już funkcję szefa rządu angielskiego, sformułował wspólnie z prezydentem USA, Rooseveltem, wyczerpujący kodeks takich szczytnych zasad i drogowskazów politycznych, nazwany „Kartą Atlantycką", który niebawem stał się fundamentem moralnym albo raczej obowiązującym prawem Narodów Zjednoczonych [2]. Gdy czytało się te proste i mądre a wstrząsające sumieniami słowa Karty, potępiające bezwzględnie wszelkie akty gwałtu, samowoli i agresji, zobowiązujące do poszanowania zasad prawnych, do uznawania rzeczywistego równouprawnienia narodów wielkich i małych, bogatych i biednych, do pokojowego rozwiązywania międzynarodowych konfliktów politycznych i gospodarczych, rozwiązywania dyktowanego nie przewagą fizyczną, ale poczuciem sprawiedliwości i dobrej woli, słowa wzywające do zachowania i obrony integralności terytorialnej państw, ustalonej traktatami i umowami międzynarodowymi, a wreszcie do uczciwego i powszechnego poszanowania praw jednostki, zrzeszeń i całych warstw czy klas społecznych, to zdawało się, że z potopu katastrof i bezmyślnych zniszczeń wojennych poczyna wyłaniać się nowy, lepszy i sprawiedliwszy świat, w którym obalona będzie stara zasada, że *homo homini lupus est*.

Niestety, z tymi wzniosłymi zasadami i prawidłami, tworzącymi stos pacierzowy Karty Narodów Zjednoczonych, skrzyżowały się w 1941 r. najpierw brytyjska, a następnie i amerykańska racja stanu. W imię tej właśnie koniunkturalnej chimery zbyt pospiesznie reagujący Churchill oraz sterujący świadomie do określonych celów doradca polityczny prezydenta Roosevelta, Harry Hopkins poświęcili m.in. najistotniejsze interesy i przyszłość Polski jako niezależnego i wolnego państwa, odbudowanego z taką życzliwą i szlachetną pomocą prezydenta USA Woodrowa Wilsona. Była to operacja tym dotkliwsza

[2] F.H. Hartmann, *Basic Documents of International Relations*, New York 1951, s. 185 n.

i boleśniejsza, że Polska podjęła pierwsza nierówną walkę po wyraźnej zachęcie do oporu ze strony rządu brytyjskiego, że Wielka Brytania była formalnym sojusznikiem naszego państwa, że Polska – z natury rzeczy i z woli walczącego narodu – była najwierniejszym i najskłonniejszym do wszelkich poświęceń sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Zupełnie odmienna była w tym czasie pozycja Związku Radzieckiego w stosunku do Anglii. Odrzucił on dość szorstko i nagle wszystkie próby porozumienia z Anglią i Francją w lecie 1939 r., porozumienia, które by prawdopodobnie sparaliżowało zapędy wojenne Hitlera, pogwałcił jawnie wiele zobowiązań wynikających zarówno z tytułu jego uczestnictwa w Lidze Narodów, jak i z tytułu wciąż aktualnych traktatów, umów i paktów nieagresji z Polską, Finlandią, państwami bałtyckimi i Rumunią, wspierał czynnie i skutecznie politykę i potęgę wojenną Hitlera, depcząc tak brutalnie i tak cynicznie wszelkie zasady prawa narodów, że w końcu został wykluczony karnie z przejawiającej nieustannie – zdawałoby się bezgraniczną – wyrozumiałość i cierpliwość Ligi Narodów.

Gdy 22 czerwca 1941 r. Hitler rzucił nagle zmasowane siły na Związek Radziecki, prosty zdrowy rozsądek dyktował możnym tego świata, by w imię przyszłości domagać się od Stalina wyraźnego i wiążącego anulowania nie tylko samych aktów, ale i wszystkich konsekwencji ścisłej współpracy z Hitlerem w ciągu prawie dwóch lat tych tragicznych zmagań wojennych wielu narodów[3]. Ale wybuch wojny niemiecko-sowieckiej oznaczał dla Churchilla nieocenioną ulgę w działaniach bojowych przeciwko Anglii; oznaczał masowe zniszczenie ludzi i materiału wojennego Niemiec na odległym i wciąż wydłużającym się froncie wschodnim; oznaczał wreszcie zyskanie drogocennego czasu, niezbędnego do przygotowania miażdżącego uderzenia Anglii i jej aliantów na siły Hitlera i wygrania ostatniej bitwy w tej wojnie. Odsuwając więc wszelkie inne względy

[3] Por. J. Cicchanowski, *Defeat in Victory*, New York 1947, s. 28; St. Zabiełło, *Sprawa polska podczas drugiej wojny światowej*, Warszawa 1958, s. 270.

na bok, Churchill otwierał ramiona dla każdej Rosji, mogącej prowadzić walkę długą i wyczerpującą; rozumiał on – jak mało kto – wielką potęgę niezmierzonego obszaru oraz klimatu swojego chwilowego i koniunkturalnego sojusznika.

Dlatego też, nie czekając nawet na rozwój wypadków, Churchill na niecałe dwie doby przed hitlerowskim atakiem na Rosję, oferował jej w publicznym przemówieniu wszelką możliwą pomoc na wypadek agresji niemieckiej. Natychmiast zaś po rozpoczęciu działań wojennych na wschodzie, Churchill witał gorąco nowego i potężnego sojusznika, nie stawiając Związkowi Radzieckiemu żadnych warunków wstępnych dla ścisłej współpracy i pomocy. Pierwszy nowy pakt brytyjsko-sowiecki podpisany w Moskwie już 12 lipca 1941 r. jest produktem tego właśnie nastawienia Churchilla i Edena, i kryje w sobie daleko idące konsekwencje polityczne, które odezwą się w przyszłości. Analogiczne porozumienie wstępne pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim zawarte zostało 1 sierpnia tego roku. Tak dokonało się pierwsze, niedostrzegalne jeszcze, przesunięcie wszystkich atutów w sprawie polskiej, a także i innych państw niepodległych graniczących z Sowietami, do rąk Stalina.

Kilka doniosłych faktów natury polityczno-wojskowej przyczyniło się następnie walnie do wzmocnienia pozycji Związku Radzieckiego przy doraźnym osłabieniu pozycji państw zachodnich. Z początkiem grudnia 1941 r. nastąpił gwałtowny, niespodziewany a miażdżący atak japoński na Pearl Harbour. Niezwłocznie wywiązała się nowa i ciężka wojna, absorbująca siły, rezerwy i zainteresowania amerykańskiego „arsenału demokracji", z przeciwnikiem silnym, zdecydowanym i o najwyższych kwalifikacjach bojowych. Początkowo przewaga dalekowschodniego agresora była wprost zdumiewająca. Paradoksalnie wydawało się wówczas, że ta groźna sytuacja jest korzystna dla obu niedawnych sojuszników a teraz zaciętych wrogów, tj. dla Niemiec Hitlera i dla Rosji Stalina. Hitler obliczał, jak dalece i na jak długo amerykański potencjał wojenny został spętany

na Dalekim Wschodzie, Stalin zaś rozumiał, że jego cena jako sojusznika Zachodu podniosła się nagle i niepomiernie. Dwa bowiem państwa anglosaskie – USA i Wielka Brytania – nie były chwilowo dostatecznie przygotowane do sprostania zadaniu militarnemu na trzech, tak bardzo rozległych i odległych, tak totalnie absorbujących frontach: dalekowschodnim, zachodnim i śródziemnomorskim. Gdy Wielka Brytania odpierała z trudem gwałtowne ataki państw „osi" na morzach i w powietrzu, gdy Stany Zjednoczone nie mogły powstrzymać piorunującej agresji Japonii na obszarach Oceanu Spokojnego, Rosja radziecka – wbrew pesymistycznym proroctwom wielu polityków i strategów – umacniała stopniowo lecz stale swój front walki z Niemcami. Być może warunki obiektywne – jak rozległość terenu i jego przydatność do obrony, jak klimat, jak obfita pomoc materiałowa Zachodu – odgrywały w tych dziejowych zmaganiach niemałą rolę; ale czynnikiem decydującym były milionowe rzesze wojsk radzieckich, przenikniętych wolą walki z najazdem hitlerowskim aż do pełnego zwycięstwa.

Tak doszło niebawem do całkowitego odwrócenia roli militarnej obu przeciwników. W listopadzie 1942 r. zapoczątkowana została wielka ofensywa wojsk radzieckich w okręgu stalinogradzkim i prąc ustawicznie w kierunku zachodnim i południowym trwała, z małymi przerwami, w ciągu następnych dwóch i pół lat. Oczywiście ten stan rzeczy wzmacniał bardzo silnie pozycję polityczną Stalina, w jednej osobie premiera, szefa monopartii i generalissimusa. Toteż żądania dyktatora sowieckiego skierowane w stronę prezydenta USA Roosevelta i premiera brytyjskiego Churchilla nie tylko mnożą się, ale stawiane są coraz bardziej kategorycznie.

Sprowadzają się one teraz do czterech głównych i zasadniczych postulatów. Stalin domaga się więc jak najrychlejszego odciążenia Związku Radzieckiego przez otwarcie drugiego, wielkiego frontu bojowego w zachodniej Europie, następnie nalega na przyjęcie zasady, że celem tej wojny ma być zmuszenie Niemiec do bezwarunkowej

i pełnej kapitulacji wobec wszystkich głównych sojuszników, tak by podyktować im odpowiednie warunki polityczne, terytorialne, gospodarcze i militarne, mające obowiązywać je w przyszłości powojennej. Dalsze, trzecie żądanie sprowadza się do znacznego zwiększenia dostaw wszelkiego uzbrojenia oraz urządzeń niezbędnych do rozbudowy przemysłu wojennego w Sowietach. Stalin domaga się wreszcie aprobaty Zachodu co do niezbyt wyraźnie określonych koncesji politycznych i terytorialnych na rzecz Związku Radzieckiego, motywując to – w zależności od chwilowych okoliczności – względami bądź to strategicznymi i przyszłego bezpieczeństwa Kraju Rad, bądź też motywami narodowymi lub historycznymi. Zarazem pośrednio daje do zrozumienia, że nie jest całkowicie wykluczona ewentualność jakiegoś porozumienia z Niemcami. Wszystko to stawia zachodnich aliantów w tym trudniejszej sytuacji, że bojowe powodzenie Sowietów jednało im szczere uznanie w społeczeństwach anglosaskich i podziw niektórych Niemców.

Obiektywnie w najtrudniejszej sytuacji znalazł się Winston Churchill. Właśnie brytyjska racja stanu nakazuje odroczenie chwili otwarcia drugiego frontu w zachodniej Europie aż do czasu, gdy pomoc amerykańska stanie w pełni na poziomie wymagań, gdy duch bojowy Niemiec oraz ich wiara w niezawodnie szczęśliwą gwiazdę Führera załamie się dostatecznie, gdy potencjał – niszczonego lotniczo – przemysłu niemieckiego pocznie chylić się ku upadkowi. Drugi postulat Stalina budzi również wątpliwości u Churchilla. Nie tylko dlatego, że jest chwilowo przedwczesny, ale i dlatego, że sama perspektywa bezwarunkowej kapitulacji wobec Sowietów musi wzmocnić opór i ducha bojowego Niemiec. Utrzymanie zaś takiej decyzji w tajemnicy nie leżało w interesie Sowietów. Również w odniesieniu do trzeciego żądania Stalina Churchill musiał lawirować. Produkcja wojenna USA pracuje na najwyższych obrotach; zaspokaja ona przede wszystkim gigantyczne potrzeby własnej armii, floty i lotnictwa. Nadwyżkę dzieli się pomiędzy armie sprzymierzone. Zna-

czne zwiększenie i tak już bardzo poważnych dostaw dla Rosji musiałoby być połączone z odpowiednimi ofiarami ze strony Anglii.

W tych warunkach stosunkowo najłatwiejszy do przełknięcia jest postulat czwarty. Przynajmniej chwilowo nie stoi on w wyraźnej sprzeczności z brytyjską racją stanu. Istnieją jednak umowne obowiązki rządu brytyjskiego wobec Polski. Trzeba więc doprowadzić do tego, by sami Polacy zgodzili się na niewątpliwie ciężkie ofiary wymagane przez Sowiety. Churchill uspokajał swoje sumienie polityczne przeświadczeniem, że jeżeli Polska nie zgodzi się być domeną wpływów rosyjskich, to w danych warunkach geopolitycznych w ogóle istnieć nie będzie jako niezawisłe państwo. Taki pogląd podtrzymywały w nim zarówno pewne zasady filozoficzne, zaczerpnięte w młodości z Niemiec, jak również i rozbrajająca łatwowierność wielu osobistości ze sfer rządowych polskich w rady Churchillowskie, a nawet w oficjalne wypowiedzi Stalina. Hegel głosił, że „sprawa pokonanych w wojnie nigdy nie jest słuszna"; Churchill był zbyt mądry, by powoływać się głośno na taką niecną zasadę, tym niemniej jednak stosował ją w praktyce do Francuzów, Polaków, Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Finów, Rumunów czy Węgrów. Aby zaś uchronić Wielką Brytanię przed zarzutem opuszczenia sprzymierzonej Polski w jej najcięższych chwilach, wywierał osobiście najsilniejszy nacisk na członków rządu emigracyjnego, aby sami zgodzili się na warunki Stalina.

Tak doszło w 1941 r. do lekkomyślnego podpisania w Londynie umowy Majski–Sikorski. Zapoczątkowała ona cały łańcuch fatalnych i nieodwracalnych już konsekwencji politycznych i wojskowych. A im wyraźniej z biegiem czasu ujawniały się tragiczne momenty w stosunkach sowiecko-polskich, tym silniej domagał się Churchill ustępstw, a nawet niepodnoszenia głosów protestu przez Polaków. Gdy w 1943 r. ujawniona została mrożąca krew w żyłach zbrodnia katyńska, Churchill ograniczył się do wygłoszenia wobec ambasadora Majskiego tyrady, że „musimy pobić

Hitlera, więc nie czas na spory i oskarżenia" [4]. W tej samej sprawie pisze Churchill 25 kwietnia 1943 r. do Stalina: „Sikorski wycofuje się z zamiaru badania sprawy Katynia przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż", po czym dla uspokojenia sowieckiego dyktatora dodaje: „badam możliwości zmuszenia do milczenia w sprawie katyńskiej tych polskich pism w Anglii, które napadały na rząd radziecki" [5].

Od tej pory Churchill odgrywa rolę rzecznika polityki prosowieckiej coraz jawniej, a jego naciski na władze polskie stają się coraz bezwzględniejsze. Na pierwszej konferencji trzech głównych aliantów, obradującej pod koniec listopada 1943 r. w Teheranie, wszystkie ważne sprawy – jak projektowana przez Churchilla interwencja wojsk brytyjskich od strony Bałkanów, jak sprawa utworzenia po wojnie federacji środkowoeuropejskiej, jak podział Niemiec albo aneksja państw bałtyckich przez Sowiety, a przede wszystkim całokształt zagadnień związanych z Polską, zostały rozstrzygnięte zgodnie z wolą i tendencjami Stalina. Współczesny historyk francuski, pisząc o teherańskich sukcesach Stalina, dodaje: „mais c'est sur le question polonaise qu'il porte un principal effort" [6]. Decyzje te przyniosły Stalinowi zgodę dwóch największych mężów stanu zagarnięcia połowy ziem polskich oraz przesunięcia granicy zachodniej Polski z takim wyrachowaniem, że same warunki zewnętrzno-polityczne oddadzą nasz kraj pod trwały patronat sowiecki. Wszystkie te decyzje uznane zostały za tajne, a na tym tle doszło do wprost paradoksalnej sytuacji w Londynie. Oto gdy Churchill domagał się z naciskiem od Mikołajczyka uznania przez Polskę nowej granicy na wschodzie, minister Eden deklarował w Izbie Gmin, że rząd brytyjski sprzeciwia się stanowczo wszelkim zmianom terytorialnym w świecie, dokonanym gwałtem i przemocą.

---

[4] *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, Londyn 1962, s. 290.

[5] *Korespondencja przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR z prezydentem USA i premierem W. Brytanii*, Warszawa (wyd. MON) 1960, t. I., s. 121.

[6] [„jednakże główny wysiłek skupia na sprawie polskiej"]. P. Renouvin, *Les Crises du XX^e Siècle*, Paris 1958, s. 323.

Przypieczętowaniem tego spisku „sprzymierzeńców" przeciwko Polsce walczącej tak ofiarnie „za naszą i waszą wolność" stały się układy jałtańskie. Churchill, który – jeżeli nie z przyjaźni, to przynajmniej z urzędu – miał być obrońcą sprawy polskiej, przyjął dobrowolnie wspólnie z Mołotowem funkcję prokuratora. Nic więc dziwnego, że w czasie debaty „jałtańskiej" w brytyjskiej Izbie Gmin, chcąc zamknąć usta licznym i wybitnym obrońcom sprawy polskiej, Churchill powiedział kategorycznie: „sprawa Rosji jest słuszna i sprawiedliwa". Nieco wcześniej, ale już po Katyniu i Teheranie, Churchill perorował w Izbie Gmin: „Nie pozwolę nikomu powątpiewać o dobrej woli Rosji; dotrzymuje ona każdego zobowiązania, a słowo Stalina jest jak oblig".

Ta wciąż demonstrowana bezgraniczna ufność nie była jednak odwzajemniona. W marcu 1944 r. Stalin powiedział do Djilasa: „Churchill jest typem człowieka, który – jeżeli nie będziesz miał się na baczności – ściągnie ci kopiejkę z twojej własnej kieszeni" [7]. Podobnie obelżywie wyrażał się o Anglikach, przypisując im m.in. uśmiercenie generała Sikorskiego. Równocześnie Stalin obdarzał rodzinę Churchillów drogocennymi darami, których przyjęcia w wytworzonych warunkach Churchill prawdopodobnie odmówić nie mógł. Związek Radziecki zaś nie omieszkał opublikować pospiesznie tej nieco żenującej korespondencji [8]. Tak więc Churchill pisze do Stalina: „Moja córka Sara będzie zachwycona wspaniałym podarkiem panny Stalin i zachowa go wśród swoich najcenniejszych i najdroższych rzeczy. [...] pański przyjaciel i towarzysz wojenny W.S. Churchill". Następnie 19 października 1944 r. Churchill i jego małżonka potwierdzając odbiór dwóch drogocennych waz od Stalina dziękują za prezent, po czym Churchill dodaje: „moja nadzieja na przyszły sojusz naszych narodów nigdy jeszcze nie była tak wielka". Nastąpiła więc wyraźna wymiana sojuszników Wielkiej Brytanii na

[7] M. Djilas, *Conversations with Stalin*, New York 1962, s. 73.
[8] *Korespondencja przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR...*, t. I., s. 263–264.

Wschodzie: układ zawarty z Polską w 1939 r. został przekreślony jako bezwartościowy, a przyjaźń z Rosją Stalina została – w myśl starożytnego zwyczaju – przypieczętowana podarkami. Ale przez subtelny umysł Churchilla przechodziło zapewne ostrzeżenie: *timeo Danaos et dona ferentes*. Może?

Na całym dziejowym procesie ewolucyjnym lat czterdziestych wyraźne piętno wycisnął osobiście Winston Churchill. Wielu bliskich mu polityków i mężów stanu – oddając mu hołd za jego odwagę, mądrość i niespożytą energię – stwierdzało zgodnie, że był on trudny i nieobliczalny zarówno jako współpracownik, jak też i jako szef. W czasie drugiej wojny światowej scharakteryzował te jego cechy brytyjski generał Allanbrooke, pisząc lapidarnie: „Bóg wie, gdzie bylibyśmy obecnie bez Churchilla, ale nikt nie wie, gdzie jeszcze możemy znaleźć się razem z nim". Obawa ta nie sprawdziła się dla Wielkiej Brytanii, ale zaważyła złowieszczo na losach obecnych, a jeszcze bardziej przyszłych, narodu polskiego. Ze zjadliwym dowcipem i dużą wnikliwością zanalizował sylwetkę polityczną Winstona Churchilla jego długoletni przyjaciel i szef rządu, Lloyd George. Powiedział on kiedyś, że każda posągowa i historyczna indywidualność, jej wartość polityczna i intelektualna, zależy od symbolicznego stosunku piasku przydanego do szlachetnego cementu, oraz od sposobu i dokładności wymieszania tych składników. Indywidualność polityczna Churchilla zbudowana była z najlepszego, szlachetnego cementu i właściwej proporcji czystego piasku, tylko wymieszanie obu tych surowców nie było zbyt dokładne.

Adolf Hitler

Proces coraz głębszej, coraz powszechniejszej demokratyzacji form i treści życia zbiorowego biegł niepowstrzymanymi falami już od końca XVIII wieku. Siła obronna obozu konserwatywnego, obozu omszałych tradycji i utytułowanych ludzi, kurczyła się stopniowo. Przedstawiciele demokracji wywodzący swój rodowód z warstw średnich lub z proletariatu obejmowali kluczowe stanowiska w zakresie kultury i nauki, gospodarstwa i finansów, administracji i wojska. Wreszcie, w wyniku kataklizmu wojennego z lat 1914–18, w wielu państwach europejskich padły ostatnie okopy trzymane tak uporczywie przez czynniki konserwatywne, okopy władzy państwowej kierującej polityką narodową i międzynarodową. Początkowo w Rosji, we Włoszech i w Niemczech, a później w wielu innych krajach całą bez reszty władzę zagarnęli przedstawiciele najradykalniejszych warstw społecznych: demokraci z urodzenia, rewolucjoniści z powołania, wrogowie wszelkiego ucisku, którego sami byli ofiarami, głosiciele hasła nieograniczonej wolności... na przyszłość. Ale pierwsze doświadczenia – choć zapisały się najjaskrawszymi zgłoskami na kartach historii świata – nie wypadły korzystnie. Nigdy bowiem w odległej czy bliższej przeszłości ludzkość nie wycierpiała tylu krzywd i tyle niedoli, nie wylała tylu łez i tyle krwi, co za panowania Hitlera w Niemczech, Stalina w Związku Radzieckim, a Mussoliniego we Włoszech. I w tych przypadkach urzeczywistniło się stare prawidło, że rządzący gnębią ze szczególną pasją i złośliwością te warstwy, z których sami pochodzą. A przecież wywodzili się oni z najszerszych warstw tego proletariatu, który miał się łączyć w imię przyjaźni, wolności, równości i braterstwa.

Młodość Adolfa Hitlera upłynęła pod znakiem niepowodzeń życiowych i przeciętności. Nic nie zapowiadało w nim przyszłego wodza światoburczych Teutonów i „brunatnych koszul", Führera, który umiejętną propagandą i brutalną taktyką – w szczególnych warunkach chaosu i bezradności powojennej – zdołał pociągnąć za sobą prawie cały naród niemiecki. Urodził się 20 kwietnia 1889 r. w Braunau, małej mieścinie Górnej Austrii, na samym pograniczu bawarskim, gdzie ojciec jego pełnił funkcję zwykłego, nie biblijnego celnika. Szkoły realnej, do której został przyjęty, nie ukończył; do systematycznej nauki nie miał szczególnego zamiłowania. Gdy miał lat 14, stracił ojca, a w pięć lat później zmarła również matka Adolfa. Próby i starania o przyjęcie go do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych – na podstawie uczniowskiego dorobku malarskiego – skończyły się niepowodzeniem. Po śmierci matki Hitler utracił też ostatnią i najskromniejszą podstawę materialnej egzystencji, niezbędnej do kontynuowania jakichkolwiek dalszych nauk. Nie mając przygotowania zawodowego trzeba było imać się pracy fizycznej. Chciał służyć w c. k. armii, ale komisja poborowa uznała go za niezdolnego do służby wojskowej. Wreszcie uzyskał pracę jako pomocniczy robotnik budowlany. Był to niezwykle ciężki okres dla słabowitego Hitlera, którego wewnętrzne motory psychiczne przetwarzały wciąż gorycz na zajadłą i ślepą wściekłość i nienawiść.

Mimo wszystko te ponure lata przyniosły mu kilka cennych dla przyszłej działalności doświadczeń i zdobyczy. Przede wszystkim zrozumiał wtedy znaczenie choćby małej, ale ruchliwej i agresywnej organizacji społecznej. Ponadto mógł przekonać się, że jego pełne sugestywnej emocji i jadu przygodne przemówienia czyniły wyraźnie wrażenie na współtowarzyszach pracy, łaknących podświadomie nieokreślonych przemian ustrojowych, które by polepszyły ich byt materialny. Wreszcie tu zetknął się z żywotną jeszcze tradycją masowego ruchu chrześcijańsko-socjalnego, o silnych tendencjach antysemickich, którego członkami byli i Dollfuss, i Schuschnigg, a sterowanego pod koniec ubieg-

łego stulecia przez dynamicznego burmistrza wiedeńskiego Karola Luegera. Taka praktyczna zaprawa polityczna trwała kilka lat. Dopiero w 1912 r. Hitler nie mogąc ani zmieścić swojej nieokrzesanej indywidualności w ramach wiedeńskiej „wieży Babel", ani przesunąć się w górę po szczeblach drabiny społecznej, wylądował na stałe w Monachium, stolicy Bawarii, gdzie łatwiej zarabiał na życie jako pomocniczy pracownik budowlano-architektoniczny.

Tam też doczekał się 1914 roku i wybuchu wielkiej wojny europejskiej a później światowej, niszczącej systematycznie i bezlitośnie miliony najwartościowszych ludzi oraz narosłe w ciągu wieków aktywa cywilizacyjne. Hitler zgłosił się ochotniczo do armii bawarskiej, brał czynny udział w operacjach na froncie zachodnim, był dwukrotnie kontuzjowany i dwukrotnie odznaczony „żelaznym krzyżem". Wspomina sam, że na wieść o wojnie padł na kolana i dziękował Opatrzności, iż zezwoliła mu żyć w tak bohaterskich i podniosłych czasach. I przejęty nadal wielkim entuzjazmem prawdopodobnie dziękował Opatrzności, gdy wojska niemieckie pogwałciły neutralność małej Belgii, gdy armaty niemieckie pogwałciły Kalisz wraz z jego cywilną ludnością, gdy niemieckie łodzie podwodne zatapiały masowo statki i z nimi dziesiątki tysięcy nie walczących, niewinnych ofiar, gdy dowództwo niemieckie jako pierwsze na froncie zastosowało „wojnę chemiczną" przy użyciu gazów trujących, duszących czy gryzących, gdy generałowie Wehrmachtu dyktowali warunki pokojowe w Bukareszcie i w Brześciu, gdy artyleria dalekiego zasięgu bombardowała Paryż i Londyn i przy licznych innych podobnych okazjach. Wzburzył się dopiero przeciwko tej samej Opatrzności, gdy pod koniec 1918 r. Niemcy po druzgocących klęskach na froncie zmuszone były do kapitulacji bezwarunkowej. Równocześnie zaś z chwilą kapitulacji w Compiègne, ucieczki Wilhelma II do Holandii, ogłoszenia niemieckiej republiki przez socjalistę Scheidemanna, ten sam żołnierz frontowy, który jeszcze wczoraj był szpikiem walczącego narodu, stał się nagle zbędną i bezwartościową, pozbawioną perspektyw życiowych jednostką.

Bez konkretnego celu, bezradny Hitler wrócił wtedy do przybranej ojczyzny, do Monachium. Atmosfera w powojennej Bawarii, podobnie zresztą jak i w innych krajach niemieckich, naładowana była elektrycznością. Właśnie w Monachium Kurt Eisner proklamuje „republikę ludową" typu bolszewickiego. Chwilowo Hitler ma znowu powód do dziękczynienia Opatrzności: ochotnicze wojsko bawarskie pod dowództwem późniejszego generała von Eppa likwiduje siłą tę republikę. Mimo to z coraz większym trudem przychodzi orientować się w tym tak niedawno jeszcze wittelsbachowskim, spokojnym, liberalnym i wzorowo funkcjonującym środowisku wielkomiejskim, jakim było Monachium. Teraz krzyżują się tu prądy narodowo-prawicowe z rewolucyjno-radykalnymi, ścierając się ze sobą na każdym kroku. Na zebraniach publicznych, na ulicy, w piwiarniach i kawiarniach zdemobilizowani wojskowi zarzucają politykom, a politycy generałom i wojsku, dopuszczenie do tak nagłej i potwornej katastrofy wojennej. Gniew większości Niemców nie kieruje się w stronę tych, którzy tak lekkomyślnie wywołali wojnę, ale uderza w tych, którzy ją po tylu zwycięstwach przegrali, grzebiąc ostatecznie nadzieję pokoju dyktowanego przez Niemców! Cały kraj roi się od licznych i różnorodnych tajnych organizacji. Jedna z nich, działająca pod nazwą Organisation Consul, kierowana przez kapitana Röhma wymordowała wielu czołowych polityków, tak znanych jak Erzberger czy Rathenau, jako rzekomych winowajców kapitulacji Niemiec.

W tej atmosferze powszechnej demoralizacji, rozprzężenia politycznego i upadku gospodarczego, przerażająco potęgującej się inflacji i deprecjacji pieniądza, w atmosferze codziennego ujadania się, fantastycznych oskarżeń, spisków konspiracyjnych i zamachów, Hitler odczuwa stopniową regenerację własnej osobowości; czuje się jak ryba uwolniona z zatłoczonej sieci i wpuszczona na głęboką wodę. Jego samopoczucie podnosi się jeszcze wyraźniej, gdy znajduje zatrudnienie w monachijskiej dywizji generała von Eppa w charakterze „oficera wychowawczego" – jak

byśmy dziś powiedzieli, „politruka". Hitler odczuł – po raz pierwszy w życiu – coś w rodzaju społecznego zapotrzebowania na swoje wrodzone uzdolnienia. Mając dość znaczną swobodę działania, przemawiał on teraz nie tylko do dywizyjnych kolegów i żołnierzy, ale również stykał się coraz częściej z różnymi jawnymi i tajnymi, narodowymi i socjalistycznymi, poważnymi lub tylko efemerydalnymi organizacjami cywilnymi, które po nagłym obaleniu starych, omszałych tradycją i autorytetem władz rządzących i partii, powstawały w całych Niemczech jak grzyby po ulewnym deszczu. Hitler zatracał też stopniowo swój wyraźny kompleks niższości wobec rodowitych obywateli Rzeszy Niemieckiej, w szczególności wobec wysokich rangą wojskowych [1], szybko zdobywał zaufanie przełożonych, dostrzegających w nim przydatny instrument do propagowania opinii o bezgranicznych zasługach i poświęceniach armii niemieckich w latach wojny oraz do spychania winy za przegraną wojnę na polityków cywilnych i na wszelkie siły anonimowe, a więc na socjaldemokratów, na komunistów, na Żydów i inne organizacje międzynarodowe. A choć może słuszne jest twierdzenie jednego z niemieckich historyków narodowego socjalizmu, że Hitler przejawiał osobiście wiele cech odpychających, a samo jego oblicze „było dla jego protektorów i zwolenników powodem głębokiego zakłopotania" [2], to jednak należy przyznać, że Hitler posiadał nieprzeciętny dar wyczuwania podświadomych pragnień i myśli szerokich rzesz ludności niemieckiej, które to pragnienia przetwarzał umiejętnie i zręcznie na aktualne hasła demagogiczne i bojowe. W powszechnym chaosie nieskoordynowanych i wrogich prądów politycznych Hitler obiecywał zawiedzionemu i zgnębionemu narodowi wybranemu otwarcie drogi – poprzez rozstępujące się fale Morza Czerwonego – do zwycięskiej i tryumfującej ojczyzny niemieckiej.

---

[1] Opisy pierwszych spotkań Hitlera z gen. Ludendorffem w domu G. Strassera – zob: O. Strasser, *Hitler et moi*, Paris 1940, X[e] Ed.

[2] K. Heiden, *Geschichte des National-Sozialismus*, Berlin 1932, s. 76.

W takich codziennych zmaganiach, wysiłkach i pojedynkach słownych, nie wychodzących jeszcze poza ramy ściśle lokalne, Hitler natknął się na małą organizację, stworzoną przez Antona Drexlera, o podobnych tendencjach i celach do jego własnych, tylko jeszcze symplicystyczniej sformułowanych. Po kilku krasomówczych wystąpieniach na zebraniach tej grupy, Hitler został dokooptowany do jej zarządu i nadał jej nazwę National–Sozialistische Deutsche Arbeiter Partei – w skrócie NSDAP. Odtąd Hitler pracował z wielką energią i gorliwością nad pomnożeniem jej szeregów i znaczenia, a w grudniu 1920 r. – przy wydatnym poparciu finansowym władz wojskowych – nabył dla swojej partii upadający tygodnik „Völkischer Beobachter", czyniąc go oficjalnym organem prasowym rodzącego się ruchu narodowo-socjalistycznego. Aktywizując wciąż swoją działalność polityczną i propagandową partia narodowych socjalistów liczyła w połowie 1921 r. ok. 6000 członków, a więc stokrotnie więcej niż w początkowym okresie Drexlerowskim.

Ten gwałtowny rozwój poczyna niepokoić inne partie i organizacje, szczególnie lewicowe, przeciwko którym skierowane było ostrze ruchu hitlerowskiego. Napięcia rosły ustawicznie, a na zebraniach i wiecach publicznych dochodziło często do bójek. Dlatego też już na początku sierpnia 1921 r. Hitler przy czynnej współpracy i pomocy swego serdecznego przyjaciela, kapitana Ernsta Röhma, tworzy umundurowaną partyjną bojówkę pod nazwą SA, tj. Sturm Abteilung. Gdy to przedsięwzięcie – w warunkach generalnej demobilizacji lubującego się w formacjach wojskowych społeczeństwa – cieszy się wielkim powodzeniem, powstaje pomiędzy przyjaciółmi ostra różnica zdań. Gdy Röhm, związany ściśle z wojskiem, usiłuje przetworzyć tę organizację w zaczątek zakonspirowanej armii niemieckiej finansowanej i uzależnionej od dowództwa wojskowego, Hitler chce widzieć w SA formalnie ochronę fizyczną działań politycznych partii, a w istocie rzeczy siłę zbrojną w swojej dyspozycji.

Partia narodowo-socjalistyczna czuje się na tyle silna, że

pod patronatem gen. Ludendorffa podejmuje w Monachium 8 listopada 1923 r. próbę zamachu stanu. Ale ani gen. Ludendorff, ani Hitler nie wykazali w tym przypadku tej dokładności i precyzji przygotowań, jaką odznaczał się np. Stalin. Zamach nazistowski został zduszony w zarodku. Ludendorff stawił się do dyspozycji władz i został w procesie uniewinniony. Hitler, który początkowo ukrywał się w Uffing, rzekomo u panny Hanfstängel [3], został 1 kwietnia 1924 r. skazany na pięć lat twierdzy z możnością skrócenia kary do 6 miesięcy w razie wzorowego zachowania się skazanego. Ten proces monachijski stał się równocześnie wielką trybuną propagandową ruchu narodowo-socjalistycznego. Była to wolna mównica publiczna, zezwalająca Hitlerowi na patriotyczne szkalowanie władz państwowych i stronnictw lewicowych, przy równoczesnym głoszeniu chwały wojska i peanów na cześć narodu niemieckiego. Cała poprzednia, tak kosztowna propaganda nie zdołała spopularyzować partii nazistowskiej w takim stopniu, jak ten sensacyjny proces Hitlera. Od razu stał się on bohaterem narodu cierpiącego zarówno pod naciskiem skutków wojny światowej, jak też i z powodu jawnej nieudolności i bezradności władz centralnych. Już 20 grudnia 1924 r. Hitler został zwolniony z najmilszego i najliberalniejszego więzienia w Landshut. Niezwłocznie też przystąpił do odbudowy i szeroko zakrojonej rozbudowy NSDAP i jej bojówek.

W latach 1925–27 ogłasza swoją dwutomową pracę pt. *Mein Kampf*, dyktowaną Hessowi w więzieniu. O jej genezie i wartości pisze Otto Strasser: „był to chaos elementarnych komunałów i niedowarzonych reminiscencji uczniowskich, zaprawiony myślami, zasadami i tendencjami takich pisarzy niemieckich, jak H.S.Chamberlain, F.Nietzsche, R.Ratzel, a przede wszystkim szefa wiedeńskiej partii chrześcijańsko-socjalnej K.Luegera" [4]. Temu płytkiemu potokowi słów Hitlera usiłował mozolnie nadać

[3] O. Strasser, *op.cit*, s. 54-55.

[4] A. Hitler, *Mein Kampf*, Complete and unabridged, fully annotated, New York 1940.

pewien sens polityczny i zwartość pisarską wielki erudyta, b. ksiądz a aktualnie nauczyciel, zwolennik ruchu nazistowskiego, Staempfle. Doraźnie Hitler przyjmował ochoczo tę współpracę redakcyjną, ale później nie wybaczył mu znajomości praoryginału i wszechstronnej korekty swego dzieła. Toteż w okresie krwawej czystki, 30 czerwca 1934 roku, kazał Staempflego zgładzić.

Wielu czytelników i krytyków wypowiada swój bezwzględnie negatywny sąd o tej książce. Georges Valois pisze o *Mein Kampf* lapidarnie: ktokolwiek czytał tę książkę, jedyne dzieło Führera, musiał być przerażony ubóstwem intelektualnym autora [5]. Tym niemniej w opracowaniu tym – obok takich ogólnikowych tez jak odrzucenie w Niemczech jako zgubnych wszelkich obcych wpływów: katolickich, socjalistycznych, żydowskich i komunistycznych, jak podporządkowanie interesów i uprawnień jednostki potrzebom zbiorowości, jak ustalenie kierowniczej roli państwa w zakresie politycznym, gospodarczym i kulturalnym, jak konieczność unicestwienia wszelkiej opozycji i przejęcia rządów w ręce elity partii narodowo-socjalistycznej itp. – można znaleźć kilka cennych i ważnych wskazówek znamionujących charakter i tendencje Hitlera, który rzeczywiście zagarnął niebawem totalną władzę w Niemczech za aprobatą olbrzymiej większości narodu. Tak więc jest interesujące, że Hitler obwinił w *Mein Kampf* b.kanclerza Reichu, Bethmanna–Hollwega o dopuszczenie w 1914 r. do równoczesnej wojny Niemiec na dwóch różnych i odległych frontach: zachodnim i wschodnim. Jeżeli głównym celem miało być rozgromienie Anglii – pouczał Hitler – to trzeba było szukać porozumienia z Rosją i odmówić poparcia Austrii z jej narastającymi wciąż konfliktami na Wschodzie; jeżeli zaś atak niemiecki miał być skierowany na Rosję – co Hitler uważa za właściwsze i lepsze z punktu widzenia interesów niemieckich, należało dążyć do przyjaznego i pokojowego współżycia z Anglią. Ale pomieszanie obu tych tendencji

[5] G. Valois, *Guerre ou blocus économique?*, Paris 1939.

politycznych musiało doprowadzić do katastrofy 1918 roku. W pracy tej ujawnił Hitler swoje niepohamowane zamiary agresywne celem zdobycia w Europie „przestrzeni życiowej" dla Niemiec, które reprezentując najdoskonalszą i najszlachetniejszą rasę ludzką mają uzasadnione prawo do hegemonii politycznej w świecie. Te i podobne wskazania, rozpropagowane szeroko i umiejętnie, stały się wówczas wyznaniem wiary i pragnieniem dużej rzeszy społeczeństwa niemieckiego oraz tym magnesem, który przyciągał zwolenników do partii nazistowskiej.

Z upływem lat rozwinęły się bujne talenty aktorskie i krasomówcze Hitlera. Na wzór uroczystych i dumnych wystąpień „czarnych koszul" Mussoliniego noszących starożytne insygnia liktorskie przeplatane milicyjnymi płaszczami i kapeluszami napoleońskimi, również Hitler organizował paradne masówki „brunatnych koszul" zdobnych w „hacken-kreuze", masówki obramione zbrojnymi oddziałami SA i SS, zarówno dla podniesienia ducha partii, jak i dla demonstrowania wobec ewentualnych, utajonych przeciwników oraz obcych obserwatorów swojej miażdżącej siły i potęgi. Na takich zmilitaryzowanych zgromadzeniach Hitler przemawiał często i wyczerpująco, głównie – jak pisze jeden z autorów angielskich[6] – aby wyzwolić w sobie i w słuchaczach stan najwyższej i bezkrytycznej egzaltacji; w takich momentach ujawniały się w nim jakby zdolności hipnotyzerskie. Znałem kilku wybitnych i politycznie wyrobionych Niemców, ustosunkowanych krytycznie do Führera, którzy przyznawali się do tego, że obecni przy tyradach Hitlera w pałacu sportowym w Berlinie, ulegali jego magicznemu wpływowi; ale gdy dnia następnego czytali te same wypowiedzi w gazetach, zdumiewali się nad płytkością myśli i banalną frazeologią mówcy.

Równocześnie Hitler potrafił wiązać ludzi ze sobą i ze swoją partią. U samego szczytu hierarchicznej drabiny kierował niepodzielnie, wyrokujący apodyktycznie o wszystkim Führer, niezrównany herszt gangu; w najbliższym

[6] A. Bullock, *A Study in Tyranny*, London 1952.

jego otoczeniu „zbójców było dwunastu", wśród których najznaczniejszą rolę odgrywali: Göring, Hess, dr Goebbels, Himmler, Rosenberg, a nieco później i handlarz win Ribbentrop. Ta elita, celem wzmocnienia swojego oddania i wierności Führerowi, opływała we wszystkie, najwymyślniejsze dobra materialne świata. Ten 12-osobowy zespół kierowniczy, oczywiście za aprobatą Hitlera, zaszczepił wśród wyższych funkcjonariuszy partyjnych i państwowych system bezwzględnego służalstwa i karierowiczostwa, wolny od wszelkich względów moralnych; tryby maszyny państwowej i partyjnej były w ten sposób stale i świetnie naoliwione. Ten system wymagał oczywiście bardzo znacznych funduszów dyspozycyjnych. Za protekcją wodza reakcyjnej prawicy, Hugenberga, banki niemieckie i niemieckie organizacje wielkoprzemysłowe uruchomiły poważne środki pieniężne na rzecz ruchu narodowo-socjalistycznego.

Odtąd wszystko przebiegało sprawnie i planowo. Znaleźli się więc ludzie, którzy na zlecenie kierownictwa nazistowskiego podpalili Reichstag w 1933 roku, którzy dnia 30 czerwca 1934 przeprowadzili krwawą czystkę, mordując domniemanych wrogów i niepewnych przyjaciół Hitlera jak Röhm, G. Strasser, gen. Schleicher i jego żona, von Kahr, A. Probst i wielu innych. Ten sam gatunek ludzi organizował obozy śmierci dla milionów niewinnych, dokonywał aktów prowokacji, przeprowadzał śmiertelne doświadczenia na żywych osobach, fałszował notorycznie prawdę i paczył poczucie sprawiedliwości. I tu cele uświęcały najnikczemniejsze środki.

Wypadki zewnętrzne i wewnętrzne lat trzydziestych przyczyniły się walnie do zdobycia w Niemczech wszechwładzy przez Hitlera. W pierwszym rzędzie zaważył na fali zjawisk politycznych powszechny i ciężki kryzys gospodarczy, który w Niemczech miał szczególnie ostry przebieg. Przemysł i handel, rolnictwo i transport, pieniądz i banki, dźwignięte z takim trudem z powojennych destrukcji, znalazły się ponownie w sytuacji krytycznej. Szczególnie groźnie przedstawiał się stan zatrudnienia; bezrobocie

całkowite i częściowe rosło z miesiąca na miesiąc w skali geometrycznej. Przy wciąż malejącej produkcji koszty własne podnosiły się, a ceny spadały. Waluta zachwiała się ponownie. Bankructwa mnożyły się w tysiące, a handel zagraniczny zamierał pod ciosami rozwielmożnionej autarkii. Najgorsze ze wszystkiego było to, że rządy niemieckie w obliczu tej wielkiej katastrofy były bezradne; szofer odjął rękę od kierownicy i wierząc w zasadę, że „jakoś to będzie", oczekiwał cudu samouzdrowienia gospodarki narodowej. Do tego wszystkiego dołączały się przeróżne klęski polityczne. Na forum międzynarodowym Niemcy traktowane były jako mocarstwo drugorzędne. Były dłużnikiem Zachodu, a nie umiały wywiązać się z zobowiązań starych i nowych. Podjęta w 1931 r. próba stworzenia – na razie – unii celnej z Austrią została przegrana na całej linii. Wszystko to otwierało przed Hitlerem-opozycjonistą bezgraniczne pole do zjadliwej krytyki i demagogii, które jednały mu miliony nowych zwolenników. Wszyscy niezadowoleni lub pokrzywdzeni gromadzili się pod sztandarami swastyki, zwłaszcza że ruch nazistowski szafował hojnie nadzieją, która pocznie się urzeczywistniać, gdy tylko Hitler uzyska władzę w państwie.

To stało się faktem 30 stycznia 1933 roku. Jego rząd – nie oglądając się na jakiekolwiek zasady ekonomiczne, na zobowiązania międzynarodowe czy wewnętrzne, na postulaty przyjaciół czy wrogów partii – począł gorączkowo regenerować gospodarstwo niemieckie głównie poprzez dozbrajanie armii i uzyskał wyraźny i silny spadek liczby bezrobotnych. Ale te i wiele innych faktów z zakresu polityki wewnętrznej nie mogłyby ugruntować istotnej wszechwładzy Führera w Niemczech, jego kultu i wiary w jego nieomylność, w jego „szczęśliwą gwiazdę", gdyby nie wprost nie kończące się pasmo niczym nie uzasadnionych a czasem bezmyślnych i złowrogich w perspektywie czasu kapitulacji państw zachodnich, kapitulacji, które często były poczytywane za cudowne i osobiste osiągnięcia Führera, za tryumfy wskrzeszonego z sag starogermańskich bohatera narodowego, Adolfa Hitlera.

Ten postępujący paraliż woli, ta nieudolność przewidywania najbliższej przyszłości zachodnich demokracji przejawiła się szczególnie wyraźnie od 1935 r., gdy Hitler zdołał już rozwinąć potencjał wojenny do tego stopnia, że alternatywy polityczne wahały się tylko pomiędzy akceptowaniem bezprawnych i wciąż nowych dokonań Hitlera a natychmiastową wojną. Czas grał oczywiście na korzyść Hitlera, gdyż potencjał wojenny Niemiec wzrastał prędzej niż Zachodu. Pewne refleksje musiał wywoływać fakt, że Niemcy w 1933 r. nagle i pozornie bez głębszego uzasadnienia wycofały się z Komisji Rozbrojeniowej i z Ligi Narodów. Odtąd wywiady sygnalizowały swoim rządom, że tajne zbrojenia Niemiec przybierają gorączkowe tempo. W 1935 r. łamiąc najistotniejsze zobowiązania traktatowe Führer zapowiada przywrócenie obowiązkowej i powszechnej służby wojskowej, a Göring obwieszcza restytucję lotnictwa wojskowego. W tym samym roku Hitler święci jeszcze dwa inne, ważne osiągnięcia polityczne: po zwycięskim plebiscycie bogaty okręg Saary wraca do Niemiec, a Wielka Brytania – łamiąc jawnie klauzule traktatu wersalskiego – zawiera z Hitlerem pakt co do zbrojeń morskich.

I oto toczy się lawina coraz czelniejszych wymagań Hitlera, i to nie tylko łamiących fundamentalne międzynarodowe zobowiązania Niemiec, ale zagrażających wprost samym podstawom pokoju w Europie. Tak więc zarządza się – groźną dla Francji – remilitaryzację Nadrenii, anuluje się jednostronnie pakt lokarneński, zajmuje się zbrojną ręką Austrię, której niezawisłość była wielokrotnie i uroczyście gwarantowana międzynarodowo; tak dochodzi do haniebnego układu monachijskiego, odbierającego Czechom Sudety, układu ratyfikowanego pospiesznie i jednomyślnie przez Izbę francuską, co jak pisze ambasador N.Henderson, „podniosło niebywale autorytet Hitlera w społeczeństwie niemieckim" [7]. W parę miesięcy później następuje – przeprowadzona gwałtem – aneksja

[7] N. Henderson, *Deux ans avec Hitler*, Paris 1940.

Czech i Moraw, a faktycznie i Słowacji, aneksja Kłajpedy; wreszcie w okresie bezpośrednio przedwojennym i wojennym pękają ostatnie tamy jakiegokolwiek ładu prawnego, a całą Europę zalewa potop niewiarygodnych okrucieństw i zbrodni, gwałtów i samowoli realizowanych – jakby na urągowisko cywilizacji XX wieku – z precyzją niemiecką, szczycącą się wyczynami rzeczywiście jednorazowymi w dziejach świata!

Na podstawie opinii obcych obserwatorów można przyjąć, że wybory i plebiscyty przeprowadzane w Niemczech od 1928 r. były dość wiernym odbiciem rosnącej popularności Hitlera i jego partii. Tak więc w wyborach do Reichstagu w 1928 r. naziści zdobyli zaledwie 12 mandatów; w dwa lata później, we wrześniu 1930 r., na listy hitlerowskie padło 6,4 miliona głosów, co zapewniło im 107 miejsc w parlamencie. W marcu 1932 r. odbywają się wybory prezydenta Rzeszy. Hitler staje jako kontrkandydat „wielkiego marszałka" von Hindenburga. Wytwarza się wówczas iście paradoksalna sytuacja wewnętrzno-polityczna: konserwatystę i junkra pruskiego, monarchistę i militarystę von Hindenburga popiera cały obóz demokratyczny, oczywiście bez komunistów, a byłego kaprala, notorycznego burzyciela istniejącego porządku, krętacza i demagoga, rzekomo narodowego socjalistę, podtrzymuje walnie cała reakcja społeczna. W drugim głosowaniu prezydenturę zdobywa Hindenburg, za którym opowiada się 19,3 mln głosów; ale Hitler uzyskuje 13,4 mln głosów, co wszyscy uważają jednomyślnie za olbrzymi sukces osobisty Hitlera. Odtąd też liczba wyznawców wiary hitlerowskiej rośnie lawinowo.

Niebawem Führer obejmuje urząd i pełnię władzy kanclerskiej, obsadzając swoimi zaufanymi wszystkie kluczowe pozycje w państwie. Po śmierci Hindenburga władza i autorytet Hitlera wzrasta niepomiernie. Prawie całe społeczeństwo popiera teraz z przekonania posunięcia i poglądy Führera. Przeprowadza się wówczas w Niemczech kilka głosowań o charakterze plebiscytów, mających potwierdzić w opinii światowej pełną aprobatę społe-

czeństwa dla zaskakujących decyzji władz państwowych i partii. W plebiscytach tych liczba popierających Hitlera sięga teraz ok. 40 mln uprawnionych obywateli, co reprezentowało okrągło 99% głosujących.

Te nie kończące się i zawrotne tryumfy Hitlera i klęski jego ostatnich przeciwników wpływają wyraźnie demoralizująco na psychikę Hitlera. Nie respektuje on już jakichkolwiek granic moralnych czy politycznych, które by powstrzymywały go przed jednostronnymi, prowokacyjnymi decyzjami. Ani rady ludzi bardziej zrównoważonych, ani nauki płynące z historii, ani wcześniejsze własne i dobrowolne zapewnienia Führera, ani nawet podszepty zdrowego rozsądku nie potrafiły już zahamować wybuchów jego wściekłości albo wręcz zbrodniczych poczynań, które w końcu musiały zwrócić swoje ostrze przeciwko Niemcom. Raz jeszcze nawraca do składania publicznych podziękowań Opatrzności, pod warunkiem jednak ulegania jego własnym planom i podnietom. Tak dziękuje w Linzu 12 marca 1938 r. za „zlecenie mu przez Opatrzność przywrócenia jego drogiej austriackiej ojczyzny państwu niemieckiemu" [8]; później dziękuje za wyzwolenie Sudetów, za zwiększenie niemieckiej „przestrzeni życiowej" przez zagarnięcie Czech i Moraw, przez nowy podział Polski, przez zagarnięcie „pragermańskich" krajów: Danii, Norwegii, Holandii i Belgii. Wreszcie w 1940 r. – po deklaracji brytyjskiej, że pomimo załamania się Francji wojna trwa nadal – w przemówieniu z 9 listopada dziękuje po raz ostatni Opatrzności za dożycie tej chwili, w której „nie istnieje już na świecie taka kombinacja sił, by mogła dorównać siłom Niemiec i ich sprzymierzeńców". Oto tragiczne zaślepienie i całkowity brak poczucia samokrytycyzmu.

Ci spośród współpracowników, którzy na wskroś przejrzeli duszę i charakter Hitlera, i ci obcy, którzy musieli z tytułu swoich funkcji współdziałać z nim bliżej, wyrobili sobie dość zbliżony sąd o niemieckim Führerze. Niektórzy

[8] *Internationale Politik 1937–38*, Essen 1942, t. V., s. 459.

z Niemców poznali się na nim i jego dwunastu towarzyszach [9] wcześniej, ale byli silnie skrępowani w wypowiadaniu swojego zdania; obcy mogli swobodnie głosić swoje poglądy, ale przejrzeli grę tego aktora za późno. Hermann Rauschning, szef hitlerowców gdańskich, który początkowo ufał słowom i zamiarom wodza, gdy go „rozgryzł" i opuścił, powiedział o Hitlerze na podstawie jego własnych wyznań i wypowiedzi:

Nic cofnie się on przed niczym, nie uznaje prawa narodów, nie uszanuje ani umów, ani zobowiązań, które mogłyby przeszkodzić mu w wyzyskaniu na swoją korzyść każdej nadarzającej się okazji politycznej [10].

Podobne cechy przypisuje mu K.Heiden czy O.Strasser, podkreślając silnie jego egoizm i intryganctwo, jego przebiegłość i chytrość oraz zdolność izolowania każdego chwilowego przeciwnika czy oponenta. Na te maskowane tendencje Hitlera przygotowania krwawej rozprawy wojennej zwraca uwagę opinii europejskiej Winston Churchill [11]. Znacznie dosadniejszą charakterystykę Hitlera kreślił w swoich raportach ambasador francuski, François Poncet. Pisze on:

Nie mam najmniejszych złudzeń co do jego charakteru. Jest to hipokryta i krętacz, wycofujący się z każdego danego zapewnienia. Sprawia mu wewnętrzne zadowolenie, gdy pochylony nad kartą świata snuje plany burzenia państw i eksterminacji całych narodów [12].

Wielu innych obcych i bezstronnych obserwatorów potwierdza, że dominowała w nim niepohamowana próżność i miłość własna, niezaspokojony głód dokonywania „jednorazowych wyczynów" mających przetrwać wieki. Sława napoleońska spędzała mu sen z powiek; wciąż szukał porównania z czynami Cromwella albo z osiągnięciami Napoleona. Ale jego dusza, umysłowość i wewnętrzna kultura dalekie były od cech, które znamionowały Napoleona, szczególnie w czasach jego klęski i upadku. Do tej wielkości Hitler nigdy nie dorastał.

Najbardziej totalny dyktator Niemiec, Adolf Hitler,

[9] O. Dutch, *Les 12 Apôtres d'Hitler*, trad. de l'anglais, Paris 1940.
[10] H. Rausching, *Hitler ni a dit*, Paris 1939.
[11] W. Churchill, *Les Grands Contemporains*, 2[e] Ed. Paris 1939, s. 204–208.
[12] *Le Livre Jaune Français. Documents Diplomatiques*, Paris 1939, s. 29–30.

rozpoczynał swoje 25-letnie dzieje od socjalizmu, a sprzymierzył się i był popierany i finansowany przez czynniki krańcowo reakcyjne i szowinistyczne; głosił prawa i prymat społeczny ludzi pracy, a dziesiątki tysięcy ich przedstawicieli konało powoli w hitlerowskich obozach tortur i najcięższej, przymusowej pracy; mówił z patetycznym uwielbieniem o narodzie niemieckim, ale wielu jego zasłużonych przywódców polecił wyprzeć z życia publicznego albo nawet zamordować; podeptał z pogardą wszystkie zobowiązania nałożone przez traktat wersalski na Niemcy, ale domagał się ścisłego wykonania tych klauzul, które mogły przynieść korzyść Niemcom; z własnej inicjatywy zawarł cały szereg paktów o nieagresji, ale nie dotrzymał ani jednego; twierdził wielokrotnie, że pragnie zjednoczyć w jednym państwie wyłącznie Niemców, ale anektował przemocą wiele innych narodów; zapewniał nieustannie, że celem jego polityki jest nienaruszalny pokój, a wywołał najbardziej bezmyślną, bezcelową i najkrwawszą z wojen w świecie; wygłaszał kazania o wyższości rasy niemieckiej, aż poniżył ją fatalnie w opinii całego cywilizowanego świata! Oto klęskowy bilans działalności tego człowieka, którego wielki i dojrzały naród uczynił swoim wodzem i panem.

Wśród tylu odstręczających wad i tylu obciążających przywar charakteru, Hitler – trzeba to przyznać – miał, nieliczne wprawdzie, chwile jaśniejszych przebłysków w swoim sumieniu i w swoim umyśle. Tak np. 1 marca 1935 roku, w dniu przyłączenia okręgu Saary do Niemiec – na podstawie tak zwalczanego traktatu wersalskiego – Führer przemawiając w Saarbrücken, pouczał słuchaczy:

Chwila obecna może być wielką nauką dla tych wszystkich, którzy terrorem i gwałtem pragną zniszczyć obcy naród albo wydrzeć z niego część narodowej substancji. Biada tym mężom stanu, którzy z historii Saary niczego nauczyć się nie chcą. Spowodują oni ogromne cierpienia i niedole w narodach, ale zamiast osiągnięcia swoich celów zostaną ostatecznie sami zwyciężeni, a ich imię zostanie hańbą przypieczętowane.

Lata 1939–45 stały się tragicznym urzeczywistnieniem tych proroczych słów w stosunku do samego Adolfa Hitlera i do Trzeciej Rzeszy.

Józef Stalin

Od czasu rozkładu imperium Dżyngis–Chana, prawie przez siedem wieków Azjaci byli w defensywie w stosunku do Europy. To przecież Europejczycy zagarnęli wielkie i słabo zaludnione obszary Azji, od Uralu aż po wybrzeża Oceanu Spokojnego; oni też władali Indiami, Indochinami i Indonezją, oni tolerowali bezsilne i uległe rządy Turcji, Persji i Afganistanu, oni wreszcie wtrącali się do wszystkiego w najludniejszym kraju świata, w Chinach, podejmując sporadycznie „wyprawy karne" przeciwko każdemu przejawowi opozycji lub buntu w tym kraju. Nieoczekiwanie, zaciągnięty dług z wysokimi procentami poczęła Azja spłacać Europie od początku XX stulecia. Najpierw Japonia – korzystając z obcej nauki – pokonała wielkie europejskie mocarstwo, rozbijając doszczętnie mit przyrodzonej jakoby przewagi „białych"; w ciągu następnych 50 lat wyzwalały się spod supremacji europejskiej niepodległe państwa Azji, jedno po drugim. Z błyskawiczną szybkością realizowało się nie tylko hasło „Azja dla Azjatów", ale ponadto ten „produkt azjatycki" poczyna odgrywać coraz większą rolę w „eksporcie". Wartości i charakter tego produktu mogą być krańcowo różne, od samowładcy największego terytorialnie państwa europejskiego, tj. Związku Radzieckiego, aż po szczególnie ważną pozycję sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych. Właśnie ten fenomen rosyjski, zwany Stalinem, mówiący do ministra japońskiego o sobie „ ja toże Azjat", zaważył na losach milionów ludzi, a nawet na losach całej kuli ziemskiej silniej i bardziej złowieszczo niż wszystko inne, co dokonało się lub przyszło w czasach ostatnich z Azji. Podobnie jak Zachód tworzył przez całe stulecia podwaliny

dla zasady praworządności, dla idei demokracji, dla kultu nauki i techniki, tak Wschód, Bliski i Daleki, przechodząc najczęściej do porządku nad prawami jednostki, wypielęgnował system absolutnej, prawie sakralnej władzy, naginającej wszystkich i wszystko do wymagań własnej woli i własnego – szerszego lub ciaśniejszego – światopoglądu.

Takim produktem Wschodu był Gruzin z pochodzenia, Josip Wissarionowicz Dżugaszwili – Stalin, urodzony w 1879 r. w pobliżu Tyflisu, nie władający do 11 roku życia językiem rosyjskim. Od wczesnej młodości był opanowany żądzą wielkiej, światoburczej działalności, podniecaną wprost chorobliwą ambicją. Rychło też ocenił, że najszersze perspektywy wyżycia może mu otworzyć wielka i tak bardzo zacofana Rosja, nabrzmiała na przełomie wieków XIX i XX palącą problematyką socjalną. Całym zasobem raczej swoich myśli niż uczuć przylgnął więc do Rosji, zwłaszcza że nie wymagało to od niego zaparcia się wyznania, iż jest „toże Azjat".

Warunki startu do działalności społeczno-politycznej miał dość niekorzystne. Sam jego wygląd zewnętrzny nie miał w sobie nic pociągającego. Według relacji Djilasa [1] Stalin był małego wzrostu i źle zbudowany, miał zbyt długie ręce i nogi, nieforemny tułów, był miernym mówcą, oschłym i monotonnym, a maska jego twarzy nie posiadała szczególnego wyrazu. Brak gruntownego wykształcenia wydawał się pogarszać te pasywa. W latach późniejszych, gdy należał już do czołówki bolszewickiej, nie mógł równać się pod względem intelektualnym, a nawet tylko pod względem znajomości świata ani z Leninem, ani z Trockim, ani z Bucharinem i wieloma innymi. A jednak musiały tkwić w tym człowieku jakieś niezwykłe siły motoryczne, które podporządkowały bezapelacyjnie jego tyrańskiej i nienasyconej władzy na przeciąg więcej niż ćwierć wieku jedno z największych, etnicznie najbardziej zróżnicowanych, a więc i trudnych do rządzenia, państw świata.

Był niewątpliwie mistrzem budzenia ślepej nienawiści

[1] M. Djilas, *Conversations with Stalin*, New York 1962.

i potęgowania rosyjskich uczuć narodowych, a równocześnie mistrzem rzucania podejrzeń i siania fikcyjnych oskarżeń. Tylko częściowo tłumaczy to jego powodzenie w specyficznym rosyjskim środowisku. Obcy chwalca Stalina, Francesco Nitti [2] ocenia wysoko jego energię, jego upartą wolę, jego odwagę, wszechstronną aktywność, a także wyjątkowe talenty organizacyjne i administracyjne. Produktem wtórnym służalczej postawy jego otoczenia było zjawisko wskrzeszenia starych tradycji carskich czy zwyczajów monarchii azjatyckich w odniesieniu do osoby Stalina. Ale i w tych stwierdzeniach nie można zamknąć jego bujnej osobowości. Psychika Azjaty zapuściła w nim głęboko korzenie. Jego reakcje na interesujące go zjawiska czy wydarzenia były szybkie, ostre i zdecydowane, choć z reguły ukrywał skrzętnie wybuchy swoich uczuć i myśli pod maską spokoju i obojętności. Wydaje się też, że był pozbawiony wszelkich uczuć humanitarnych i choćby śladów zwykłego ludzkiego sumienia. Jak Iwan Groźny, jak tylu innych władców Rosji potrafił rozgrzeszać się z najpotworniejszych zbrodni drętwą formułą „racji stanu". Był zawsze nieufnym, zawsze czujnym i pracowitym egocentrykiem, a – jak pisał Djilas – za pewne uważał tylko to, co dzierżył mocno i trwale w swojej pięści; wszystko inne było – w jego rozumieniu – potencjalnym wrogiem lub utajonym nieprzyjacielem, który zasługiwał na zniszczenie i wytępienie.

Stając w szeregach partii bolszewickiej, głoszącej walkę na śmierć i życie, był krańcowym wyznawcą jej dogmatyzmu, z tym jednak, że każda z doktryn musiała być zaprawiona jego własną dialektyką. Jego osobowość była mieszaniną współczesności i dawno minionego średniowiecza; szczególnie pielęgnował w sobie instynkty średniowiecznego inkwizytora, takiego, jakiego maluje Dostojewski w *Braciach Karamazow*, a Mikołaj Bierdiajew pisząc znaną książkę *Nowe Średniowiecze* uprzedzał tylko w jasnowidzeniu fakty i wydarzenia ery stalinowskiej. Równocześ-

[2] F. Nitti, *La Désagregation de L'Europe*, Paris 1938.

nie jednak Stalin posiadał dar, tak ważny i często nieodzowny dla polityka, zwykle właściwego przewidywania przyszłości oraz koncentrowania swojej uwagi na zagadnieniu aktualnie najważniejszym.

W przeciwieństwie do tylu innych współczesnych dyktatorów i wodzów, Stalin przemawiał rzadko i umiał długo milczeć, oczekując – jak stary i wytrawny drapieżnik – na właściwy moment działania, zapewniający mu największe, osiągane najmniejszym kosztem zdobycze i korzyści polityczne. Skoro jednak zdecydował się na zabranie głosu, mówił długo i wyczerpująco, posługując się słowami i formułami prostymi i logicznymi, mającymi w sobie coś z ortodoksyjnego katechizmu, wykluczającego z góry wszelkie wątpliwości, a tym bardziej polemikę. Natomiast żywiołowo nie znosił dłuższych wywodów obcych. Oczywiście, iż wszystkie te cechy znamionujące Stalina formowały się stopniowo, rozwijały się, mnożyły i krzepły pod wpływem widocznego powodzenia jego metod działania.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową ten zrusyfikowany Gruzin zapewnił sobie stanowisko w zrusyfikowanej partii bolszewickiej. Od 1912 r. był członkiem Centralnego Komitetu Partii oraz wydawcą – przy wybitnej współpracy Lenina – nielegalnego pisma „Prawda". Nie było to zjawiskiem wyjątkowym, świadczącym o wodzowskich talentach Stalina; partia była nieliczna, konspirująca swoją działalność, toteż chciwie wykorzystywała każdą ruchliwą, bojową i oddaną sprawie jednostkę.

W parę lat później, gdy ferment wojenny poczynał w Rosji wydawać owoce, przewidywania i rachuby Stalina zaczęły się urzeczywistniać. Najmniej popularny w społeczeństwie rosyjskim ruch, prawie hermetycznie odcięty od wielu swoich – przebywających z musu za granicą – przywódców, dysponujący znikomymi środkami materialnymi, stał się w ciągu kilku miesięcy panem sytuacji najpierw w Petrogradzie i Moskwie, a niebawem w całej Rosji. Zwycięska rewolucja październikowa 1917 r. odsunęła wszystkich przeciwników komunizmu na plan dalszy, a swoich chwilowych i przypadkowych wodzów wysunęła

automatycznie na stanowiska czołowe w ginącym bezradnie państwie carów i w gnieździe wszelkiej próchniejącej reakcji społecznej. Te fakty zadecydowały również o karierze Józefa Stalina.

Jednym z pierwszych zarządzeń rewolucjonistów bolszewickich było powołanie do życia 10 X 1917 r. Biura Politycznego Partii (tzw. „Politbiuro"). Była to naczelna instytucja, w której zbiorowo zapadały decyzje co do wszystkich najważniejszych i zasadniczych spraw, wyłaniających się przed rodzącą się w bólach i walkach „władzą ludową". Stalin od samego początku był czynnym członkiem tego biura. W 1921 r., po okresie krwawych walk zewnętrznych i zmagań wewnętrznych, Lenin powierzył mu stanowisko generalnego sekretarza partii, wówczas głównego funkcjonariusza, mającego za zadanie – obok pieczy nad aktami i porządkiem obrad – dopilnowanie wykonania zbiorowych decyzji partii, jej biura politycznego oraz władzy wykonawczej, funkcjonującej pod formą „rady komisarzy ludowych".

Ani Lenin, ani nikt inny w partii nie zdawał sobie w tym czasie sprawy z tego, że Stalin przekształcił tę placówkę w ciągu kilku lat w ognisko skupiające wszystkie nerwy władzy i decyzji w odniesieniu do ludzi i zagadnień całego, rozległego imperium rosyjskiego. Te tendencje hamowane były początkowo zarówno przez ogólną sytuację polityczną Sowietów, jak i przez olbrzymi autorytet osobisty Lenina, który niweczył w zarodku wszelkie intrygi zakulisowe w partii i przejawiające się nagle ostre rywalizacje osobiste. Ale już w styczniu 1924 r. Lenin, obciążony poważną chorobą a ponadto ranny w drugim zamachu, zakończył swoje życie. Teraz wodzowie partii bez Lenina podjęli zażartą walkę gladiatorów pomiędzy sobą o prymat w partii i rządy państwem, walkę tak bezwzględną, tak krwawą i wyzwoloną z wszelkich więzów moralnych, jakiej dotąd nie zapisała jeszcze historia światowa na swoich kartach. Główny jej rozdział rozegrał się w latach 1923–28, choć jest ona zjawiskiem ciągłym, nieodłącznym i charakterystycznym w ustroju komunistycznym.

W początkowym okresie rewolucji atmosfera dla ostrych rozgrywek personalnych nie była sprzyjająca. Przeciwnie, wydawało się, że z posiewu komunistycznego w wersji rosyjskiej wyrasta tylko nieustannie potęgujący się chaos, którego – choćby częściowe – opanowanie pochłaniało wszystkie siły. Produkcja rolna i przemysłowa spadła do kilkunastu procent stanu przedwojennego; milionowe rzesze ludności miejskiej ginęły z głodu i zimna; kronsztadzki korpus marynarki wojennej, tak niedawno jeszcze wielbiony jako „honor i chwała rewolucji październikowej", rozpoczął teraz zbrojną rewoltę. Niepowodzeniem zakończyły się próby zaszczepienia przewrotu bolszewickiego na Łotwie i Węgrzech, w Niemczech i Bułgarii, plany rewolucji światowej trzeba było „odroczyć" na później, a próba komunistycznego wyzwolenia Polski zakończyła się wielką klęską Sowietów. Wszystkie te i inne niepowodzenia nie miały jednak decydującego znaczenia dla obalenia czy załamania się panowania bolszewickiego w imperium rosyjskim. Najsilniejszą podporą nowych rządów w Rosji była obawa ludności wsi i miast przed powrotem znienawidzonej władzy carskiej oraz giętkość polityki Lenina. Takie nastawienie ludności rosyjskiej przyczyniło się nie tylko do rozbicia wojsk „białych", ale pośrednio również do likwidacji garnizonów alianckich, francuskich i angielskich, skoncentrowanych na peryferiach państwa.

Na początku lat dwudziestych jedną z ważniejszych spraw dla Sowietów było nawiązanie normalnych, dyplomatycznych i gospodarczych stosunków z niechętnie do nich ustosunkowanymi wielkimi państwami kapitalistycznymi Europy. Od dostaw urządzeń przemysłowych z tych krajów zależało bowiem tempo odbudowy i rozbudowy gospodarczej Rosji. Z przyjazną pomocą przyszły tu dwa państwa zachodnie: niemiecka Republika Weimarska, która już w 1921 r. zawarła ze Związkiem Radzieckim tajne układy wojskowo-przemysłowe, a 16 kwietnia 1922 r. podpisała w Rapallo jawny traktat, uwzględniający wszystkie istotne postulaty prawne, polityczne i gospodarcze Sowietów – oraz Włochy faszystowskie, które na pod-

stawie układu podpisanego 8 lutego 1924 r. uznały rząd sowiecki „de jure" i przywróciły umowną wymianę handlową. W konsekwencji i inne państwa zachodnioeuropejskie uregulowały w podobny sposób swoje stosunki z komunistyczną Rosją.

Po zgonie Lenina przewodniczącym rady komisarzy ludowych został Rykow. Tym niemniej pierwszoplanową rolę odgrywał Lew Trocki, a obok niego wielkim autorytetem w partii cieszyli się dawni najbliżsi współpracownicy Lenina: Bucharin, Zinowjew, Tomski i Kamieniew. Stalin – w opinii Trockiego – należał wówczas do grupy drugoplanowej. Okazało się jednak, że Stalin, korzystając z ciężkiej choroby Lenina, stworzył i rozbudował po cichu potężny i całkowicie uzależniony od siebie, sobie bezwzględnie oddany aparat biurokratyczny i policyjny, stanowiący istną i samodzielną potęgę w państwie. Aparat ten kierował precyzyjnie wyborami wszelkich stopni, usuwając wszystkich rzeczywistych i domniemanych przeciwników Stalina jako kontrrewolucjonistów i zamaskowanych zdrajców partii. Tworzące się teraz u samego szczytu władzy sowieckiej koalicje i mafie muszą liczyć się z tym faktem dokonanym, przesuwającym Stalina na jedno z czołowych miejsc w partii. Przy jego też udziale powstała niebawem koalicja przeciwko Trockiemu. Jak na komendę „trockizm" został ogłoszony za najcięższe przestępstwo wobec sowieckiej ojczyzny. Sam Trocki został najpierw zesłany na Syberię, później wypędzony z kraju; szukał więc azylu w Turcji, we Francji i w innych krajach, wreszcie osiadł w Meksyku, gdzie w 1940 r. został skrytobójczo zamordowany.

Zaraz po zesłaniu Trockiego uformowały się dwie wrogie mafie. Do jednej należeli Bucharin, Rykow, Stalin i Tomski, do drugiej Rosenfeld–Kamieniew i Apfelbaum–Zinowjew. Gdy na całej linii zwyciężyła grupa pierwsza, Rykow i Stalin wygryźli Bucharina. W 1928 r. Stalin unicestwił Rykowa i Tomskiego. Przy sterze władzy pozostał wówczas sam Stalin, a uległe i pełne pokornego uwielbienia otoczenie kreowało go na kogoś w rodzaju

„wszechwiedzącego i nieomylnego czerwonego papieża", rządzącego bezapelacyjnie komunistami na całym świecie.

O władcach średniowiecznego Bizancjum podawano [3], że swoją wszechwładzę mogli utrzymywać w pełni tylko o tyle, o ile potrafili zmusić możnych swego cesarstwa do bezwzględnego posłuszeństwa; wymagało to od nich, by równocześnie budzili w otoczeniu i w szerokich warstwach społeczeństwa tak podziw, jak i paniczny strach. Tę samą zasadę stosował Stalin. Dążył on do unicestwienia nie tylko rzeczywistych krytyków i konkurentów do władzy, ale ponadto prowadził walkę z upiorami opozycji stworzonymi przez własną wyobraźnię. Takie tendencje podsycane były nieustannie przez potężny aparat propagandy oraz przez wszechobecną i wszystkowiedzącą policję stalinowską. Tak wyginął stopniowo cały legion czołowych i starych bolszewików, taki los spotkał komunistów włoskich, węgierskich, niemieckich, polskich, bułgarskich i in., poszukujących azylu politycznego w Rosji sowieckiej [4]; podobnie wytępieni zostali – niewinni z sowiecko-rosyjskiego punktu widzenia – najwybitniejsi i najbardziej zasłużeni marszałkowie i generałowie, jak Tuchaczewski, Orłow, Jakir, Alsknis, Eideman, Uborewicz i in. Wielu też wybitnych bolszewików, znając dobrze piekło procesów pokazowych, w których zaszczuci oskarżeni musieli jeszcze dodatkowo odgrywać upiorne role samokrytyków z powieści Dostojewskiego, nie czekając na swój nieodwracalny los, popełniało samobójstwa. Inni jeszcze „wrogowie ludu" ginęli masowo i bezimiennie w łagrach pracy przymusowej.

Powoli ale systematycznie zaczęły się zacierać przeciwieństwa pomiędzy komunizmem w wydaniu stalinowskim a faszyzmem niemieckim czy włoskim. Pod wpływem tych tendencji niejedno w życiu Sowietów ulega zasadniczej zmianie. Komunistyczna „urawniłowka" została zarzucona. Szarże i dynstynkcje w wojsku restytuowano. Pieniądz powrócił do przedwojennego znaczenia. Praca akordowa

[3] A. Bailly, *Byzance*, Paris 1939, s. 291.
[4] Yvon, *L'U.R.S.S. telle qu'elle est*, Paris 1938, s. 245.

i premie za wydajność znalazły szersze zastosowanie niż w ustroju kapitalistycznym. Strajki zostały formalnie i praktycznie uniemożliwione. Związki zawodowe przekształciły się w narzędzie wykonujące rozkazy pracodawcy. W zakresie swoich praktycznych kompetencji Najwyższy Sowiet w Związku Radzieckim nie różnił się zasadniczo od Wielkiej Rady Faszystowskiej; obie instytucje miały za główne zadanie dolewanie porcji entuzjazmu do postanowień władzy centralnej. Główną pozycją dochodową budżetu państwowego stał się – tak zdecydowanie potępiany dawniej przez ugrupowania lewicowe – podatek od spożycia. Teraz Stalin powołuje się coraz częściej na wskazania Lenina, ale w rzeczywistości oddala się coraz bardziej od jego nauki, jego polityki i praktyki. Djilas podkreśla też, że Stalin w tym czasie poczyna unikać terminu „Sowiety", „Związek Radziecki", a mówi dobitnie i ostentacyjnie „Rosja" i odwołuje się wciąż do rdzennie rosyjskiego patriotyzmu.

Poważne pismo szwajcarskie „Journal de Genève" [5] informując, że w 1932 r. Sowiety podpisały z Francją pakt nieagresji, a w 1935 r. traktat wzajemnej pomocy zbrojnej, zaznacza, że wobec Francji Stalin stosował wówczas dwulicową politykę; w istocie żywił on jedno gorące pragnienie: porozumienia się z Hitlerem, gdyż tylko on mógł jemu i Rosji zapewnić wielkie zdobycze terytorialne i korzyści polityczne. Zarazem Hitler i Mussolini byli – w pojęciu Stalina – najskuteczniejszym taranem do rozbijania biologicznego prawroga komunizmu, to jest demokracji zachodnich i ich instytucji społeczno-politycznych. W sierpniu 1939 r. postulat ten został spełniony; nie tylko bowiem przez nowy rozbiór Polski położony został kamień węgielny pod gmach trwałej – jak głosili obaj wodzowie – przyjaźni sowiecko-nazistowskiej, ale również powstawały perspektywy wyniszczenia wojną demokracji zachodnich. Jak dalece Stalin pragnął utrwalenia tej sytuacji, świadczy może m.in. fakt, że gdy na przełomie lat 1940–41 Churchill

[5] Z dnia 5 VII 1941.

zaalarmował Stalina, iż Hitler przygotowuje gorączkowo najazd na Związek Radziecki, Stalin nie miał nic lepszego do uczynienia, jak przekazać tę informację Hitlerowi jako dowód niecnych intryg Anglii a bezgranicznego własnego zaufania [6].

Stopniowo zmieniał się też gruntownie cały styl życia sowieckiego „szczytu". Coraz wyraźniej wyodrębniały się dwie zwarte grupy: „aparatczyków" partyjnych i wszechpotężnej ochrony policyjnej dyktatora i systemu, obie opływające w dobra doczesne tego świata. A im wyżej sięgała drabina hierarchii, tym większa była obfitość, tym większy był luksus życia. Generał de Gaulle pisze w swoich pamiętnikach o pobycie w Moskwie i przyjęciach u Stalina w czasie trwającej wojny: „stół w sali jadalnej uderzał nieprawdopodobnym zbytkiem. Dania były wprost oszałamiające". De Gaulle czyni też charakterystyczne uwagi o tych ciągłych, wielogodzinnych bankietach: „Stalin trzydzieści razy powstawał, aby pić zdrowie zaproszonych dygnitarzy rosyjskich". Po toaście dodawał często pod adresem uhonorowanego, który biegł z kieliszkiem w ręku, by „trącić się" z dobrotliwym władcą: „ale rób tak jak trzeba, bo inaczej każę cię powiesić, jak to jest zwyczajem w tym kraju!".

W latach trzydziestych, w okresie nieopisanej nędzy mieszkaniowej, w miastach i osiedlach budowano na pokaz luksusowe, monumentalne pałace, w szczególności zaś uderzające bogactwem gmachy ambasad sowieckich w krajach kapitalistycznych. Otoczenie władcy wielbiąc jego rozum, jego wszechstronną wiedzę, jego nieomylność, naśladowało gesty i „powiedzonka", nawet głos i styl życia „wielkiego Stalina". Wola jego decydowała ostatecznie o wszystkim, nie tylko o polityce i ekonomii, o dyplomacji i strategii, ale również o nauce, sztuce, architekturze, technice, a nawet językoznawstwie czy muzyce. Znany jest szeroko fakt, że gdy Prochorow, członek Białoruskiej Akademii Nauk oświadczył, że muzyka jest przejawem

[6] A. Bregman, *Najlepszy sojusznik Hitlera*, Londyn 1961, s.109.

pozaklasowym, został za to publicznie, z polecenia władcy, ostro przywołany do porządku [7]. A podobnych przykładów można by przytoczyć znacznie więcej [8]. Żaden też z pisarzy dawnych czy współczesnych nie osiągnął tak znacznego powodzenia wydawniczego jak właśnie Stalin, oczywiście przy pomocy usłużnej biurokracji; pisma jego zostały wydane w 75 językach, osiągając sumaryczny nakład 120 milionów egzemplarzy.

Wszystkie te sukcesy i fakty działały wysoce destrukcyjnie na psychikę samego Stalina. Jednym z wielu charakterystycznych przykładów jest przedzierzgnięcie się tego „wodza ludu pracującego" w mundur marszałkowski. Odtąd coraz wyraźniej głosił zasadę, że właśnie wojskowi powinni kierować całą polityką światową, a do wybitnych obcych wojskowych – przytacza to brytyjski marszałek Montgomery of Alamein – lekceważąc ostentacyjnie własnych polityków cywilnych, mówił z naciskiem „we soldiers", my żołnierze. Ten zwyczaj militaryzowania władzy cywilnej jako symbol rozkazodawstwa i ślepego posłuszeństwa przetrwał nawet w okresie postalinowskim; niejeden z nowych przywódców wciągał na siebie, przynajmniej odświętnie, mundur generalski z odznakami „bohatera Związku Radzieckiego". Tak ilustrowano na zewnątrz całą fikcję demokracji w edycji komunistycznej.

Pomimo tego codziennego zakłamania, pomimo tych zbrodniczych obciążeń, pomimo upodlenia ludzi przez czołobitnych aparatczyków wprowadzających azjatycki kult jednostki, pomimo jawnego wyzysku ludzi pracy, trzeba przyznać, że niektóre ważne aktywa polityczne i gospodarcze okresu stalinowskiego były i pozostały dla Rosji nieprzeciętnie duże i trwałe. Przede wszystkim wielkim powodzeniem uwieńczone zostały kolejne stalinowskie pięciolatki przemysłowe; po raz pierwszy wprowadzały one system gospodarczego planowania na skalę państwową.

---

[7] „Prawda" z dn. 1 XI 1934.

[8] Autor niniejszej pracy był zganiony przez wiceministra Salcewicza za to, że pominął nazwisko Stalina w wydanej w 1954 r. książce *Zarys technologii chemicznej węgla kamiennego*.

Spośród przywódców politycznych Europy Stalin pierwszy zorientował się, że paraliż woli wielkich demokracji zachodnich prowadzi nie do utrwalenia pokoju, ale do rozpętania – prędzej czy później – nowej, powszechnej i niszczącej wojny. Dlatego też położył tak wielki nacisk na szybki rozwój sowieckiego przemysłu ciężkiego. Lenin w 1917 r. powiedział, że „Sowiety są fortecą oblężoną przez kapitalizm światowy". Ambicja Stalina wskazywała mu, że można kusić się o odwrócenie tej tezy. Pragnął kapitalistów osaczyć, w razie konieczności w doraźnej i chwilowej koalicji z ruchem faszystowskim, i zmusić ich do bezwarunkowej kapitulacji. Ten program musiał być jednak poprzedzony przez proces wielkiego uprzemysłowienia zasobnej w surowce Rosji. Toteż już dla pierwszej „piatiletki" podejmowanej w 1928 r. zakładał, że przy podwojeniu globalnej wytwórczości sowieckiej, produkcja przemysłu ciężkiego będzie w tym krótkim okresie czasu potrojona. W tych warunkach był dla Stalina obojętny zarówno koszt, jak i ogrom wysiłku społecznego poniesionego dla zrealizowania zamierzonego celu. Popełnione przy tym błędy a nawet nadużycia przeminą z czasem, a uwielokrotniony potencjał przemysłowy Rosji pozostanie i stanie się nieodzownym szczeblem do dalszego, jeszcze potężniejszego rozwoju. Tak się też stało.

Wielu polityków europejskich nie zdawało sobie sprawy z zachodzących w Sowietach przemian strukturalno-gospodarczych, a nawet nieroztropnie je lekceważyło. Tymczasem w okresie dziesięciolecia 1928–38 sumaryczna produkcja sowiecka wzrosła pięciokrotnie, a w niektórych fundamentalnych dziedzinach nawet wielokrotnie silniej. Wystarczy przytoczyć tu jeden wymowny przykład: oto wytwórczość energii elektrycznej podskoczyła w tym czasie 16-krotnie, z 2,5 mld KWh na 40,0 mld KWh rocznie. Tak silnie forsowana akcja uprzemysłowienia miała też wiele skutków wtórnych. Liczba mieszkańców miast poczęła szybko wzrastać; w przededniu pierwszej pięciolatki liczba członków partii komunistycznej Związku Radzieckiego – pomimo natarczywej propagandy – nie dosięgała 900

tysięcy; po pięciu latach liczba ta wzrosła więcej niż dwukrotnie. Stopa życiowa pracowników przemysłowych powoli podnosiła się. Główną jednak konsekwencją był potężny rozwój Czerwonej Armii i stan technicznego uzbrojenia. Ostatecznie więc w sensie społeczno-gospodarczym Stalin stał się w tych latach głównym współtwórcą dzieła przekształcenia cywilizacyjnie zacofanej, społecznie reakcyjnej, politycznie lekceważonej Rosji w prawdziwą potęgę przemysłową o ambicjach wielkiego mocarstwa światowego.

Znacznie mniejszy przełom dokonał się w Rosji sowieckiej w zakresie ugruntowania – nawet swoiście pojętej – demokracji i zabezpieczenia podstawowych praw obywatelskich jednostki. Na początku grudnia 1936 r. nowa ustawa konstytucyjna, tzw. konstytucja stalinowska, zastąpiła wcześniejsze sformułowania, w szczególności „Deklarację praw ludu pracującego i eksploatowanego" ze stycznia 1918 r., następnie „Ogólne zasady konstytucji RSFSR" przyjęte 10 lipca 1918 r. przez Wszechrosyjski Zjazd Rad i wreszcie ustawę konstytucyjną z 1924 r. Konstytucja stalinowska była arcydziełem kunsztu hipokryzji politycznej. Byłoby chyba trudno o sformułowania szersze, liberalniejsze i bardziej przeniknięte duchem demokracji w zakresie uprawnień jednostki, jak i całego społeczeństwa, niż te, które uchwalił prawodawca sowiecki w 1936 r. Konstytucja ta gwarantuje m.in. w art. 125–130 wszelkie swobody osobiste, a więc wolność słowa, wolność zebrań i organizacji, wolność prasy i publikacji itd. Ale każda, nawet najbardziej oględna i nieśmiała próba praktycznego skorzystania z uprawnień konstytucyjnych kończyła się katastrofalnie dla obywateli radzieckich. Konstytucja ta była przeznaczona na pokaz, tak samo jak luksusowe pałace, jak wyposażenie metra moskiewskiego, jak wytworne bankiety na Kremlu albo jak zapewnienia o pokojowej koegzystencji różnych systemów społecznych.

Można też bez wyrzeczenia się poczucia obiektywizmu stwierdzić, że Stalin nie tylko kierował od dawna baczną

uwagę na sprawy polskie, ale że żywił w stosunku do Polski i Polaków najgłębszą niechęć, jeżeli nie zdecydowaną i głęboko zakorzenioną wrogość. Obraz Polaków skreślony tyleż genialnym, co zjadliwym piórem Dostojewskiego Stalin z biegiem lat, wypadków i krystalizowania się własnej indywidualności, wypełniał i aktualizował nieustannie, przystosowując go do własnych koncepcji politycznych. Polaków uważał za element buntowniczy, usposobiony krytycznie do wszelkich autorytetów własnych i obcych, za urodzonych konspiratorów i spiskowców, a do tego za nieuleczalnych nacjonalistów, wyłamujących się wciąż z tego zespołu ludów, nad którymi pieczę roztoczył naród wielkorosyjski. Polacy – według jego mniemania – muszą albo służyć jednemu z dwóch wielkich sąsiadów, Niemcom lub Rosji, albo muszą być unicestwieni politycznie, np. przez dalsze rozbiory i procesy eksterminacyjne.

Zarazem żadna myśl, żadna mania nie opanowała umysłu i psychiki Stalina tak mocno, tak bezwzględnie i tak wytrwale, jak chęć przesunięcia władztwa rosyjskiego na zachód, poprzez Polskę i Niemcy w stronę Francji, opanowanej już przez „front ludowy". Tej wielkiej, historycznej koncepcji politycznej stała na przeszkodzie Polska, która nie zapominając zwycięstwa z 1920 roku nie godziła się na żadną, choćby zakamuflowaną kapitulację wobec Sowietów. Dodatkowe kompleksy antypolskie stworzył w mózgu Stalina sam przebieg kampanii polsko-radzieckiej w 1920 r. To właśnie jego nieposkromionej ambicji zagarnięcia Lwowa przed Warszawą przypisywał Tuchaczewski jedną z ważnych i bezpośrednich przyczyn klęski sowieckich armii w 1920 r. Wiele wskazuje na to, że Stalin gorączkowo czekał na sposobność wypalenia żelazem wspomnienia klęski w wojnie z Polską, ze wszystkimi jej konsekwencjami terytorialnymi, politycznymi i ustrojowymi – od granicy fińskiej aż po Bałkany, a przede wszystkim wydarcia Polsce okręgu lwowskiego i wileńskiego z ich na wskroś polskimi stolicami.

W ciągu całego międzywojennego 20-lecia Stalin,

a z nim cały zespół wodzowski Sowietów, przejawiał na każdym kroku wrogość do wszystkiego, co „trąciło" Polską. Ta zasadnicza niechęć była wyczuwalna w każdym powikłaniu dyplomatycznym, w które wmieszana była Polska, w każdej próbie polskiej zacieśnienia stosunków gospodarczych z Sowietami. Nawet współpraca kominternu z grupą polskich komunistów nacechowana była wyraźną nieprzyjaźnią. Nie pomogło nic, że obradujący w 1925 r. w Mińsku kongres komunistów polskich wybrał Stalina swoim honorowym prezesem i złożył mu należną czołobitność. Stalin wytępił część komunistów polskich bezlitośnie, a szczątki KPP (Komunistycznej Partii Polskiej) komintern w 1938 r. rozwiązał pod zarzutem krzewienia się w niej zarazy „trockizmu".

Im groźniejszą stawała się sytuacja polityczna Europy w latach trzydziestych, tym bardziej konkretyzował się stalinowski plan w odniesieniu do Polski, oskarżanej z całą hipokryzją o tendencje agresywne w stosunku do Rosji. W rzeczywistości wszelkimi drogami zmierzał Stalin do wytworzenia takiej sytuacji, by Polacy widzieli jedyny ratunek dla siebie i swojej ojczyzny – silnie okrojonej – w przyłączeniu się w takiej czy innej formie do Sowietów. Jest zrozumiałe samo przez się, że plan ten miał liczne, zależne od sytuacji międzynarodowej, warianty wykonawcze. W pierwszym rzędzie była na widoku możliwość zapłacenia kosztów przyjaźni Sowietów z silnymi militarnie Niemcami niepodległością i całością Polski. Tylko takim zasadniczym nastawieniem można logicznie wyjaśnić woltę polityczną Sowietów w 1939 r. oraz tajny układ Mołotow-Ribbentrop z 23 VIII tego roku, a następnie wszystkie krzyczące o pomstę do nieba, potworne zbrodnie popełnione w stosunku do narodu polskiego, ze zbrodnią katyńską na czele. Z sowieckiego punktu widzenia te wielotysięczne rzesze polskich oficerów i jeszcze liczniejsze rzesze osób cywilnych były nie tylko naocznym świadkiem fikcji plebiscytów i wszelkiego innego bezprawia dokonanego w 1939 r. na ziemiach polskich, ale również musiały się stać w przyszłości naturalnym ośrodkiem tradycji

niepodległościowych na wschodnich kresach Polski. I dlatego uległy w tak wielkiej części bezlitosnej zagładzie w lasach katyńskich i na Morzu Północnym, w tundrach podbiegunowych i licznych obozach jenieckich, w więzieniach i łagrach pracy przymusowej.

Okres drugiej wojny światowej – choć kosztował Związek Radziecki bezmiar najcięższych ofiar – stał się doskonałym katalizatorem przyspieszającym realizację planów politycznych Stalina. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu druga gwałtowna zmiana sytuacji międzynarodowej w 1941 r., spowodowana zerwaniem wspólnoty niemiecko-sowieckiej przez Hitlera oraz najazdem na niedawnego sprzymierzeńca, nie tylko nie utrudniła realizacji wytkniętych przez Stalina celów, ale ją wprost ułatwiła. Łup z 1939 r. kazały teraz Sowiety potwierdzić przez demokracje zachodnie, zanim jeszcze nadszedł czas na przedłożenie aliantom nowych żądań stalinowskich. W ostatecznym rozrachunku państwa zachodnie po doznaniu wielu zniewag ze strony radzieckiej w latach 1939–41, po przyjęciu zobowiązania dostarczenia Sowietom materiałów wojennych w olbrzymich ilościach, przegrały z kretesem sprawę polską, sprawę niepodległości państw bałtyckich, sprawę Finlandii, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Jugosławii, oraz zgodziły się na złowieszcze dzielenie innych obszarów jednonarodowych na dwie części: komunistyczną i nie-komunistyczną.

Te „salomonowe" wyroki są oczywiście posiewem nowych konfliktów w przyszłości, zwłaszcza wobec dalszej koncesji na rzecz Sowietów, mianowicie sparaliżowania działalności Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych poprzez „liberum veto" zarezerwowane dla wielkich mocarstw. Tak więc oba pojęcia: Narodów Zjednoczonych i powszechnego bezpieczeństwa, zostały z góry zaprawione fikcją. A wszystko to rozgrywało się w atmosferze krętactw ze strony Stalina i przy pozorowanej naiwnej ufności, że przecież „jakoś to będzie" ze strony Roosevelta i Churchilla.

Tak np. Stalin pisze 4 maja 1943 r. do Churchilla: „Co się tyczy rozsiewanych przez hitlerowców pogłosek, jakoby

w ZSRR tworzył się nowy, prokomunistyczny rząd polski, to chyba wymysły te nie wymagają sprostowania"[9].

W grudniu tego roku dochodzi do konferencji alianckiej w Teheranie. Z Rooseveltem przybyło na konferencję prawie 300 osób, rzeczoznawców cywilnych i wojskowych, doradców, wyższych urzędników i sekretarzy; ekipa Churchillowska przekracza 200 osób. Delegacja radziecka, otoczona chmarą wywiadowców i policji, poza tłumaczami i stenotypistkami, składa się dosłownie z trzech osób: Stalina, Mołotowa i Woroszyłowa. W tych warunkach wszystkie, nawet najdrobniejsze sprawy muszą rozgrywać się na „szczycie". Na tej konferencji alianci nie mogli dowiedzieć się niczego innego jak tylko to, co zechciał zakomunikować im Stalin; sam zaś zebrał nie tylko obfite informacje o zamierzeniach aliantów, ale ponadto uzyskał aprobatę swoich zasadniczych celów, m.in. wolną rękę w sprawie wschodnich granic Polski.

Gdy w drugiej połowie lipca 1944 r. wojska radzieckie znalazły się na przedpolu stolicy Polski, Sowiety wzywają wszystkimi sposobami jej ludność do zbrojnego powstania. Dnia 1 sierpnia powstanie w Warszawie stało się rzeczywistością i początkowo notowało ogromne sukcesy militarne. Ale wówczas Stalin uznał je za wrogą demonstrację w stosunku do Związku Radzieckiego i komunistycznego Komitetu Lubelskiego; czynił więc wszystko, co mógł, aby nie utrudnić Niemcom masakry tysięcy Polaków i doszczętnego zniszczenia historycznego miasta.

W pierwszej połowie lutego 1945 r. odbyła się w Jałcie na Krymie dalsza ważna konferencja „wielkiej trójki". Postulaty polskie aliantów zredukowane zostały do utworzenia w okrojonej Polsce nowego rządu – ani typu londyńskiego, ani lubelskiego – odpowiadającego po prostu najbardziej woli narodu i rzeczywistym interesom suwerennego państwa. Uprzedzając te zamiary, Związek Radziecki – świetnie poinformowany przez swoje wtyczki na Zachodzie – uznał 5 stycznia 1945 r. komunistyczny Komitet Lubelski jako

[9] *Korespondencja Przewodniczącego R.M. ZSRR*, Warszawa 1960, t. I., s. 125.

tymczasowy rząd polski. Uległość przyszłego rządu polskiego wobec Moskwy została w ten sposób zapewniona. Roosevelt i Churchill głosili później, że w tym punkcie zgodzili się na kompromis. Ale to nie odpowiada prawdzie. W rzeczywistości Teheran i Jałta przypieczętowały ostatecznie kapitulację aliantów zachodnich w sprawie polskiej na całej linii. Odtąd Stalin trzymał Polskę bezapelacyjnie w swojej garści.

Ostateczne opinie o Stalinie były za jego życia krańcowo różne. Propaganda i prasa sowiecka obwoływała go „ukochanym, wielkim, odważnym, przewidującym i wszechstronnie genialnym". W samym Związku Radzieckim cztery miasta związano z jego nazwiskiem: Stalingrad, Stalinabad, Stalinsk i Stalinogorsk. Po jego śmierci w różnych krajach satelickich poczęto urzędowo zmieniać nazwy niektórych miast, dla większej czci i chwały Stalina. Ale Wschód różni się wyraźnie i tym od Zachodu, że pośmiertnie redukuje często wartości i znaczenie historyczne swoich wodzów i bohaterów. Tak stało się i w przypadku Stalina. Po XX Zjeździe Partii i referacie Nikity Chruszczowa ta sama prasa i propaganda dostrzegła nagle wiele ujemnych cech w tym egocentrycznym Gruzinie. Podobno Lenin miał niezbyt wysokie mniemanie o charakterze swego następcy. Potępiano teraz Stalina i rehabilitowano masowo jego ofiary. Zdaje się, że najtrafniej przeniknął jego złożoną naturę gen. de Gaulle, pisząc o nim:

W Stalinie wszystko było manewrem, nieufnością i uporem. Ten komunista w mundurze marszałka, ten chytrze przyczajony dyktator, ten zwycięzca z miną poczciwiny, starał się wszystkich wyprowadzić w pole.

Studiując korespondencję Stalina i jego wystąpienia publiczne, szczególnie z lat 1939–45, trzeba przyznać, że pod względem dialektyki i taktyki, chytrości i cierpliwości, pod względem umiejętności rozszyfrowywania tendencji swoich przeciwników i współpartnerów, przewyższał znacznie zarówno Ribbentropa, jak i Roosevelta i Churchilla. Zmierzał on uparcie i skutecznie do tego, by w chwili ostatecznego zwycięstwa militarnego mieć całkowitą przewagę nad

swoimi zachodnimi partnerami; z żelazną konsekwencją przyzwyczajał ich do nieustannej rezygnacji z ich własnych poglądów, z ich argumentacji czy nawet z drobnych, formalnych życzeń, których uwzględnienie byłoby wyrazem prostej uprzejmości wobec swoich gorliwych sojuszników. Równocześnie pozbawiony był wszelkiej wielkoduszności, a historia zna niewielu despotów podobnie bezwzględnych i cynicznych, podobnie chciwych władzy i złośliwych, podobnie krwawych i nieludzkich jak Stalin.

Można wyrazić przypuszczenie, że gdyby duchy sturturowanych, upokorzonych i z wyroku Stalina zgładzonych ideowych, wiernych i ofiarnych komunistów mogły dziś otwarcie powiedzieć to, co wiedzą i myślą o niedawnej przeszłości, to powstałby obraz ery stalinowskiej w Związku Radzieckim tak potworny i wstrząsający, tak tragiczny i upiorny, jakiego nie potrafiliby odmalować najczarniejsi z czarnych reakcjonistów tego świata.

Indeks nazwisk

Kursywą wyznaczono strony, na których nazwisko występuje tylko w przypisach.

D'Abernon Edgar V. 41, 67
Aleksander III, car 19
Aleksander Wielki 59
Allanbrooke, generał 154
Aloisi Pompeo 65
Alsknis 178
Aldanow M. *143*
Anders Władysław 132, 135
Asquith Herbert Henry 144

Bagiński Henryk *110*
Bailly A. *178*
Baldwin of Bewdley Stanley 144
Balicki Zygmunt 80
Bartel Kazimierz 53, 54, 58, 63
Barthou Jean-Louis 97
Beck Józef 6, 10, 12, 87–103, 105–108, *116*
Beckowie, rodzina 87
Beneš Eduard 131, 135
Bethmann-Hollweg Theobald von 162
Bierdiajew Mikołaj 173
Birkeland Kristian Olaf Bernhard 72, 76
Blomberg Werner Eduard Fritz von 94
Bniński Adolf 54
Bobiatyński, major 44
Bonnet Georges 93
Bortnowski Władysław 26
Bosch Carl 72
Bregman A. *95, 180*
Broqueville Charles 66
Bucharin Mikołaj 172, 177
Budionny Siemion 40
Bullock A. *163*
Burhardt-Bukacki Stanisław 26

Cagliostro Alessandro hr. (właśc. Giuseppe Balsamo) 87
Caro Heinrich 72, 77
Carton de Viart Adrian 68
Casalè 72
Cezar, Caius Iulius Caesar 56, 59
Chamberlain Arthur Neville 93
Chamberlain Houston Stewart 161
Chruszczow Nikita 188
Churchill John, książę Marlborough 143
Churchill Randolph 143
Churchill, rodzina 153
Churchill Sara 153
Churchill Winston Spencer 9, 93, 122, 125, 126, 127, 129, 130, 134, 141–154, 169, 179, 186, 187, 188
Ciechanowski Jan *130, 147*
Ciołkosz Adam 107, *108*
Claude Georges 72
Clemenceau Georges 59, 121, 141, 142
Comnène Petresco 105, 106, 108
Cromwell Oliver 59, 169
Crooks William 71, 72, 76
Czapski Józef 137, *138*
Czechowicz Gabriel 64
Czernow Wiktor 23

Daladier Edouard 93
Daszyński Ignacy 43, 111
Dąbrowski Henryk 33
Dąbski Jan 42
Djilas Milovan 153, 172, 173, 179
Dmowski Roman 20, 21, 34, 46
Dollfuss Engelbert 156
Dostojewski Fiodor 173
Drexler Anton 160
Drozdowski Marcin Marek 7
Dutch O. *169*
Dutkiewicz Feliks 58, 59
Dzielski Mirosław 12

Eden Anthony 93, 126, 148, 152
Eideman Robert 178
Einstein Albert 71
Eisner Kurt 158
Ensor R.C.K. 118

Epp Frantz Ritter von 158
Erzberger Matthias 158
Eyde 72

Fauser 72
Fiala Václav 102
Fisher, admirał 144
Foch Ferdinand 41, 121
France Anatol 141
Franciszek Józef I, cesarz 112
Frank 72

Gafencu Grigore 108
Garibaldi Giuseppe 59
Gaulle Charles André de 180, 188
Goebbels Joseph 94, 127, 129, 164
Göring Hermann 67, 94, 164, 166
Grabski Władysław 42, 56, 68, 114
Grażyński Michał 84

Haber Fritz 72
Halifax Edward Frederick lord 123
Haller de Hallenburg Józef 33, 46, 48, 112
Harriman William Averell 84
Hartmann F.H. *146*
Haufstängel 161
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 151
Heiden K. *159*, 169
Henderson Nevil 166
Henrys Paul P. 68
Hess Rudolf 161, 164
Himmler Heinrich 164
Hindenburg Paul von 51, 167
Hitler Adolf 9, 11, 65, 66, 67, 92, 93, 94, 95, 103, 107, 108, 119, 123, 124, 128, 141, 142, 147, 148, 152, 155–170, 179, 180, 186
Hopkins Harry 146
Horthy de Nagybánya Miklós 99
Hugenberg Alfred 164

Iwan IV Groźny, car 173
Iwaszkiewicz Wacław 39

Jakir Iona 178
Jerzy VI, król Anglii 100
Jędrzejewicz Janusz 11
Joffe Adolf 42

Kahr Gustav von 164
Kamieniew Lew (właśc. Rosenfeld) 177
Karol II Hohenzollern-Sigmaringen, król Rumunii 105, 106
Kisielewski Stefan 12
Kling Kazimierz 74
Kostanecki Stanisław 70
Kościuszko Tadeusz 59
Kot Stanisław *129*, 138
Kowalski Józef 70, 71
Kucharzewski Jan 112
Kukiel Marian 10, *113*, 134
Kumaniecki Kazimierz Władysław *44*, *49*, *112*

Lelewel Joachim 16
Lenin Włodzimierz Ilicz 8, 59, 172, 175, 176, 177, 179, 182, 188
Leśniański Wacław 74, 85
Lieberman Herman 139
Lincoln Abraham 59
Lipiński Wacław *110*
Lipski Józef 99
Listowski Antoni 113
Litauer Stefan 138–139
Litwinow Maksim 95
Lloyd George David 42, 144, 154
Ludendorff Erich 159, 161
Lueger Karol 157, 161

Maczek Stanisław 121
Majski Iwan 126, 127, 128, 151
Malczewski Juliusz 52
Martynowicz Zenon 79
Masaryk Tomaš 101
Mazurkiewicz Władysław 20
Metternich Klemens 87
Mickiewicz Adam 7,16, 19
Miedziński Bogusław 65
Mierzwa St.P. *24*, 68
Mikołajczyk Stanisław 6, 137, 152
Mitkiewicz Leon *120*, 121, 122
Mochnacki Maurycy 120
Moltke Hans Adolf von 66
Mołotow Wiaczesław (właśc. Skriabin) 94, 95, 126, 153, 185, 187
Montgomery of Alamein Sir Bernard Law 181
Moraczewski Jędrzej 36
Morawski Kajetan 68, 97, *120*, *122*, 138
Mussolini Benito 65, 94, 155, 163, 179
Mościccy, rodzina 69, 70
Mościcki Faustyn 69
Mościcki Ignacy 6, 7, 10, 12, 54, 66, 69–86, 115
Mourin M. 41, 42

Nagórski Zygmunt *120, 122, 130, 137, 139*
Napoleon I 59, 169
Narutowicz Gabriel 49, 50, 71, 82, 114, 138
Nencki Marceli 71
Neurath Konstantin von 99
Newton Izaak 85
Nietzsche Friedrich 161
Nitti Francesco 173
Norman Montagu 100
Nowak Julian 49
Nowak-Jeziorański Jan 13

Oktawian, Caius Iulius Caesar Octavianus 59
Orłow Władimir 178
Owsiejenko A. 65

Paderewski Ignacy 36, 37
Pauling Linus Carl 72
Petlura Semen 40
Piłsudscy, rodzina 15, 20
Piłsudski Józef 6, 7, 9, 10, 15–33, 35–41, 43–68, 80, 81, 82, 83, 88, 89, 91, 92, 93, 94, 100, 101, 110–117, 130, 138
Pobóg-Malinowski Władysław *8*
Poncet François 169
Ponikowski Antoni 48
Potiomkin Władimir 95, 96
Pragier Adam 137
Probst A. 164
Prochorow 180
Prystor Aleksander 21

Raczkiewicz Władysław 120, 122, 127
Raczyński Edward 100, 120, 122, 137
Raczyński Roger 105
Rakowski J. *6*
Rakowski Mieczysław F. 7
Rataj Maciej 6, 52, 53, 54, 102, 114
Rathenau Walter 158
Ratzel R. 161
Rauschning Hermann 169
Renouvin Pierre 93, *152*
Retinger Józef 138, 139
Ribbentrop Joachim von 126, 164, 185, 188
Roos H. 66, *89, 98*
Roosevelt Franklin Delano 126, 130, 145, 146, 149, 186, 187, 188
Rosenberg Alfred 164
Rowecki Stefan 135
Rozwadowski Tadeusz 52
Röhm Ernst 158, 164
Rykow Aleksiej 177

Salcewicz *181*
Schacht Hjalmar 95
Schleicher Kurt 164
Schönherr 72
Schuschnigg Kurt 156
Seyda Marian 127
Siebert 72
Sikorski Władysław 6, 10, 27, 48, 109–117, 120–123, 125–133, 135–140, 151, 152, 153
Simon John 97
Skrzyński Aleksander 51
Slawik Jurij 116
Sławek Walery 21
Slawoj-Składkowski Felicjan 6, 12
Sokolnicki Michał 15, *29*, 128
Sosabowski Stanisław 140
Sosnkowski Kazimierz 6, 21, 26, 33, 127, 140
Staempfle 162
Stalin, córka Józefa 153
Stalin Józef (właśc. Dżugaszwili Josip W.) 8, 9, 11, 12, 93, 94, 95, 119, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 161, 171–175, 177–189
Stanisławska S. *102, 116*
Staszic Stanisław 6, *47*
Strasser Gregor *159*, 164
Strasser Otto *159*, 161, 169
Studnicki Władysław 32
Swoboda H. *52*
Szembek Jan *95*
Szeptycki Stanisław 47, 112
Szwarce Bronisław 18

Ścieżyński Mieczysław 26
Śliwiński Artur 49
Śmigły-Rydz Edward 6, 92, 102, 103
Śniadeccy, bracia (Jan i Jędrzej) 16
Świętosławski Wojciech 75

Talleyrand-Périgord Charles Maurice de 87
Temistokles 59
Tomaszewski Tadeusz Roman 139
Tomski Nikołaj 177
Trąmpczyński Wojciech 48

Trocki Lew 172, 177
Tuchaczewski Michaił 40, 178, 184

Uborewicz Hieronim 178

Wandycz Piotr *65*
Wańkowicz Melchior 5
Waszyngton George 59
Weygand Maxime 41, 113
Wilhelm II, cesarz niemiecki 157
Wilson Woodrow 37, 131, 146
Witos Wincenty 6, 43, 46, 47, 52, 57, 84, 101, 114, 116
Wojciechowski Stanisław 52, 53
Wołoszyn 105
Woroszyłow Kliment 187
Wrangel Piotr 41
Wysocki Alfred 67

Valois Georges 162

Zabiełło Stanisław *147*
Zagórski N. *83*
Zagórski Włodzimierz 57
Zaleski August 90–91, 96, 127
Zaleski Feliks 78
Zan Tomasz 16
Zinowjew Grigorij (właśc. Apfelbaum) 177
Zoll Fryderyk 138

Żeligowski Lucjan 44, 45, 52
Żuliński Tadeusz 30

Spis treści

Andrzej Romanowski,
Wielkie Milczenie Eugeniusza Kwiatkowskiego . 5

Józef Piłsudski 15
Ignacy Mościcki 69
Józef Beck 87
Władysław Sikorski 109
Winston Churchill 141
Adolf Hitler 155
Józef Stalin 171

Indeks nazwisk 191

Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1990. Wydanie I. Nakład 10 000 + 350 egz. Obj. ark. wyd. 10, ark. druk. 12,25. Druk ukończono w listopadzie 1990. Poligrafia Archidiecezji Krakowskiej, Z. nr 2, SIW Kraków, ul. Kościuszki 37. Zam. 20/90.

Eugeniusz Kwiatkowski (1888–1974), inżynier chemik, polityk, działacz społeczny. W okresie międzywojennym minister przemysłu i handlu, później wicepremier i minister skarbu. Budowniczy Gdyni, twórca fabryki związków azotowych w Mościcach, współtwórca Centralnego Okręgu Przemysłowego. Po wojnie członek delegatury rządu d/s odbudowy wybrzeża, wkrótce całkowicie odsunął się od działalności publicznej. Autor wielu prac z dziedziny chemii, przemysłu, polityki i historii gospodarczej.